DWORCZYK:
OŚ WARSZAWA–KIJÓW?
ONI ZROBIĄ WSZYSTKO, BY DO TEGO NIE DOSZŁO

ENGELS:
POLACY, UWAŻAJCIE TERAZ NA KAŻDY KROK

MACIEJEWSKI:
GDZIE JEST BÓG W DONBASIE?

BUDZISZ:
TAK MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ TA WOJNA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 23 (497) 2022
6–12 czerwca 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

WIELKI SPISEK W OPOZYCJI

SZYKUJE SIĘ PRZEWRÓT, MAJĄCY NIE TYLKO ZMIENIĆ LIDERÓW, ALE I PANÓW, KTÓRYM SŁUŻĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
23
9 772544 269205

12. urodziny portalu

wPolityce.pl

we wtorek 7 czerwca o 19:00

w telewizji WPOLSCE.PL

Sprawdź, kogo nagrodzimy statuetką
Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PARTNERZY STRATEGICZNI: Bank Pekao, Bank Polski

PARTNERZY GŁÓWNI: BGK Bank Gospodarstwa Krajowego, Enea, Grupa Azoty, KGHM Polska Miedź, LOTOS, PGE Polska Grupa Energetyczna, PGNiG, PZU, Totalizator Sportowy

PARTNERZY: accenture, Alior Bank, arp, Lasy Państwowe, PKP Polskie Koleje Państwowe Spółka Akcyjna, Tauron

PARTNERZY WSPIERAJĄCY: Kasa Stefczyka, PERN, PGNiG Termika, Poczta Polska, Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie

eprasa.pl 9c4e90eb77

To także przeciw Polsce

Polityka Francji i Niemiec wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę wciąż rozczarowuje. Pomoc dla walczących płynie za wolno, presja na sankcje jest zbyt słaba, a gesty wobec Putina – takie jak powtarzające się telefony – są po prostu kompromitujące. Wiele działań sprawia wrażenie celowo spóźnionych albo wręcz pozorowanych. Po pierwszym rozczarowaniu, że Ukraina walczy i to tak skutecznie, teraz rośnie presja na Kijów w sprawie ustępstw wobec Moskwy. Ukraina miałaby się zgodzić na oddanie 1/3 kraju tylko po to, by Paryż i Berlin, a także Haga i Rzym, nie musiały już udawać, że pomagają.

Czy kryje się za tym tylko niechęć do ponoszenia wyrzeczeń, przywiązanie do zasady koncertu mocarstw, nadzieja na tanią energię z Rosji, czy też coś więcej? Sądzę, że coś więcej. W istocie ta wielka gra, którą obserwujemy, dotyczy bowiem całego regionu Europy Środkowej i Wschodniej. Przede wszystkim Polski. Niektóre kraje zachodnie być może podświadomie wyczuwają, że rosyjska agresja uruchomiła procesy, które obiektywnie, długofalowo wzmacniają nasz kraj – i tak już zbyt silny jak na oczekiwania określone w latach 90. Teraz pojawia się szansa na trwały sojusz Warszawy i Kijowa. Sojusz potencjalnie równoważący oś niemiecko-francuską. Sojusz, który w razie wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej mógłby zmienić zasady gry we wspólnocie, ale który i bez tego będzie wiele znaczył na kontynencie.

Jeśli Ukraina przegra, to – patrząc na poczynania Rosji na zajętych terenach – będzie zagrożona nie tylko państwowość ukraińska, ale wręcz przetrwanie tego narodu. Będzie także zagrożone – już bezpośrednio – nasze bezpieczeństwo. Z kolei zwycięstwo Ukrainy może przynieść przełom geopolityczny o wymiarze historycznym. I będzie to przełom dla Polski bardzo korzystny. To nie tylko chrześcijańskie dziedzictwo, solidarność i dobre serca nakazują Polsce pomagać Ukrainie, ale także najczystszej wody kalkulacja polityczno-historyczna. Kto tego nie widzi, ma naprawdę słaby wzrok.

Jacek Karnowski

Autopromocja

Gra na nieszczęście

W negocjacjach, które doprowadziły do kompromisu z Brukselą dotyczących Krajowego Planu Odbudowy, obóz propolski zdobył się na bardzo trudny i bolesny kompromis. Z jednej strony doszliśmy do granicy możliwego (prawnie więcej niż wątpliwego) nacisku unijnych i międzynarodowych struktur na państwo polskie. Same wejście w takie negocjacje niosło wiele ryzyk.

Z drugiej strony udało się uniknąć naruszenia polskiej suwerenności, wejścia Komisji Europejskiej w rolę nadzorcy Polski w dowolnych obszarach. Pomógł bardzo doprecyzowujący granice unijnej władzy wyrok Trybunału Konstytucyjnego oraz zaskakujące dwa wyroki TSUE, które odsunęły ryzyko oceniania prawomocności umocowania jednego sędziego przez drugiego, co było prostą drogą do paraliżu prawnego państwa.

Zbrodnicza napaść rosyjska przywróciła w co mądrzejszych brukselskich głowach właściwą hierarchię spraw. Wszystkie opowieści o reżimie, bezduszności, niesprawnym państwie okazały się wyłącznie rosyjsko-niemiecko-opozycyjną propagandą.

Napięcie w relacjach z władzami UE oczywiście się nie skończy, wynika ono bowiem z niechęci Polski i Polaków do rozpłynięcia się w jakiejś beznarodowej i niedemokratycznej strukturze, do czego dąży unijny establishment. Szantaże będą się powtarzały. Otwiera się jednak szansa na choćby chwilowe przełamanie, na uruchomienie należnych Polsce funduszy.

Próbują to jednak zablokować niektórzy politycy opozycji. Na ich twarzach panika, w słowach obojętność na los Polaków.

Robią to nieporadnie, co chwila wypierając się swoich wypowiedzi. Pohukując na tych, którzy pytają, jak tak można. Zaprzeczając temu, co przecież wypowiedzieli zaledwie wczoraj. Ciąg, sens i cel tych działań są oczywiste: Bruksela ma postawić zaporowe warunki. Porozumienie ma zostać storpedowane. Pieniądze mają do Polski nie trafić. Do tego też zmierzają działania Senatu.

To jasna gra na nieszczęście, biedę, bezrobocie i katastrofę Polski. Po pandemii, w czasie wojny, w obliczu nadchodzących światowych problemów gospodarczych.

Możliwe, że niektórym wyborcom to się podoba. Ale cena za tak straszliwie cyniczną i odrzucającą polską rację stanu opozycję może być tragicznie wysoka. Jeśli im się uda, cenę zapłacą wszyscy Polacy. Wszyscy.

Michał Karnowski

eprasa.pl 9c4e90eb77

SIECI spis treści

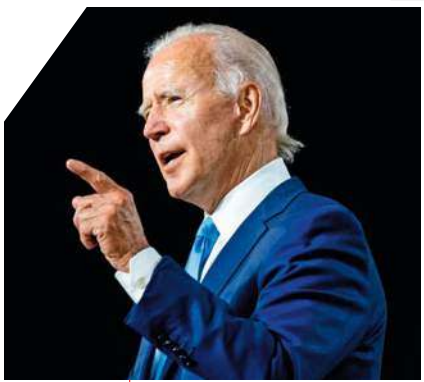

39 Ryzyko Bidena
Jan Rokita

48 Z Jadwigą Emilewicz o kobietach
rozmawia Dorota Łosiewicz

73 Rysopis artysty
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

8 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

10 **GORĄCA LINIA**
Krzysztof Feusette

11 **NIE MA POWROTU DO SZCZAWIU I MIRABELEK**
Dorota Łosiewicz

12 **NAGRODA DARWINA DLA PUTINA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **CZY PARTIA NIEMIECKA MOŻE STAĆ SIĘ AMERYKAŃSKA?**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MARKA SIEROCKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **WSPÓLNE DZIEDZICTWO**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **POZNANIE TREŚCI TEJ NOTATKI SIĘ POLAKOM PO PROSTU NALEŻY**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **WIELKI PRZEWRÓT**
Stanisław Janecki

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

24 **ANI KROKU WSTECZ**
Konrad Kołodziejski

28 **Z MICHAŁEM DWORCZYKIEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

34 **GDZIE JEST BÓG W DONBASIE?**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **STRATEGICZNY PAT NA UKRAINIE**
Marek Budzisz

39 **RYZYKO BIDENA**
Jan Rokita

42 **CHAOS, KŁAMSTWA I LEOPARDY**
Aleksandra Rybińska

44 **ZERWANIE BEZ ZERWANIA**
Grzegorz Górny

KRAJ

48 **Z JADWIGĄ EMILEWICZ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

52 **Z DR. FILIPEM MUSIAŁEM**
rozmawia Marcin Wikło

OPINIE

56 **Z JANEM PARYSEM**
rozmawia Marek Pyza

60 **TĘCZA I PURPURA**
Grzegorz Górny

62 **Z PROF. DAVIDEM ENGELSEM**
rozmawia Goran Andrijanić

66 **CZŁOWIEK POŚRÓD LUDZI**
Teresa Bochwic

70 **MIĘDZY WOLNOŚCIĄ A DESPOTYZMEM**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

73 **RYSOPIS ARTYSTY**
Jolanta Gajda-Zadworna

76 **TERIER, WOJNA I FESTIWAL W CANNES**
Przemysław Barszcz

77 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

78 **POLSKA JEST PIĘKNĄ KOBIETĄ**
Robert Tekieli

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

HISTORIA

82 **CZY JEST MOŻLIWA BEATYFIKACJA EDMUNDA WOJTYŁY?**
Milena Kindziuk

GOSPODARKA

86 **WIATR OD MORZA IMPULSEM DLA GOSPODARKI**
debata Forum wGospodarce.pl

96 **BIZNES NA WAGĘ BEZPIECZEŃSTWA**
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

98 **MOJE SMAKI: BEATA ZAWADZKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **DZIŚ BĘDZIE INACZEJ**
Hanna Karp

102 **PYTANIA NADAL AKTUALNE**
Alina Czerniakowska

103 **BISMARCZKI PO POLSKU**
Wiktor Świetlik

103 **ZA CO WARTO UMRZEĆ?**
Lech Makowiecki

104 **TRZASK-PRASK I SIĘ ROZESZŁO**
Piotr Cywiński

104 **CHIŃSKI JONTEK ROBI KARIERĘ**
Adam Ciesielski

105 **Z OBSERWACJI I DONIESIEŃ INSTYTUTU KWITNIENIA**
Leszek Długosz

106 **KTO PRZY WARTOŚCIACH, KTO PRZY INTERESACH?**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 23/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

ORLEN | biznes TANK

Masz firmę?

Wybierz wirtualną kartę BIZNESTANK w aplikacji ORLEN VITAY i zyskaj!

POBIERZ W App Store

POBIERZ W Google Play

Promocja trwa od 01.05.2022 do 31.07.2022 r.
Szczegóły i Regulamin promocji dostępny na www.biznestank.orlen.pl
*Oferta obowiązuje od pierwszego zatankowanego litra paliwa.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Platynowy jubileusz

Cztery dni spektakularnych imprez i parad, by uczcić rekordową 70. rocznicę zasiadania Elżbiety II na tronie brytyjskim. Dziesiątki tysięcy fanów monarchii wymachujących flagami ustawiło się w miniony czwartek na ulicach Londynu podczas parady wojskowej z udziałem 1,4 tys. żołnierzy i 200 koni na cześć 96-letniej królowej. Nad głowami uczestników uroczystości przeleciały samoloty wojskowe w szyku tworzącym na niebie liczbę 70. Elżbieta jest na tronie dłużej niż którykolwiek z jej poprzedników i jest trzecim najdłużej panującym monarchą w suwerennym państwie. Badania opinii publicznej pokazują, że pozostaje niezwykle popularna wśród Brytyjczyków. Według sondażu YouGov, zrealizowanego dzień przed jubileuszem, 69 proc. ankietowanych oceniło monarchinię pozytywnie. Wśród członków rodziny królewskiej niewiele mniejszą sympatią cieszy się jej wnuk książkę William – 59 proc. Elżbieta II dziękowała poddanym za okazywaną jej przez lata życzliwość i pozdrowiła ich z balkonu pałacu Buckingham. Towarzyszył jej kuzyn Edward, książę Kentu, który od śmierci księcia Filipa zastępuje go u jej boku.

Elżbieta II wstąpiła na tron w lutym 1952 r. po śmierci swojego ojca, Jerzego VI. Została koronowana 2 czerwca 1953 r. ***(ryb)***

Fot. Pool PA/Associated Press/East News

eprasa.pl/9c4e90eb77

prasa.pl 9c4e90eb77

Sygnalista nadaje

Jarosław Kaczyński w Kijowie po polsko-ukraińskich konsultacjach międzyrządowych: „Dochodziliśmy do takiego głębokiego przeświadczenia, że potrzebna jest współpraca, która ma budować ten związek między naszymi narodami. Związek, który ma mieć naprawdę potężne podstawy. Historia była różna, była często naprawdę bardzo trudna, ale dzisiaj jest pełna szansa na to, żeby stworzyć coś zupełnie nowego, nową jakość nie tylko w relacjach między naszymi państwami, ale być może także w relacjach europejskich, i co za tym idzie – także w europejskiej geopolityce". Oto stawka naszych czasów.

Dziennikarz Mateusz Lachowski spotkał ukraińskich artylerzystów, którzy na pociskach napisali takie oto przesłania dla Rosjan: 1. „Jeszcze Polska nie zginęła", 2. „Za Buczę", 3. „Za Kaczyńskiego", 4. „Za Katyń". Jak podkreśla: „Z góry uprzedzam: ukraińskim artylerzystom chodziło o wyrażenie sympatii i wdzięczności dla Polski, a nie o poglądy polityczne. A ja nigdy nie zakłamuję, tylko pokazuje tak, jak było. Na rozmowy o polityce nie było przestrzeni". Tak, to jest nasza wojna. Trwa już ponad stulecie, co najmniej od 1920 r.

Ursula von der Leyen wpadła na parę godzin do Warszawy, by ogłosić, że Komisja Europejska zaakceptowała polski Krajowy Plan Odbudowy. Atmosfera wspólnej konferencji była dość chłodna, szefowa KE wyliczyła wszystkie „kamienie milowe", czyli postawione Polsce warunki, podkreśliła, że pieniądze wypłaci dopiero po ich wypełnieniu, i ostrzegła: „Nie jesteśmy na końcu drogi, jeżeli chodzi o praworządność w Polsce". Miejmy nadzieję, że to tylko gra, która ma uspokoić unijnych i krajowych radykałów, domagających się zagłodzenia rządu PiS. Znaków zapytania jest wiele, ale jednak ruszyliśmy do przodu. Dopóki w Warszawie rządzi obóz niepodległościowy, wojny i wojenki z Brukselą będą stałym elementem krajobrazu.

Szymon Hołownia *znów chce wcisnąć Polakom walutę euro: „Chorwacja przechodzi na euro od stycznia 2023, Bułgaria od 2024 r. Wspólna europejska waluta to stabilność naszych pieniędzy i bezpieczeństwo. A PiS nam wmawia, że jesteśmy na to za biedni. Pora wprowadzić euro w Polsce!". Panie Szymonie, wspólna waluta to rzeczywiście stabilizacja, ale w sferze różnic między bogatymi a biednymi, no i wyzbycie się możliwości wpływania na procesy ekonomiczne. Politycy centrolewu mówią, że chcą rządzić Polską, ale to nieprawda: oni chcą wyzbyć się instrumentów rządzenia. Oni chcą jedynie urzędować w imieniu i pilnować, by w głowach Polaków nie było zbyt wielu marzeń.*

Znamienna jest reakcja radykalnej części opozycji. Prof. Wojciech Sadurski w „GW" ocenia sprawę tak: „Akceptując fałszywe zapewnienia rządu o realizacji »kamieni milowych« jeszcze przed sejmowym rozważeniem senackich zmian w prezydenckiej ustawie o likwidacji Izby Dyscyplinarnej, Komisja odebrała polskim władzom jakiekolwiek bodźce dla potraktowania Senatu poważnie. [...] »Kamienie milowe« to więc tylko kamyczki – ale nawet one zostały zignorowane przez ustawę prezydencką w wersji sejmowej bądź zrealizowane w sposób pozorny i kłamliwy". Wszędzie zdrada?

Kilka dni przed wizytą Ursuli von der Leyen Rafał Trzaskowski jasno naszkicował cele swojej formacji: „Komisja Europejska zapewnia, że postawiła rządowi PiS dodatkowe warunki. Bardzo się z tego cieszę, bo my musimy mieć gwarancję, że cały wymiar sprawiedliwości nie będzie upolityczniony. [...] Ja rozmawiałem z przewodniczącą KE Ursulą von der Leyen i jestem dobrej

eprasa.pl 9c4e90eb77

myśli, że Komisja Europejska będzie stawiała te warunki i że te warunki będą musiały być spełnione, żeby te pieniądze popłynęły do Polski". Trzaskowski jest formą jeszcze bardziej banalną, obłą i wyobcowaną niż Tusk. A to silna konkurencja.

Adam Bodnar w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" powtórzył swój postulat objęcia Polski jakimś bliżej nieokreślonym nadzorem zewnętrznym: „Po wygranej powinniśmy się związać umowami strategicznymi z różnymi organizacjami międzynarodowymi, które będą nam doradzały, jak reformować i naprawiać choćby wymiar sprawiedliwości, będą nas stabilizowały i ustawiały na kursie". „Czyli mamy oddać się pod nadzór" – stwierdził dziennikarz. Były rzecznik praw obywatelskich odpowiedział: „Mówię raczej o strategicznym doradztwie podobnym do tego, z jakiego korzystaliśmy, przystępując do Unii. Trochę tak, jak gdybyśmy cofnęli się do 1998 r.". Dla władzy matkę sprzedadzą.

Bodnar martwi się także słabym echem sensacyjnych publikacji w opozycyjnych mediach. „Sama »Wyborcza« ujawniła mnóstwo afer – Komisja Nadzoru Finansowego, dwie wieże Kaczyńskiego, maseczki, respiratory, działki państwa Morawieckich. I nic. Pamięć społeczeństwa faktycznie jest krótka" – mówił, dodając: „poza twitterowiczami i jednym, dwoma ośrodkami medialnymi docierającymi raczej do dużych miast i zaangażowanej publiczności nikt później tego nie ciągnie". Nie ma czego ciągnąć, bo to nie opisy afer, ale zlepki faktów i interpretacji. A poza tym Polacy wiedzą, że PiS może i robi błędy, że czasem się potyka, ale czują, że chce polskiego sukcesu i ma na to pomysł. W przypadku PO czuli, że afery nie były wpadkami, ale sednem systemu.

Były RPO – zawsze tak zmartwiony podziałami – stwierdził też, że Polacy „tak ładnie pomogli uchodźcom z Ukrainy" w dużej mierze dlatego, że... wcześniej uczestniczyli w demonstracjach zwolenników opozycji. „W dużej mierze Polacy tak ładnie pomogli uchodźcom z Ukrainy właśnie dlatego, że przez ostatnie lata nauczyli się przez te wszystkie marsze, demonstracje, protesty, akcje solidarnościowe tworzyć sieci wsparcia i zaangażowania". To skandaliczna wypowiedź, wyjątkowo obrzydliwa. Ukrainie pomagają wszyscy, a badania pokazują, że między wyborcami PiS a PO nie ma w tej sprawie większych różnic. Małość zawsze wyjdzie z człowieka.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

„Mamy już wykonane 120 km zapory na granicy z Białorusią. Tak, jak zakładaliśmy, prace budowlane powinny zakończyć się do końca miesiąca!" – poinformował wiceszef MSWiA Maciej Wąsik. I znów przypomniano wypowiedź Tuska z jesieni 2021 r.: „Ten mur nie powstanie ani w ciągu roku, ani w ciągu trzech lat, bo nie jest wcale intencją zbudowanie dobrych, skutecznych zapór. Ich intencją jest robienie emocjonalnych spektakli i wydanie blisko 2 mld zł bez żadnej kontroli". Tusk chyba naprawdę nie wierzył, że bariera powstanie. Nie dostrzegł, że imposybilizm jego epoki został już przełamany.

Ks. Wojciech Lemański błysnął kolejną analizą „polityczną" (zapewne w ramach walki z upolitycznieniem Kościoła). „Polska na salonach europejskich chodzi w gumiakach i nie powinniśmy się z tego cieszyć" – ocenia, dodając: „Zachowujemy się jak buraki, to wstyd. Oczywiście nie wszyscy. Ale ta władza jest w jakiś sposób emanacją społeczeństwa". Na koniec puenta, jednak zaskakująca: „Przy inteligencji Putina – nie mówię o walorach moralnych, bo takich on nie ma – Kaczyński to jednak kmiotek". To porównanie mówi wszystko o inteligencji ks. Lemańskiego, o walorach moralnych nie wspominając.

Politolog, w przeszłości europoseł PiS, Marek Migalski kolejne tenisowe zwycięstwo Igi Świątek skomentował tak: „Co się tak cieszycie ze zwycięstw Igi? Co macie z nią wspólnego? Tyle, co wszystkie 21-latki na świecie. Albo praworęczni w Afryce. Nic wam nie zawdzięcza ani nic ją z wami nie łączy. Poza tym, że mówicie podobnym językiem (zresztą ona lepiej nim włada niż większość z was). Polacy". Refleksja godna co najwyżej oszołomionego bogactwem teorii studenta pierwszego roku nauk społecznych. Jednak mamy z naszą gwiazdą wiele wspólnego. Z Migalskim niestety też.

Dr Jan Parys w Instytucie im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „W lutym tygodnik »Sieci« zrobił wywiad z tymże ambasadorem rosyjskim. To było parę dni przed agresją. Różni ludzie mieli pretensje do panów Karnowskich, pytając: »Dlaczego wyście to zrobili, dlaczego pozwalacie mu mówić, dlaczego powielacie jego poglądy?«. Ja uważam, że to był bardzo ważny wywiad, bo tam on w sposób bardzo kłamliwy, bezczelny ujawniał, co oni myślą, jak myślą, co będą robić, jakie tworzą uzasadnienia, i mówiąc krótko, sądzę, że dla wielu ludzi to było ważne, bo to demaskowało Rosję. To nie była promocja Rosji, to było demaskowanie". Prawda czasem jednak zwycięża.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Gorąca linia

„Rozmawiałem z przewodniczącą Ursulą von der Leyen i jestem dobrej myśli, że Komisja Europejska będzie stawiała dodatkowe warunki...” (Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej, 25.05.2022).

– ***Halo, Ursula?***

– Najn, Helga, iś bin oficjel asistent...

– ***A jest Ursula?***

– Ein moment, bitte... Halo?

– ***Guten morgen, Ursulko!***

– Z tej strony Helmut. Frau Ursula jest zajęta.

– ***To bitte jej szprechen, że Rafał telefoniren. Bardzo pilna sprawa!***

– Rafael?

– ***Ja.***

– Nadal?

– ***Nadal prezydent Warschau, ja.***

– Ten tenisista?

– ***Jaki tenisista? Nie, no skąd. Nadal jest chyba niższy. Za to w tenisa gra lepiej. Chociaż nigdy nie mieliśmy okazji...***

– Halo?

– ***Ursula? No, nareszcie! Już myślałem, że mnie ten baran nigdy nie połączy...***

– Helmut szprechen, frau Ursula już podchodzi... Halo?

– ***Ursula? No, nareszcie! Już myślałem, że mnie ten... Ale na pewno Ursula?***

Ursula: – Ja, ja.

Rafał: – No, a tu ja, Rafał.

Ursula: – Kto?

Rafał: – Już nie pamiętasz, jak cię witałem na lotnisku w Warszawie?

Ursula: – Ten w czapce?

Rafał: – W jakiej, k..., czapce? Na lotnisku, nie w hotelu! Przepraszam, ale nie ma nawet ajn moment do stracenia. Pani pozwoli, że jeszcze raz się przedstawię: moje nazwisko... Mam wymawiać tak, jak się mówi u was czy u nas? Bo u was to Szaskosky...

Ursula: – Jak ten od śpiewu łabędziego?

Rafał: – Jeśli już, to od jeziora. I to był Czajkowski, który już nie żyje.

Ursula: – Rozumiem. Coś jeszcze?

Rafał: – Tak. Chodzi o pieniądze...

Ursula: – Ty chcesz pieniędzy za witanie?

Rafał: – Nie. Mówię o funduszach dla Polski...

Ursula: – Wszystko w porządku. Już się dogadaliśmy.

Rafał: – Jak to dogadaliście się?!

Ursula: – Kilka drobiazgów i przelewamy.

Rafał: – Jak to przelewacie?!

Ursula: – Normalnie. Kompromis. A co?

Rafał: – Ty się mnie jeszcze pytasz? To ja ci odpowiem pytaniem: jak ja, k..., teraz wygram wybory? Przecież mieliście ich zagłodzić!

Ursula: – To była tylko metafora...

Rafał: – Metasrora! Obiecaliście, że kasa będzie zamrożona tak długo, aż nie wrócimy do władzy! Wy i my! Sto rezolucji żeśmy wam napisali!

Ursula: – Sytuacja się zmieniła. Wojna jest.

Rafał: – Jaka wojna? Kogo wojna obchodzi? Ja już sobie zdjęcia w ośrodku dla uchodźców zrobiłem. My też walczymy jak lwy!

Ursula: – Z kim, z demokracją?

Rafał: – Z jaką demokracją? Z konstytucją! To znaczy – w ręce! Ursulka, czy ty myślisz, że ja bym przegrał w uczciwych wyborach? Widziałaś, kto wygrał? A do Sejmu? A samorządowe? Jakoś wcześniej żeśmy się zamieniali: albo my, albo lewica. A teraz co?

Ursula: – Osiem lat rządziliście.

Rafał: – Ja byłem premierem? Od początku mówiłem, że trzeba autorefleksji. I młodych przyciągnąć. I co? I wraca ta hulajnoga brukselska, żeby wyskakiwać z wieszaniem prezydenta!

Ursula: – On mówi o tobie to samo.

Rafał: – Że co?

Ursula: – Nie pamiętam. Głupek? Du...

Rafał: – Dobra, nie kończ. Dla wszystkich starczy miejsca. Tylko nie możecie im wypłacić tych pieniędzy.

Ursula: – Komu? Polakom?

Rafał: – A po co tak wielkie słowa? Pisowskiemu rządowi.

Ursula: – Nigdy?

Rafał: – Jak wrócimy, to wypłacicie. A teraz wyślijcie im nowe kamienie milowe. Ja zresztą już kilka mam. Ziobro do więzienia. Kaczyński też.

Ursula: – Mogą się nie zgodzić.

Rafał: – To nie wypłacicie. Kolejna sprawa: premierem rządu musi być Trzaskowski. Czyli ja, ja? A Tusk na prezydenta, ale Sopotu. Niech Putinowi filmiki z molo wysyła. Do tego zakaz opuszczania kraju dla wszystkich parlamentarzystów PiS. Albo nie – właśnie muszą opuścić. W 24 godziny.

Ursula: – A co w zamian?

Rafał: – Może lody? Albo zoo?

Ursula: – Wolne żarty. Co możesz nam zaoferować jako przyszły premier?

Rafał: – O, jejku, wszystko. Muzeum Pamięci Żołnierzy Wehrmachtu? Pomnik Obrońców Monte Cassino? Likwidacja Okęcia? Wiem, przyślę młodzież do zbierania szparagów. Od Owsiaka się weźmie.

Ursula: – Mało.

Rafał: – Obowiązkowa matura z niemieckiego. Statua Wdzięczności Komisji Europejskiej za Niezagłodzenie Narodu Polskiego. Spacer ze mną śladami kogo chcecie...

Ursula: – To ja ci podpowiem. Zrobimy tak: my powiemy Polsce, że pieniądze już wysłaliśmy, ale na adres niemieckiej ambasady. A wy już sobie tam z Donaldem wcześniej podjedziecie ciężarówką i wszystko weźmiecie. Na cele statutowe. W zamian obiecacie nam na piśmie, że już nigdy więcej nie wspomnicie nawet o żadnych roszczeniach, jawohl?

Rafał: – Oczywiście. Ja to osobiście gwarantuję.

Ursula: – Ani tych z II wojny światowej, ani żadnych innych. A już na pewno nie ma mowy, żebyśmy coś dali na uchodźców.

Rafał: – Jawohl. Ja też ich tutaj nie zapraszałem. To co, zablokujecie?

Ursula: – Zobaczymy.

Rafał: – Ja bym wszystko... ja mogę nawet...

Ursula: – Odmaszerować. To znaczy rozłączyć się. Aha, to była rozmowa wyłącznie między nami, jasne?

Rafał: – Ja. Ja, naturliś, milczę jak grób. Przecież wiesz, że mi można zaufać...

Krzysztof Feusette

eprasa.pl 9c4e90eb77

Nie ma powrotu do szczawiu i mirabelek

Polskę czeka weryfikacja bardzo wielu programów, także socjalnych – oświadczył Michał Kamiński

Wicemarszałek Senatu Michał Kamiński (do izby wyższej parlamentu wszedł z listy PSL) daje wyborcom do zrozumienia, że po wyborach (w domyśle wygranych przez opozycję) Polacy będą musieli pożegnać się z programami społecznymi wprowadzonymi przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Takie deklaracje to najprostsza droga do przegrania wyborów. Przekonały się o tym Platforma Obywatelska i Nowoczesna przy okazji poprzednich wyborów parlamentarnych.

Co kampania wyborcza, to nowe pomysły opozycji na zmiany, modyfikacje, a czasem nawet likwidację programów społecznych, które wprowadził w życie rząd Zjednoczonej Prawicy. W 2019 r. partie mocno się na takich zapowiedziach sparzyły. Tym razem może być podobnie. „Rolą polityków jest nie tylko opowiadanie, ale przeprowadzanie także trudnych zmian w taki sposób, by jak najmniej ludzi na tym ucierpiało – oświadczył na antenie TVN24 Michał Kamiński. – Polskę czeka weryfikacja bardzo wielu programów, także socjalnych. Nikt, kto jest uczciwy, nie powie inaczej" – wyjaśnił wicemarszałek Senatu.

Kamińskiemu warto więc przypomnieć – i wcale niekoniecznie z sympatii do jego osoby – nim pobiegnie do kolejnej stacji lub rozgłośni radiowej, że przed wyborami 2019 r. równie chętnie o zmianach w programach socjalnych mówili politycy Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej. Przypomnijmy sobie, jak to było.

„Będziemy chcieli w następnej kadencji Sejmu zająć się problemem pod tytułem »czy się stoi, czy się leży, 500+ się należy«. To jest dysfunkcyjne. 500+ sprawia, że trwale bezrobotni rodzice nie podejmują pracy, bo korzystają z dodatku. Jeśli ojciec z matką nie pracują, ale utrzymują się tylko ze świadczeń socjalnych, to jest to problem. Nie może być tak, że obydwoje nie pracują, bo w takich przypadkach 500+ plus jest szkodliwe" – deklarował w rozmowie z „Super Expressem" Jan Grabiec. Zmian chciał także Sławomir Neumann. „Chcemy go [program 500+ – przyp. red.] powiązać z pracą, czyli żeby nie był programem socjalnym, ale prodemograficznym. Z programu będą mogły skorzystać te rodziny, w których chociaż jeden z rodziców pracuje lub – jeśli nie pracuje – to chociaż poszukuje pracy" – zapowiadał w TVP1 polityk PO. Także obecny szef Nowoczesnej przed ostatnimi wyborami jasno deklarował: „Zlikwidujemy program 500+ i powołamy lepszy program – Aktywna Rodzina, który nie wyklucza kobiet z rynku pracy, który daje szanse tym osobom przede wszystkim pracującym. Chodzi o to, by mieć ulgę podatkową dla tych osób, które pracują" – mówił w RMF FM Adam Szłapka. Te szumne zapowiedzi skończyły się wyborczą porażką.

Wydawać się mogło, że opozycja już więcej nie zdecyduje się podnosić ręki na program 500+. Tym bardziej że po powrocie z Brukseli do polskiej polityki do bycia autorem programu wsparcia rodzin ochoczo przyznał się Donald Tusk, twierdząc, że Ewa Kopacz nie zdążyła go po prostu wyjąć z szuflady, ale był gotowy. Ten sam Tusk, który w 2015 r. prosił, by Prawo i Sprawiedliwość wskazało mu miejsce, gdzie zakopano środki na realizację programu, kilka tygodni temu zaskoczył opinię publiczną deklaracją, że wobec programu 500+ konsensus jest powszechny i zrozumiały i nikt tego wsparcia nie będzie polskim rodzinom zabierał.

Niemal dekadę temu Stefan Niesiołowski, przez chwilę polityczny kompan Michała Kamińskiego, powiedział: „Pamiętam, jak ja chodziłem do szkoły, to wtedy rzeczywiście, jeśli ktoś miał bułkę, kawałek czekolady, to było: »Daj gryza«. Myśmy grali w piłkę, gdy była przerwa, to wyjedliśmy cały szczaw z nasypu i wszystkie śliwki ulęgałki, mirabelki jedliśmy. Dzisiaj te wszystkie gruszki, śliwki leżą i nikt tego nie zbiera. Chłopaki grają w piłkę na tych samych boiskach, szczawiu nikt nie zjada. Ja nie mogę słuchać o przynajmniej 800 tys. głodnych dzieci" – mówił polityk. Za tę wypowiedź w 2013 r. Stefan Niesiołowski otrzymał Srebrne Usta radiowej Trójki.

Dziś nie ma już powrotu do szczawiu i mirabelek, a bieda straciła twarz dziecka. Ścieżka, na którą dziś wkroczył Michał Kamiński, to prosta droga do wyborczej porażki. Ale czy to moje zmartwienie?

Dorota Łosiewicz

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nagroda Darwina dla Putina

Jan Pietrzak

Alarmująca wiadomość ze świata zwierząt: stado byków błąka się koło Prudnika. W tej sytuacji wraca pytanie, gdzie się podziały „wolne krowy", o których ryczały media przed paroma laty i posłanka Spurek w europarlamencie? Czy coś nam umknęło? Czy nie istnieje jakiś związek między tymi wydarzeniami? To pytanie w stylu red. Wołoszańskiego odkrywającego tajną historię XX w. Może byki wyruszyły na poszukiwanie tamtych krów? Choć to irytuje nowatorów życia społecznego, w środowisku zwierzęcym nie udało się zniechęcić byków do kopulacji z krowami. Na emocje podrajcowanych byków nakłada się niejasna sprawa epidemii zwanej małpią ospą. Informacje docierające do ludzkiego stada są nader skąpe, a przecież przez dwa lata borykaliśmy się z epidemią COVID-19. Mamy prawo być nadwrażliwi. Jeżeli wirus chińskich nietoperzy doprowadził do globalnej pandemii, to co nas czeka ze strony małp, które są ruchliwsze i nie sypiają tak długo jak nietoperze.

Jest sporo chorób atakujących ludzi przy pomocy innych stworzeń: ptasia grypa, wścieklizna lisów, borelioza odkleszczowa, gąbczaste zapalenie mózgu! Czerwonka, żółtaczka, białaczka... Cała tęcza zaraźliwych przypadków. Czy nie mamy do czynienia ze zmową cywilizacji bakteryjno-wirusowej? Wiadomość pozytywna jest taka, że wiele pokoleń w Polsce szczepiono przeciw ospie, więc być może odporność na te choróbsko jest wystarczająca, by nie poddać się małpiej psychozie.

Co do samych małp, nawet nie roznosząc wirusa, też potrafią tworzyć zagrożenia społeczne szaleńczymi demonstracjami. No cóż, zwolennicy Darwina twierdzą, że wszyscy kiedyś byliśmy małpami. Ktoś na świecie przyznaje Nagrodę Darwina za najbardziej idiotyczne zachowanie prowadzące do zgonu. Zapamiętałem dwóch złodziei, którzy rozsadzili semteksem bankomat, by ukraść pieniądze. Rzeczywiście pieniądze się rozsypały, ale oni również. Przeskakując do spraw bieżących, kto wie, czy nie nadchodzi czas, by Nagrodą Darwina obdarować lokatora Kremla, który wyjątkowo niemądrze wiedzie swoje dzikie plemię do zguby?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Biznes Roberta Lewandowskiego

Dominik Zdort

Nasz sportowy heros Robert Lewandowski na konferencji prasowej polskiej reprezentacji wypowiedział się w sprawie swoich klubowych planów. Powiedział publicznie, że z Bayernem Monachium mu już nie po drodze.

Szkoda, lubię bawarski klub, ale też bardzo lubię Lewandowskiego. Robercik jest świetnym przykładem zasłużonego sukcesu, co więcej: polskiego sukcesu. Nie wiem, czy jest mędrcem, czy głupcem, ale wiem na pewno, że jest człowiekiem rozważnym oraz odpowiedzialnym i o rozwój tych cech napastnika zabiega jego (być może inteligentna, a na pewno nadzwyczajnie sprytna) małżonka. Chwała jej za to.

Trudno więc nie dojść do wniosku, że wypowiedź Lewandowskiego na konferencji prasowej była elementem większego planu. To nie żaden przypadek, żadne emocje. Po prostu nasz bohater ustalił ze swoim menedżerem i swoją wspaniałą żoną, że tu i teraz należy powiedzieć mocne słowa. Publicznie wywrzeć nacisk na trudnego negocjatora.

Nie mnie oceniać, czy to słuszne, ale najpewniej było przemyślane i okaże się skuteczne. Ja o swoich obecnych i byłych szefach źle nie mówię i mam nadzieję, że i oni mnie nie obsobaczają. Ale do wypowiedzi Lewandowskiego mam inne wątpliwości. Czy konferencja prasowa narodowej reprezentacji to odpowiedni moment na prowadzenie biznesowych gierek ze swoim klubem? Czy naprawdę taka gwiazda jak Robert musi wykorzystywać tego typu okazje, by załatwiać swoje prywatne interesy?

Media piszą, że za trzy lata gry w Barcelonie Lewandowski mógłby dostać niemal 30 mln euro. Najpewniej byłyby to ostatnie wielkie pieniądze, które zarobiłby jako piłkarz, więc walczy o nowy kontrakt w nowym klubie jak lew. Trudno mu się dziwić, każdy by o to zabiegał, to święte prawo piłkarza.

Ale ja bym się nad naszym kapitanem bardzo nie użalał – media obliczają, że majątek zgromadzony przez futbolistę i jego małżonkę to – bardzo ostrożnie licząc – dużo ponad 100 mln euro. Na biednego nie trafiło, ma z czego żyć, inwestuje w różne biznesy, pomnaża oszczędności. A więc czy rzeczywiście musiał wykorzystać konferencję polskiej reprezentacji, by wywrzeć nacisk na Bayernie?

Tym bardziej to nieładne, że nie mógł o tym biznesowym planie nie widzieć trener Czesław Michniewicz (jego też lubię) i najwyraźniej się na to zgodził. Rozumiem, że trudno odmówić Lewandowskiemu. Ale wszystko to jakieś małe, śliskie i obrzydliwe.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 9c4e90eb77

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy partia niemiecka może stać się amerykańska?

Niedawno na portalu wPolityce.pl Stanisław Janecki napisał, że Donald Tusk chciał wymienić patrona niemieckiego na amerykańskiego, ale Waszyngton nie był zainteresowany jego ofertą. Pupilem Amerykanów w PO ma być prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Myślę, że sprawa jest poważniejsza niż kariery wspomnianych polityków, które, delikatnie powiedziawszy, w małym stopniu mnie interesują. Ale pytanie, czy PO z partii niemieckiej stanie się ugrupowaniem (pro)amerykańskim, powinno nas realnie zajmować.

Ciągle jeszcze i w dającej się przewidzieć przyszłości to ta partia będzie rzecznikiem interesów III RP, a więc główną opozycją wobec PiS, które dziś (lepiej lub gorzej) reprezentuje polski interes. Czytelnicy mogą obruszyć się na takie przeciwstawienie: czy w PO nie ma polskich patriotów, czy ci, którzy głosują na nią są gorszymi Polakami?

Można zgodzić się, że nawet większość działaczy partii Tuska uznaje, iż broni interesu swojego kraju, a poparcie dla nich wskazuje, że zgadza się z nimi spora grupa naszych rodaków. Problem w tym, że politycy ci nie wierzą, by Polska mogła funkcjonować samodzielnie i zasadniczo nie chcieliby tego, co wynika z ich bardzo sceptycznego stosunku do historii i możliwości naszego narodu – nie tak łatwo połączyć poglądy takie z patriotyzmem, ale ludzi stać na intelektualną ekwilibrystykę. Postawa taka przez liderów i sympatyków ugrupowania Tuska bywa wyrażana niekiedy wprost. Wezwanie byłego RPO Adama Bodnara, by likwidacja reformy wymiaru sprawiedliwości przebiegała pod zagranicznym nadzorem, jest tego tylko ostatnim przykładem. Dlatego przyszłość swoją i kraju – co w perspektywie ich aktywności wychodzi na jedno – politycy ci widzą wyłącznie uzależnioną od zagranicznej siły.

Przez dwie ostatnie dekady ich strategia była prosta: Polska powinna wtopić się w UE, która podobno ma stanowić wyższą formą egzystencji zbiorowej, sprawiedliwie harmonizującej interesy obywateli rozpuszczających się we wspólnocie narodów. Fakty świadczące o tym, że narody rozpuszczać się nie chcą, a tzw. dobro Europy okazuje się tożsame z korzyścią Niemiec – z Polską bywa znacznie gorzej – są przemilczane albo zakłamywane. Wojna na Ukrainie odsłoniła jednak egoistyczny nacjonalizm Berlina i Paryża tak jaskrawo, że stosowanie tej metody staje się coraz trudniejsze. Można oczywiście powtarzać, że gdyby Kijów należał do UE, kontynentalne mocarstwa wspierałyby go bardziej i były surowsze wobec Kremla. Jednak polityka osi Berlin–Paryż uderzała także w kraje należące do Unii Europejskiej, m.in. w Polskę, i była podejmowana nie tylko bez uzgodnienia z nimi, ale także bez liczenia się z ich bezpieczeństwem. W tej sytuacji, gdy Stany Zjednoczone wracają do Europy, a dawne argumenty stają się coraz bardziej wątpliwe, możliwość zmiany patrona dla PO może się jawić jako opcja atrakcyjna.

Dla jej działaczy w aspekcie mentalnym nie wiąże się to z żadnym kłopotem, podobnie jak dawnej nomenklaturze nie przysporzyło trudności przeniesienie centrali z Moskwy do Waszyngtonu, a później Berlina. Nie chcę utożsamiać PO z PZPR, ale w odniesieniu do świadomości kolonialnej, czyli uznania, że Polska, której podobno nie stać na niepodległość, musi znaleźć zewnętrznego patrona, różnice nie wydają się znaczące. Również dla Amerykanów łatwiejszy jest „partner", który bez szemrania będzie wypełniać ich dyrektywy. Demokraci w USA coraz mocniej ulegają presji dominującej w Europie ideologii emancypacji, co powoduje, że zdecydowanie wygodniejszy jest dla nich układ z oportunistyczną partią Tuska niż broniącym polskiej tożsamości PiS.

Z perspektywy dobra narodu zależność od Amerykanów jest zdecydowanie lepsza niż od Niemców, którzy w wymiarze ekonomicznym traktują nas jako neokolonię i nie zapewniają żadnego politycznego bezpieczeństwa. Wprawdzie Amerykanie również mają w naszym kraju swoje biznesy, o które zabiegają nie licząc się z niczym – przykład TVN jest tego najlepszym dowodem – ale są od nas zdecydowanie dalej, nie grozi nam więc przekształcenie w ich przemysłowe zaplecze, a przede wszystkim w ich interesie leży silna Polska, która stanowiłaby znaczący element globalnej struktury bezpieczeństwa. Lepiej więc, by poszukująca zewnętrznego protektora opozycja odwróciła się od Niemiec i zwróciła w kierunku USA, co nie znaczy, że byłaby to sytuacja dobra.

Albowiem Polska nie jest skazana na rolę zagranicznego protektoratu. Zwłaszcza dziś, kiedy moskiewska agresja paradoksalnie otworzyła przed nami nowe możliwości, a więc wspierany przez Stany, ale realnie niezależny blok Europy Środkowo-Wschodniej. Wykorzystanie tej historycznej szansy oznacza wysłanie na polityczny śmietnik tych, którzy politykę polską postrzegają jako poszukiwanie zagranicznego mocodawcy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c4e90eb77

Walizka Marka Sierockiego

prezentera muzycznego

Moim ulubionym miejscem, do którego lubię jeździć i latać to Hiszpania, którą zjeździłem wzdłuż i wszerz. Najbliższa memu sercu jest Barcelona. Staram się tam bywać co najmniej dwa razy w roku. Hiszpanię kocham m.in. za to, że tam ludzie są uśmiechnięci. Jest to na pewno zasługa słonecznej pogody, a także nadużywania czterech słów: por favor, gracias, perdón (proszę, dziękuję, przepraszam) i ola! W Polsce, mówiąc do obcej osoby „cześć", można być odebranym nie do końca właściwie, tam to jest naturalne.

BARCA

Gdy jestem w Barcelonie, staram się być na wszystkich meczach drużyny, którą pokochałem – FC Barcelony. Nawet miałem okazję poznać osobiście Messiego. Jeszcze będę się bardziej cieszyć, gdy Robert Lewandowski zostanie piłkarzem tego klubu, bo wszystko na to wskazuje.

PRZYJAŹNIE

• Przez lata jeżdżenia do Barcelony zaprzyjaźniłem się z kilkoma bardzo fajnymi osobami. Pierwsza z nich to znany malarz – Antonio Esteve Rius. Połączyła nas miłość do muzyki Chopina. O naszym kompozytorze wie absolutnie wszystko. Ma w swojej kolekcji 1,5 tys. płyt z jego kompozycjami, z czego część przywiozłem mu z Polski. Ja z kolei jestem właścicielem kilku obrazów Antoniego, które przedstawiają moje ulubione miejsca Barcelony.

• Drugą osobą, którą znam i lubię, jest artysta Delafé. Kiedyś byłem przypadkiem na koncercie jego zespołu – Delafé y las Flores Azules. Na drugi dzień poszedłem kupić sobie ich płyty i okazało się, że sprzedawca jest kuzynem lidera tego zespołu. Tak go poznałem. Na początku lipca w Gironie z okazji 25-lecia kariery Delafé y las Flores Azules odbędzie się jubileuszowy koncert, na który mam nadzieję pojechać.

Fot.: Andrzej Wiktor, mat. z archiwum MS, Shutterstock, mat. prasowe DELAFÉ Y LAS FLORES AZULES

eprasa.pl 9c4e90eb77

DEPECHE MODE

Mam kolekcję ich wszystkich płyt, sporo bootlegów. Byłem na 20 koncertach Depeszów w kraju i za granicą. Dzięki krążkowi „Violator" odnieśli światowy sukces. Ze smutkiem przyjąłem śmierć Andy'ego Fletchera. Miałem przyjemność go poznać w 2001 r., kiedy DM mieli koncert w Warszawie. To był człowiek, który spajał zespół, łagodził konflikty między Dave'em Gahanem a Martinem Gore'em.

TAPAS BARY

Mam dwa ulubione miejsca na kulinarnej mapie Barcelony. Pierwsza to La Plata przy ul. Merce, malutki lokal w domu, w którym mieszkał przez dwa lata Picasso. Właścicielem baru jest Pepe, jedyny kibic Realu Madryt w Katalonii. Gdy Real wygrywa z Barcą, to nie musimy płacić rachunku, gdy przegrywa – to Pepe chce wyrzucić wszystkich z lokalu... Drugie takie miejsce to jest bar El Trope, który przed pandemią nazywał się El Tropezone. Nadal są fantastyczni.

CHRIS REA

Był jednym z bohaterów cyklu „Gwiazdy w Jedynce", gdy tam szefowałem. Niesamowita chrypka, świetnie gra na gitarze, rewelacyjnie komponuje. Człowiek orkiestra. Kilka razy żegnał się ze sceną, ale na szczęście zawsze wraca.

BRYAN FERRY

To mistrz muzycznej elegancji. Zarówno lubię utwory, które nagrywał z Roxy Music, jak i jego solowe. W te wakacje zabiorę płytę z jego najpiękniejszymi balladami.

LEKTURA

Uwielbiam zabierać z sobą biografie muzyków. Na najbliższą podróż biorę książkę poświęconą Urszuli. Artystkę lubię i doskonale znam, ale chciałbym przeczytać tę książkę, żeby dowiedzieć się takich rzeczy, których jeszcze nie znałem z jej biografii.

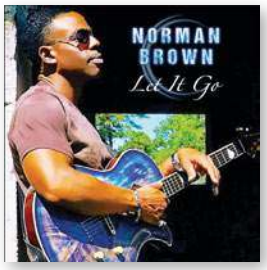

NORMAN BROWN

Genialny gitarzysta, który zaczynał, wykonując muzykę zbliżoną stylistycznie do tej George'a Bensona. Ta najnowsza płyta to mieszanka jazzu i soulowej muzyki funky. Świetny miks.

MIKROFON

Od 20 lat zabieram z sobą mikrofon i jakąś nagrywarkę. Często się zdarza, że w miejscach, które odwiedzam, mogę spotkać znanego artystę, z którym mogę nagrać wywiad. Tak zdarzyło się m.in. w Mediolanie w sklepie z płytami, w którym natknąłem się na Freda Venturę.

RICK BRAUN

To trębacz, który współpracował m.in. z Arethą Franklin i Philem Collinsem. Kibicuję jemu od 2002 r., gdy byłem w Nowym Jorku w dzielnicy Green Village i tam trafiłem na koncert promujący wówczas jego czwartą płytę.

SŁUCHAWKI

Na targach sprzętu elektronicznego w Krakowie występowałem w roli didżeja. Właścicielowi firmy Signature nie spodobały się słuchawki konkurencyjnej firmy, które wtedy miałem, i podarował mi te.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl 9c4e90eb77

OGNIEM NA WPROST

Dron i ignoranci

Czy ruski sołdat wie, jak się obchodzić z wojenną techniką? Otóż nie wie. Albo wie za mało. Ostatnio w sieci pojawiły się dwa nagrania wiele mówiące o poziomie wyszkolenia Rosjan. Oba pochodzą z drona. Jedno to ujęcie z bezpilotowca Switchblade, zwanego dronem kamikadze. Urządzenie to lata sobie tak długo, aż namierzy cel. Potem pikuje prosto na nie, by rozerwać się na kawałki razem z trafionym obiektem. Tak było i tym razem. Niefrasobliwi żołnierze urządzili sobie popijawę na grzbiecie transportera opancerzonego. Zajęci degustacją wódy nawet nie patrzyli w górę, skąd nadlatywał prosto na nich z dużą prędkością Switchblade. Nagle film się urywa. Skutki uderzenia widać na ujęciu z drugiego drona. Spalony wrak pojazdu opancerzonego i porozrzucani w różnych pozach uczestnicy libacji. Nawet nie zdążyli obalić do końca półlitrówki. „Jakie życie, taka śmierć, nie mówię nic".

Inny ruski mądrala stał z ekipą sołdatów tuż obok BTR-82A (ros. skrót od „bronietransporter" – transporter opancerzony). Nadleciało ukraińskie urządzenie. Kamera robiła zbliżenia pojazdu i załogi, specjalnie się nie spiesząc. Nawet dureń wie, że trwało namierzanie celu. Dureń wie, ale nie Ruski. Jeden z sołdatów zauważył drona i pokazał mu środkowy palec. Po tym geście operator bezpilotowca zwolnił bombę, która po kilku sekundach trafiła w pojazd, niszcząc go i rozrzucając odłamki po okolicy. Specjalista od gestów doigrał się. Zamiast zwiewać gdzie pieprz rośnie, kozaczył. Bezczelność została ukarana.

Ukraińcy w okolicach rzeki Siewierskij Doniec, 100 m od rosyjskich pozycji, zdobyli cały i zdrowy BWP (bojowy wóz piechoty, po rosyjsku BMP). Należał do dowódcy 8. kompanii 35. zmotoryzowanej strzeleckiej brygady kpt. Dmitrija Furduja. Kamera filmuje tzw. rozpakowkę pojazdu opancerzonego. Ukraińcy wzięli łom i młotek, bo tylne drzwi były zabezpieczone kłódką. Po zerwaniu blokady nastąpiło coś w rodzaju „sezamie, otwórz się". Miejsca dla piechoty dosłownie były zawalone różnymi rzeczami. „I co woził z sobą kpt. Furduj?" – pytają Ukraińcy, śmiejąc się do rozpuku. Najpierw rozpakowali worek z kilkunastoma kradzionymi telefonami Motorola. Dalej obok starego bochenka chleba walały się nowiutkie aparaty fotograficzne i kamery. Oczywiście trofiejne („zdobyczne"). Później był słoik z kiszonymi ogórkami podwędzony z jakiejś piwnicy. „Ajajaj! – dziwi się Ukrainiec. – A szto eto takoje?". „Szlifmaszyna" – odpowiada drugi, pokazując do kamery nowiutkie, prosto ze sklepu opakowanie ze szlifierką w środku. „Szlifować prijechał. Tank mu korodujet?" („Czołg mu rdzewieje") – zadaje sam sobie pytanie ukraiński żołnierz. „Kapitan Furduj z 8. roty – podsumowuje – wy prosto wor!" („Jesteś zwykłym złodziejem").

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy często publikuje nagrania podsłuchanych dialogów rosyjskich żołnierzy i oficerów. Przechwycenie rozmów między Rosjanami nie jest trudne, gdyż żołnierze korzystają z systemu łączności, który nie jest chroniony złożonymi algorytmami przeskoku częstotliwości. Zdaniem gen. Davida Petraeusa, dyrektora CIA w latach 2011–2012, praktycznie każdy radioamator lub Ukrainiec korzystający ze skanera policyjnego może znaleźć rosyjskie kanały radiowe, przesłuchać je i nagrać. Tak samo było i teraz. Żołnierz opowiada żonie o wizycie gen. Walerija Sołodczuka w jednostce na froncie. Z batalionu liczącego 600 ludzi zostało przy życiu 215. Rozmówcy do końca kontraktu pozostało 20 dni. Generał chciał ich znowu posłać do boju. Odmówili. Dowódca wyjął pistolet i zaczął im grozić zabiciem na miejscu. „Dawaj, strielaj! Wszyscy zginiemy!" – krzyknął żołnierz, wyjmując zawleczkę z granatu. Sołodczuk na takie dictum zabrał swoich ochroniarzy ze specnazu. „On w swoj bobik, na ch...j, seł i ujechał" („Wsiadł do swojego samochodziku i na ch...j pojechał") – kończył opowieść sołdat. Takie to stosunki panują w ruskim wojsku podczas donieckiej ofensywy.

Kolejna podsłuchana przez SBU rozmowa nie najlepiej świadczy o logistyce „drugiej armii świata". Sołdat stacjonujący w obwodzie chersońskim rozmawia z kolegą i chce pożyczyć od niego pieniądze na jedzenie. Prośbę swą motywuje w dość szczególny sposób: „Jest ch...wo, dostajemy od Ukraińców wp...dol, nie mamy co jeść. Dziś zjedliśmy yorkshire terriera". Smacznego!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c4e90eb77

Wspólne dziedzictwo

Marta Kaczyńska-Zielińska

Pomoc humanitarna i wojskowa, której Polska udziela Ukrainie, oraz zbliżenie między naszymi narodami są zjawiskiem bezprecedensowym we współczesnym świecie słynącym z globalizacji, ale często pozbawionym empatii i woli autentycznego wspierania drugiego człowieka. Zdarzają się jednak osoby, które spoglądają na naszą otwartość z pewną obawą powodowaną pamięcią historyczną odwołującą się do wydarzeń z czasów II wojny światowej, a w szczególności do rzezi wołyńskiej.

Nie zapominając o trudnych momentach naszych dziejów, przepracowując je uczciwie i we wzajemnym zaufaniu, trzeba ugruntować wiedzę o mocnych kartach naszej przeszłości i, zupełnie pragmatycznie planując przyszłość, czerpać ze wspólnego dziedzictwa, które sięga aż do początków państwa polskiego.

Współpraca między Polską a Ukrainą została nawiązana za czasów Rusi Kijowskiej i państwa Mieszka I. Jarosław Mądry, władający Rusią w połowie XI w., pomagał powrócić na polski tron Kazimierzowi Odnowicielowi i walczył o jedność państwa Piastów, któremu zagrażał władający Mazowszem Miecław. Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały wspierali swoich powinowatych w zdobywaniu władzy w Kijowie. Piastowie współdziałali nie tylko z Rurykowiczami, lecz także z Romanowiczami, którzy dzięki polskim staraniom zasiedli na tronie halickim. Słynna bitwa pod Grunwaldem to nie tylko sukces polskiego i litewskiego rycerstwa, ale też rycerzy i bojarów ruskich. W 1514 r. kniaź Konstanty Ostrogski, dowodząc armią złożoną z Rusinów, Litwinów i Polaków, pokonał wojska moskiewskie w bitwie pod Orszą. Za czasów Kazimierza Wielkiego część ziem ruskich została włączona do Królestwa Polskiego. W czasie obowiązywania unii lubelskiej stanowiliśmy jedno państwo. XVI i XVII w. to okres zagrażających Rzeczypospolitej najazdów tatarskich i imperium osmańskiego, w których walczyli przedstawiciele ruskiej, czyli ukraińskiej, szlachty i rycerstwa, a także Kozacy. W 1621 r. szlachta ruska i właśnie Kozacy przyczynili się do powstrzymania Osmanów w bitwie pod Chocimiem. Rusini wspierali nas za panowania Stefana Batorego, a także w okresie zasiadania na polskim tronie dynastii Wazów. W XVII w., w czasie wielkiej smuty, szlachta ruska i Kozacy walczyli z Moskalami, podobnie było pod Smoleńskiem. W czasie potopu szwedzkiego Rusini także stawali w szeregach polskiej armii. W 1658 r., ratując się przed dominacją Księstwa Moskiewskiego, zawarto unię hadziacką, na mocy której RP została państwem składającym się z Korony Polskiej, Litwy i Księstwa Ruskiego. Czas zaborów, w którym państwo polskie na 123 lata zostało wymazane z mapy Europy, obfitował w konflikty między Polakami a Ukraińcami, które były inspirowane przez ościenne państwa.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości relacje polsko-ukraińskie były skomplikowane, ale niepozbawione dobrej woli i inicjatyw sprzyjających wykuwaniu się państwowości narodów, które odzyskały zdolność do samostanowienia. Od czasu objęcia władzy przez Józefa Piłsudskiego zrobiono wiele dla ukraińskiej mniejszości w Polsce. W II RP działało kilka ukraińskich partii politycznych, w polskim parlamencie zasiadało ok. 150 posłów i ponad 30 senatorów ukraińskich. 22 kwietnia 1920 r. w Warszawie, po tajnych rokowaniach polsko-ukraińskich, została zawarta umowa między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową, powszechnie znana jako sojusz Piłsudski–Petlura. Na mocy tego kontraktu Polska uznała prawo Ukrainy do niepodległości, a także porozumiano się co do linii granicy. Polska w 1991 r. jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy. W 2006 r. prezydenci Juszczenko i Kaczyński mówili o konieczności przeproszenia i przebaczenia za dawne winy. Trzy lata później prezydenci Polski i Ukrainy modlili się wspólnie w intencji ofiar masakry polskich mieszkańców wsi Huta Pieniacka, dokonanej w 1944 r. przez ukraińskich nacjonalistów.

Solidarność okazywana przez Polaków Ukraińcom, dokonujące się pojednanie między naszymi narodami, a także zintensyfikowana współpraca polskiego i ukraińskiego rządu w ostatnich tygodniach dowodzi, że spełniają się słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który mówił, że nie możemy zmienić przeszłości, ale możemy sprawić, by nie determinowała przyszłości.

Reklama | 84/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

Poznanie treści tej notatki się Polakom po prostu należy

Samuel Pereira

Gdy w czasie rosyjskiej agresji na Ukrainę Roman Giertych, Tomasz Lis i Donald Tusk zaczęli lansować rosyjskie kłamstwa o „polskich planach rozbioru Ukrainy", wielu łapało się za głowę albo pytało o źródło inspiracji tych pisanych cyrylicą wrzutek. Tak się składa, że pomysł aneksji części ukraińskiego terytorium rzeczywiście pojawił się w kontaktach polsko-rosyjskich, tyle że za rządów PO-PSL.

„Chciałem przeprosić za niezręczność" – mówił w Sejmie w 2014 r. ówczesny szef MSZ Radosław Sikorski, odnosząc się do swojej rozmowy z portalem Politico, podczas której ujawnił prywatną rozmowę Tuska z Władimirem Putinem. Najpierw twierdził, że odbyła się ona w lutym 2008 r. „To była pierwsza rzecz, którą przedstawił Putin mojemu premierowi Donaldowi Tuskowi, gdy ten był z wizytą w Moskwie. Powiedział, że Ukraina to sztuczny kraj, a Lwów jest polskim miastem i dlaczego tego problemu nie rozwiązać razem? Tusk na szczęście nie odpowiedział. Wiedział, że jest nagrywany" – relacjonował Sikorski. Wybuchła polityczna burza i zaczęły padać pytania, dlaczego informacji o takiej propozycji Tusk nie przekazał ani Polakom, ani Ukraińcom, ani żadnej instytucji międzynarodowej, która mogła być zainteresowana wiedzą na ten temat. Tego samego dnia Sikorski zapytany wprost, czy się wycofuje ze stwierdzenia, że podczas wizyty Tuska w Moskwie padły słowa, które przytoczył, odpowiedział, że „w tej sprawie zawiodła go pamięć".

Po czterech latach pamięć odświeżył i w swojej książce doprecyzował, że Putin rzeczywiście zaproponował to Tuskowi osobiście, ale nie w 2008 r. i nie w stolicy Rosji, tylko 1 września 2009 r. w Sopocie. Czy działo się to na molo, gdzie – według zeznań samego Tuska – panowie rozmawiali tylko o pogodzie, bieganiu i jedzeniu? Tego Sikorski nie doprecyzował. Jak wymowna jest cała ta sprawa z punktu widzenia obecnych działań Rosji, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Czy w odpowiedzi na taką propozycję Putina powstała jakakolwiek notatka z tej rozmowy? Jeśli tak, to w obecnej sytuacji powinna zostać ujawniona.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Witajcie w naszej bajce

Tomasz Kot jako nowy Ambroży Kleks

Niezapomniany pan Kleks z filmów Krzysztofa Gradowskiego – Piotr Fronczewski – namaścił odtwórcę głównej roli w nowej adaptacji książki Jana Brzechwy. Wielką niespodzianką jest to, że Adasia zastąpi na ekranie Ada Niezgódka (w tej roli 13-letnia Tosia Litwiniak).

Jakie nastawienie do projektu i postaci, w którą się wcieli, ma Tomasz Kot?

Najważniejsze jest wyzwanie. Jak człowiek się z nim mierzy, czuje, że żyje. To też wielki zaszczyt i presja, ponieważ w mojej świadomości, podobnie jak w świadomości rzeszy widzów, Piotr Fronczewski jest absolutnie najfantastyczniejszym Kleksem.

Co łączyło go do tej pory z „Akademią pana Kleksa"?

Są trzy pytania, które słyszę najczęściej: „Jak to jest nauczyć się tyle tekstu na pamięć?", „Czy wolę teatr, czy film?" i „Skąd wziął się pomysł na aktorstwo?". Kiedy padało któreś z nich, często odpowiadałem, że byłem jednym z dzieciaków filmowej „Akademii pana Kleksa". Wszyscy to łykali, bo trudno taką informację zweryfikować, a to był oczywiście żart.

Co zapamiętał z filmu Gradowskiego?

Kiedy pierwszy raz oglądałem „Akademię...", chodziłem do drugiej klasy podstawówki, mój brat do pierwszej. Przytuleni przeżyliśmy na seansie największą traumę dzieciństwa – w związku z pochodem wilkołaków. Czytam teraz na forach, że nie tylko my mamy takie wspomnienia.

Tzw. uciekające zdjęcia do filmu w reż. Macieja Kawulskiego zaczną się 11 czerwca. Ekipa wejdzie na dobre na plan w lipcu. Premiera – za 18 miesięcy.

Oprac. ***JGZ***

fot. materiały prasowe

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, AFP PHOTO/ADAM BERRY/EAST NEWS, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, PAP/RADEK PIETRUSZKA, MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK/INGUS KRUKLITIS, JOHN M POLITRACK, VITALY KOROVIN, SYMBIOT, SKYLINES

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

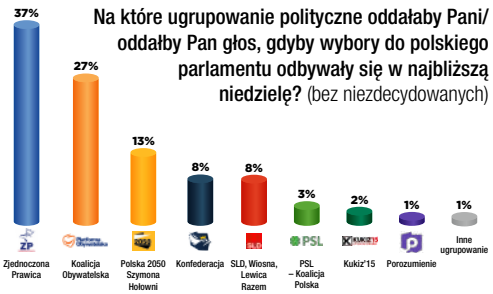

Jak Pani/Pan ocenia działania prezydenta Andrzeja Dudy związane ze wspieraniem walczącej Ukrainy?

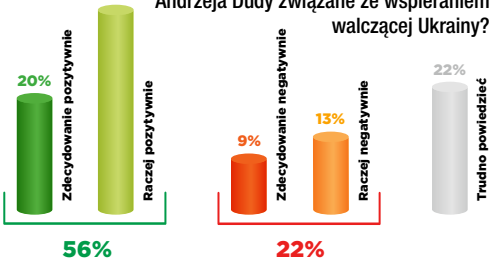

Jak według Pani/Pana powinna postąpić Ukraina?

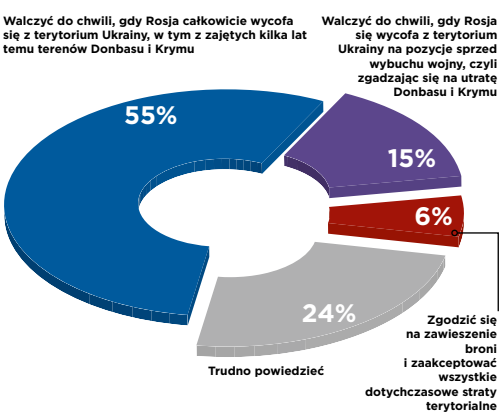

Czy popiera Pani/Pan przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej?

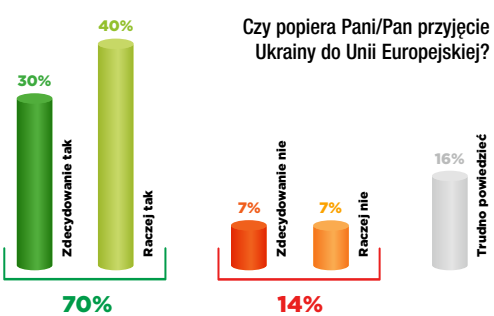

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1055.

Zakres czasowy badania 23–30 maja 2022 r.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Wielki przewrót

Plan dla opozycji: obalić Tuska, wynieść Trzaskowskiego, wygrać wybory w Polsce i włączyć się w federalizację Unii Europejskiej

STANISŁAW JANECKI

Takie nagromadzenie wydarzeń nie może być dziełem przypadku, tym bardziej gdy jedne często wynikają z drugich. Oto Donald Tusk przestał być przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej. A ta funkcja, przynajmniej formalnie, czyniła go najlepiej umocowanym i najbardziej wpływowym politykiem opozycji. Oto ten sam Donald

eprasa.pl 9c4e90eb77

Fot. Rafał Guz/PAP

Tusk przestał być bezalternatywnym przywódcą Platformy Obywatelskiej, choć wydawało się, że mandat uzyskany ledwie 23 października 2021 r. (97,4 proc. głosów) jest silny i zapewnia przywództwo na cztery lata. Oto stał się on przeszkodą w jednoczeniu opozycji na wybory parlamentarne, a jego udział w samorządowym porozumieniu opozycji pod hasłem „Tak! Dla Polski" nic istotnego z sobą nie niesie, tym bardziej że porozumienie to podpisał także Rafał Trzaskowski, a w innych partiach byli to wyłącznie liderzy (prezydent Sopotu Jacek Karnowski występował jako koordynator ruchu).

Oto Tusk stał się problemem dla administracji Joe Bidena jako ten polityk, który postawił na Niemcy przeciw Stanom Zjednoczonym. Oto nowy rząd Niemiec (kanclerza Olafa Scholza) nie traktuje Tuska jako „swojego człowieka" w Warszawie i strukturach europejskich ani nawet politycznego sojusznika, skoro przez lata był bardzo blisko związany z opozycyjną obecnie CDU i nie zostawił nawet furtki dla innych opcji. Oto nie odgrywa Tusk jakiejkolwiek roli ani w polskiej i europejskiej polityce wobec napadniętej przez Rosję Ukrainy, ani w planach przyszłej odbudowy tego państwa. Oto w opozycyjnych mediach przestał być nie tylko tym, który powrócił, by wygrać, ale przede wszystkim tym, który może być największą przeszkodą w wygraniu wyborów parlamentarnych. I na koniec ten sam Tusk przestał być punktem orientacyjnym dla lobby, grup interesów i środowisk opiniotwórczych w Polsce i za granicą, które w nim i kierowanej przez niego Platformie Obywatelskiej upatrywały gwaranta zachowania swoich wpływów.

W mniej więcej jednym czasie doszło do takiego nagromadzenia czynników działających na niekorzyść Donalda Tuska, że nie sposób mówić o przypadku. Uzasadnione jest za to twierdzenie, że w instytucjach międzynarodowych, poszczególnych stolicach, nieformalnych ośrodkach władzy, lobby, grupach interesów i środowiskach opiniotwórczych zapadła decyzja, by z Tuska zrezygnować i wymienić go na kogoś nowego. By dokonać swego

eprasa.pl 9c4e90eb77

rodzaju wielkiego przewrotu po stronie polskiej opozycji. Wielkiego dlatego, że Tusk liderował tym partiom, środowiskom i grupom przez ostatnie 17 lat. I ktoś zdecydował (w Polsce i za granicą), że na tym powinno się skończyć, gdyż Tusk nie daje już żadnych zysków, żadnych przewag, a wręcz przeciwnie – stał się największym problemem i obciążeniem opozycji. Uniemożliwiając nowe polityczne konfiguracje i uwzględnienie interesów nowych graczy. To, że sam Tusk wydaje się nie przyjmować tego do wiadomości, nie ma większego znaczenia. Decyzja zapadła, wajcha została przestawiona, a teraz będzie trwało odliczanie.

SKREŚLONY W WASZYNGTONIE

Pierwszy sygnał o tym, że Donald Tusk jest przeszkodą, a nie wartościowym sojusznikiem, nadszedł z Waszyngtonu. I był reakcją na działania byłego przewodniczącego Rady Europejskiej, by wkraść się w łaski administracji Joe Bidena. Przy tym Tuskowi pomagały różne wpływowe osoby, np. obecny ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski oraz były ambasador w Warszawie, a potem wysoki urzędnik Departamentu Stanu, Daniel Fried. Gdy 25–26 marca 2022 r. prezydent Biden przebywał w Polsce, Tusk robił wszystko, by się z nim spotkać. Aby prezydent supermocarstwa wydzielił specjalne okienko dla byłego polskiego premiera i formalnie najwyższego urzędnika Unii Europejskiej. Pomoc Frieda i Brzezinskiego okazała się nieskuteczna podobnie jak działania wpływowych amerykańskich znajomych Anne Applebaum (żony Radosława Sikorskiego), z którą Tusk napisał wspólnie książkę „Wybór". Nieskuteczne okazały się też działania wpływowych postaci z europejskiej części medialnego potentata Discovery, właściciela telewizji TVN.

Biały Dom i Departament Stanu pozostały niewzruszone i nie były zainteresowane żadną formą wyróżnienia Tuska. Stał się on persona non grata dla administracji Donalda Trumpa, a jego następca tego nie zmienił. Przede wszystkim za antyamerykanizm Tuska w czasie, gdy ochłodziły się relacje między Brukselą a Waszyngtonem. Wprawdzie Biden uznał kurs Trumpa wobec UE za błąd, ale w Departamencie Stanu zapamiętano wypowiedzi Tuska sugerujące, że Ameryka nie jest Unii do niczego potrzebna. Wypowiedzi obrażające instytucję prezydenta USA, podważające rolę tego państwa jako supermocarstwa. Tuska zakwalifikowano wtedy w Waszyngtonie jednoznacznie jako „głos Berlina" i rządu Angeli Merkel. I jako głos przeciwników USA. Gdy kariera Merkel dobiegła końca, Tusk gorączkowo szukał możliwości przestawienia się z Berlina na Waszyngton, jednak jego zabiegi nic nie dały. Dla Waszyngtonu dawno przestał być wiarygodny i nie zamierzano tego statusu zmieniać. A nie sposób wyobrazić sobie kandydata na najwyższe stanowiska w Polsce, który byłby persona non grata dla Waszyngtonu, szczególnie w czasie trwania wojny na Ukrainie, a także w czasie jej odbudowy.

> W Departamencie Stanu zapamiętano wypowiedzi Tuska sugerujące, że Ameryka nie jest Unii do niczego potrzebna. Wypowiedzi obrażające instytucję prezydenta USA

I Waszyngton ma już nowego „swojego człowieka" w Warszawie – Rafała Trzaskowskiego. Spotkał się on z prezydentem Joe Bidenem podczas jego wizyty w Polsce, dostał szansę wystąpienia w Kongresie, wywiady z nim przeprowadziły wielkie amerykańskie sieci telewizyjne, i to mimo zabiegów przyjaciół Tuska, by Trzaskowskiego nie lansować. Stan na dziś jest taki, że Waszyngton uważa Tuska za przeszłość, do której nie warto wracać, a przyszłością spośród polityków opozycji jest Trzaskowski.

Drugi sygnał o tym, że Donald Tusk jest przeszkodą, a nie wartościowym sojusznikiem, nadszedł z Brukseli, a właściwie z Berlina. Jeszcze zanim CDU straciła władzę w Niemczech, nie była zadowolona z tego, jak Tusk sprawuje funkcję przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej. Jeszcze jesienią 2021 r. CDU naciskała, by Tuska wymienić na „swojego" Manfreda Webera, choć to głównie dzięki tej partii Tusk został wybrany. Chciano, by Tusk odszedł jeszcze w 2021 r., ale ostatecznie zawarto z nim ugodę, że pozostanie do końca kwietnia 2022 r., choć on sam chciał urzędować do końca listopada 2022 r. Ostatecznie względy techniczne zdecydowały, że Tusk przestał być szefem EPL 31 maja 2022 r. Dla niemieckich chadeków przestał on mieć jakąkolwiek wartość wraz z odejściem Angeli Merkel. Nie uznali go też oni za przyszłościowego sojusznika, oceniając, że ma małe szanse powrotu do władzy w Polsce. Jednoznaczne bliskie związanie się z CDU i Merkel pogrzebało szanse Tuska na choćby neutralne relacje z rządzącą obecnie SPD czy jej koalicjantami (FDP, Zieloni).

Tusk wysyłał sygnały do urzędu kanclerskiego, że jest gotów otworzyć nowy rozdział, lecz pozostały one bez odpowiedzi. Rząd w Berlinie zachował się wobec Tuska tak jak administracja Bidena. I znowu za polityka perspektywicznego uznano w stolicy Niemiec Trzaskowskiego. Założono, że będzie się starał mieć dobre relacje z rządem w Berlinie, tak jak ma już je z socjaldemokratyczną burmistrz Franziską Giffey. I nie jest obciążony wiernopoddańczymi związkami z CDU.

Dla Paryża i prezydenta Emmanuela Macrona Donald Tusk nie ma żadnego znaczenia od momentu, gdy przestał być przewodniczącym Rady Europejskiej. Paryż też nie widzi dla Tuska przyszłości w polskiej polityce, więc czeka na jakieś gesty ze strony Trzaskowskiego, choć nie jest to tak ważne jak dla Berlina. Będzie ważniejsze, gdyby to prezydent Warszawy był lide-

eprasa.pl 9c4e90eb77

rem opozycji podczas wyborów albo jej kandydatem na premiera. Tuska tak się nie traktuje.

TWARDY JAK TRZASKOWSKI, MIĘKKI JAK TUSK

Rafał Trzaskowski przygotowuje się do sfinalizowania wielkiego przewrotu, ustawiając się nie tylko do rozgrywki z Donaldem Tuskiem, lecz także wobec Brukseli. Żądanie od przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, by stawiała Polsce dodatkowe warunki przed przekazaniem pieniędzy w ramach Krajowego Planu Odbudowy, to część planu, w którym Trzaskowski zastępuje Tuska jako partnera Komisji Europejskiej i sił w instytucjach UE dążących do zmian w Polsce. Oraz jako część planu kooptacji na potrzeby zmiany władzy nowych sił i ich zaplecza w postaci lobby oraz grup interesów, przede wszystkim tych stojących za Szymonem Hołownią i jego Polską 2050. To także jest alternatywa wobec Tuska i tego, co przez lata reprezentował. Trzaskowski jest przekonany, że jeśli w relacjach z Brukselą zastąpi Tuska, to w Polsce będzie mu łatwiej stać się liderem opozycji.

Prezydent Warszawy zauważył, że obietnice Tuska, iż będzie pomagał, żeby pieniądze z KPO trafiły do Polski, nie przynoszą opozycji (PO) żadnych korzyści, więc postanowił działać odwrotnie – stać się podżegaczem, namawiającym instytucje unijne do jak najtwardszego stanowiska wobec Polski. Jako podżegacz i zwolennik kolejnych sankcji wobec Polski Trzaskowski kreuje się na najtwardszego lidera opozycji, który swoją nieprzejednaną postawą doprowadzi do zapaści w Polsce i zmiany nastrojów społecznych, za co powinien być nagrodzony przez te siły w Polsce i za granicą, które czekają na zmianę władzy. Trzaskowski zmienił więc taktykę i chce zostać liderem nie przez wygranie wyborów w PO, lecz przez zajęcie miejsca lidera wobec czynników zewnętrznych, w tym wobec Waszyngtonu, Berlina i Paryża. Tusk ma być postrzegany jako polityk już wypalony, należący do przeszłości i za miękki w stosunku do rządzących, dlatego powinien być zastąpiony przez młodszego, ambitnego i walecznego Trzaskowskiego, który nie ustąpi, aż nie doprowadzi do zmiany władzy w Polsce.

Rafał Trzaskowski, wspierany przez siły krajowe i ośrodki zagraniczne, chce przenieść rozgrywkę z Tuskiem na inny poziom niż polityka partyjna czy krajowa i stać się jedynym partnerem Brukseli w dążeniu do przejęcia władzy w Polsce. I chce się odwołać do tego, że był podżegaczem i twardzielem już w 2016 r., gdy redagował pierwszą rezolucję Parlamentu Europejskiego przeciwko Polsce. Teraz chce uchodzić za tego, który od razu miał rację, proponując najostrzejszy kurs, a wszystko zepsuli Borys Budka i Donald Tusk jako liderzy PO zbyt łagodni, niewykorzystujący środków nacisku na Polskę, jakie mają Komisja Europejska, Parlament Europejski i TSUE. Trzaskowski ma być najbardziej bezkompromisowym przeciwnikiem obecnie rządzących, na którego Bruksela musi postawić, bo inaczej nie będzie zmiany w Polsce i spokoju w czasie posiedzeń Rady Europejskiej. Bez takiej zmiany nie da się zrealizować planu federalizacji Unii Europejskiej, przekształcania Komisji Europejskiej w unijny rząd, Parlamentu Europejskiego (kandydatów wybierano by w całej Unii, a nie tylko poszczególnych państwach) w instytucję mającą ważniejszą pozycję niż parlamenty krajowe i TSUE jako najwyższej władzy, nie tylko sądowniczej (oczywista byłaby też wtedy wspólna prokuratura). Do tego wszystkiego potrzebne jest zniesienie zasady jednomyślności w głosowaniach w Radzie Europejskiej, co Polska pod rządami Trzaskowskiego bez problemu by zaakceptowała.

> Trzaskowski przygotowuje się do sfinalizowania wielkiego przewrotu, ustawiając się nie tylko do rozgrywki z Donaldem Tuskiem, lecz także wobec Brukseli

PRZEWRÓT W POLSCE, ZMIANY W UE

Nieprzypadkowo Rafał Trzaskowski w „Super Expressie" (30 maja 2022 r.) snuł plany startu w wyborach parlamentarnych zamiast w samorządowych. To miałoby mu dać lepszą pozycję w walce o przywództwo. Tym bardziej że chciałby być jedynką w Warszawie, co nie tylko zapewniałoby mu prawdopodobnie najlepszy wynik w Polsce w wyborach parlamentarnych, ale też spychało Tuska do Gdańska, gdzie miałby być jedynką, podczas gdy lider opozycji powinien kandydować ze stolicy. A jeśliby to Trzaskowski kandydował w Warszawie i uzyskał najlepszy wynik w Polsce, byłoby oczywiste, kto jest liderem i kandydatem na szefa rządu. Trzaskowski liczy na to, że jeśliby opozycja przegrała wybory parlamentarne, zrezygnowałby z mandatu posła i wystartował w wyborach prezydenta Warszawy. Winę za porażkę zrzuciłby na tego, kto miał doprowadzić do zwycięstwa, czyli Tuska, a sam kreował się na tego, który chciał pomóc, uzyskał najlepszy wynik w kraju (liczbowo), ale nie mógł więcej zrobić. Wraca więc do Warszawy, ale chce rozliczenia winnych porażki w wyborach. I to go ustawia jako nowego lidera. A wtedy powinien być jedynym poważnym kandydatem opozycji na prezydenta Polski w 2025 r. To scenariusz awaryjny. Podstawowy jest ten, w którym chodzi o dokonanie wielkiego przewrotu jeszcze przed wyborami parlamentarnymi. A gdyby opozycja wygrała wybory parlamentarne, Trzaskowski byłby ojcem zwycięstwa i przyszłym premierem, po czym wdrożyłby scenariusz wielkiej zmiany nie tylko w Polsce i w Unii Europejskiej. A to, że Polska stałaby się tylko euroregionem, nie miałoby dla niego większego znaczenia.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Ani kroku wstecz

Polska znajduje się dzisiaj w niebezpieczeństwie, nad którym nie mamy pełnej kontroli. Nikt bowiem nie potrafi precyzyjnie przewidzieć, co szykują na Kremlu. Nie oznacza to jednak, że powinniśmy czekać z założonymi rękami na to, aż rosyjskie wojska wtargną do Polski. Nie warto też zabiegać o względy Moskwy, bo takie gesty zachęcają ją jedynie do agresji. Jedyne więc, co pozostaje, to szykować się na wojnę. Nie po to, by ją stoczyć, ale po to, by jej uniknąć

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W trakcie ponad trzech miesięcy rosyjskiej agresji na Ukrainę dowiedzieliśmy się o otaczającej nas rzeczywistości bardzo wiele. Dziś dla każdego jest już chyba oczywistością, że nie żyjemy w bezpiecznym, przewidywalnym świecie, a wojna w Europie to nie rozdział z podręcznika od historii, lecz zatrważająca realność. Po masakrze cywilów w Buczy runęły wszystkie nadzieje na to, że Rosja jest państwem cywilizowanym, które – mimo swoich kulturowych odmienności – podąża podobnym kursem co Zachód.

Również polskie obiekcje wobec Zachodu, a zwłaszcza Niemiec, znalazły w ostatnich tygodniach swoje potwierdzenie. Niemcy, chcące uchodzić za wzorową demokrację i mentora dla „niedojrzałej politycznie" Europy Środkowo-Wschodniej, same okazały się więźniem swoich historycznych uprzedzeń i schematów. Ich dążenie do dominacji w Europie oraz wejście w stare koleiny porozumienia z Rosją udowodniły, że szeroko głoszone w Berlinie hasła o praworządności i wspólnej, zjednoczonej Europie są frazesami przykrywającymi geostrategiczne interesy Niemiec. I że te interesy mimo odmiennej niż kiedyś retoryki wcale się zasadniczo nie zmieniły. Ci, którzy – tak jak np. prezydent Lech Kaczyński – już wcześniej zwracali na to uwagę, byli najczęściej wyśmiewani przez sprzedajnych cyników i przytakujących im głupców. Niestety, mimo tragedii, jaka rozgrywa się dzisiaj za naszą wschodnią granicą, niewiele się tutaj zmieniło.

Tymczasem wojna na Ukrainie powinna zadziałać na wszystkich Polaków jak zimny prysznic i obedrzeć ich z wielu złudzeń. Otaczający nas świat nie różni się

Fot. MON

eprasa.pl 9c4e90eb77

bowiem aż tak bardzo od tego, w którym przyszło żyć poprzednim pokoleniom. Owszem, jesteśmy świadkami postępu technologicznego, żyjemy w świecie internetu, smartfonów oraz gwałtownych przemian kulturowych, ale zachowania ludzkie, interesy poszczególnych państw i ich sposób uprawiania polityki pozostają w gruncie rzeczy podobne jak kiedyś. Należy więc wyciągnąć z tego właściwe wnioski. Póki jeszcze nie jest na to za późno.

WEHIKUŁ CZASU

Do niedawna mogło się zdawać, że po doświadczeniach II wojny światowej zbrodnie wojenne będą już zawsze omijać Europę, a okrucieństwa są specyfiką „dzikich" narodów zamieszkujących tysiące kilometrów od nas. Jednak masakra w Buczy przypomniała nam brutalnie, że Rosja niczym się od tych „dzikich" państw nie różni i w związku z tym wcale nie jesteśmy bezpieczni. Teoretycznie powinniśmy mieć tego świadomość, w końcu już po upadku komunizmu doszło w Europie do rzezi cywilów na Bałkanach, a sama Rosja toczyła dwie krwawe wojny w Czeczenii i najechała na Gruzję. Wszystkie te konflikty toczyły się jednak z dala od naszych granic, więc nie wydawały się groźne dla bezpieczeństwa całej Europy. Również rosyjski najazd na Donbas i aneksja Krymu w 2014 r. nie stały się dzwonkiem alarmowym. Moskwie udało się wtedy przeprowadzić tę operację w sposób relatywnie bezkrwawy, więc – poza rytualnymi głosami zaniepokojenia i protestu – nie zakłóciło to spokojnego snu Zachodu, który szybko powrócił do dawnego ubijania interesów z Moskwą. I tym samym dał jej przyzwolenie na dalszą agresję. Tym razem na znacznie większą skalę i – jak się szybko okazało – bez żadnych zahamowań.

Podczas inwazji na Ukrainę Rosja zaprezentowała swoje barbarzyństwo w całej okazałości. Mimo rosyjskich zapewnień o używaniu precyzyjnej amunicji szeroko stosowano zwykłe bomby, w tym kasetowe i fosforowe, a pozycje przeciwnika, często na terenie miast, ostrzeliwano artylerią rakietową, co powodowało i nadal powoduje ogromne zniszczenia materialne i ofiary wśród ludności cywilnej. Niewiele zmieniły się też metody postępowania rosyjskich wojsk na zajętych terenach, gdzie – tak jak w podkijowskiej Buczy – okupant dopuszczał się rabunków i okrutnych gwałtów. Wszystkie te zbrodnie są napędzane faszystowską, rewizjonistyczną ideologią propagującą nienawiść wobec Ukraińców oraz odmawiającą im prawa do własnej tożsamości i państwowości. Po Ukraińcach w kolejce czekają już inni: Polacy, Bałtowie, być może Rumuni.

Za sprawą rosyjskiej polityki wojennej cofnęliśmy się więc w czasie co najmniej do epoki II wojny światowej.

POLA ŚMIERCI

Dziś nietrudno sobie chyba wyobrazić, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Ukraina poniosła klęskę w wojnie i moskiewskie hordy – nie napotykając już żadnych przeszkód – podążyłyby dalej na zachód. Każde polskie miasto i każda wieś, znajdujące się w zasięgu rosyjskich wojsk, byłyby narażone na całkowite zniszczenie, a ich ludność na ograbienie i wymordowanie. Tereny zajęte przez Moskwę stałyby się wyludnionymi polami śmierci.

> Wojna na Ukrainie powinna zadziałać na wszystkich Polaków jak zimny prysznic. Otaczający nas świat nie różni się bowiem aż tak bardzo od tego, w którym przyszło żyć poprzednim pokoleniom

Nic więc dziwnego, że rządy państw bałtyckich, podobnie jak Polska, narażonych na bezpośrednią agresję ze strony Moskwy, zażądały od NATO zmiany planów obronnych. Dotychczasowe plany zakładały bowiem, że oddziały paktu północnoatlantyckiego wycofają się przed nacierającymi wojskami rosyjskimi w stronę wybrzeża Bałtyku, skąd po otrzymaniu wsparcia przystąpią do kontrofensywy. Musiałoby to jednak oznaczać, że spora część terytorium państw bałtyckich znalazłaby się przez pewien czas pod okupacją rosyjską. Po zbrodniach wojennych popełnionych przez Rosjan na Ukrainie taki scenariusz nie wchodzi już jednak w rachubę. Bałtowie chcą, aby NATO wzmocniło swoje kontyngenty w ich krajach, tak by mogły one zatrzymać agresora na granicy. W przeciwnym razie na terenach zajętych przez Rosjan dojdzie do masowych gwałtów na ludności cywilnej.

Ten sam scenariusz musi być rozpatrywany w przypadku Polski. Tym bardziej że Polska w oczach moskiewskiego reżimu stanowi główną przeszkodę w realizacji jego imperialnych planów. Rosyjska propaganda codziennie zieje nienawiścią do naszego państwa i gdyby Kreml mógł bez żadnych konsekwencji uderzyć na Polskę i ją zniszczyć, już dawno by to uczynił.

Rosjanom wystarczyłoby zresztą dojść do Wisły, by całkowicie zdemontować polską państwowość. Państwo pozbawione stolicy i niemal połowy swojego terytorium byłoby przecież niezdolne do utrzymania suwerennej pozycji. Jesienią ub.r. pojawiały się zresztą w rosyjskich mediach projekty przesunięcia zachodnich granic Rosji aż na linię z 1914 r. z założeniem, że dawny zabór pruski wróciłby pod kontrolę Niemiec. O podobnym scenariuszu wspominał zresztą w swoim wojennym przemówieniu z 24 lutego sam Putin, podkreślając, że polskie ziemie zachodnie są „historyczną częścią Niemiec". Warto o tym przypomnieć, by zdać sobie sprawę z tego, co roi się w kremlowskich mózgach.

To egzystencjalne zagrożenie dla Polski, ponieważ stawką konfliktu z Rosją jest istnienie naszego państwa i życie jego mieszkańców. Podobnie jak w przypadku państw bałtyckich nie ma więc mowy o jakimkolwiek kroku wstecz. Jednak niebezpieczeństwo nie czai się wyłącznie na wschodzie.

LEKCJA Z WOJNY

Wszczynając wojenną awanturę na Ukrainie, Putin powiedział Zachodowi

eprasa.pl 9c4e90eb77

Ciągle istotną rolę na polu walki odgrywa broń pancerna, stąd zakupy przez MON czołgów Abrams oraz przymiarki do podobnych kontraktów z Koreą Płd.

„sprawdzam". Bo choć Moskwa, jak się szybko okazało, była od strony operacyjnej nieprzygotowana do przedłużającej się wojny, to przecież Ukraina nie jest jedynym celem Kremla. To tylko pierwszy etap agresji, po którym mają nastąpić kolejne. Jednak może do nich dojść tylko pod warunkiem złamania jedności i oporu Zachodu.

Kreml liczył z początku na to, że błyskawiczny upadek Ukrainy sparaliżuje zachodnie rządy i zmusi je do ustępstw. Tak się jednak nie stało. Niespodziewanie twardy opór Ukraińców oraz zbrodnie wojenne popełnione przez Rosjan w Buczy i Irpieniu doprowadziły do zwarcia szeregów na Zachodzie, a więc do reakcji odwrotnej niż ta, której spodziewał się Putin.

Teraz jednak, im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym jedność Zachodu jest poddawana coraz większej próbie. W wielu stolicach, zwłaszcza tych „tradycyjnie" zaprzyjaźnionych z Moskwą – w Berlinie, Paryżu, Rzymie i Budapeszcie – coraz więcej słychać o konieczności dogadania się z Rosją. Nawet kosztem interesów Ukrainy oraz państw wschodniej flanki NATO. Jeśli tak się stanie, to Putin mimo swojej porażki na początku wojny – ostatecznie osiągnie swój strategiczny cel.

> Po masakrze w Buczy nietrudno sobie wyobrazić, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Ukraina poniosła klęskę i moskiewskie hordy – nie napotykając przeszkód – podążyłyby dalej na zachód

Doprowadzi do podziałów wewnątrz Zachodu, co z kolei ułatwi mu dalszą agresję.

I choć należy mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie, Polska powinna być przygotowana na najgorszy scenariusz. Bo to jedyna droga, by go uniknąć.

Podstawowa lekcja, którą już dziś możemy wyciągnąć z wojny, jest taka, że trzeba liczyć głównie na własne siły. Ukraina otrzymała pomoc z Zachodu tylko dlatego, że zdołała przetrwać pierwsze uderzenie Rosjan. Oczywiście – w odróżnieniu od Ukrainy – jesteśmy członkiem NATO, które jest zobowiązane do udzielenia nam pomocy w razie ataku, jednak podobnie jak w przypadku Ukrainy rodzaj tej pomocy, jej skala i czas, w którym zostanie udzielona, są w dużym stopniu zależne od tego, jak długo zdołamy stawiać opór wrogowi. Absolutnym priorytetem jest więc budowa silnej, dobrze wyszkolonej i uzbrojonej po zęby armii, wspomaganej przez jednostki obrony terytorialnej.

WYŚCIG Z CZASEM

Po wybuchu wojny na Ukrainie i uchwaleniu ustawy o obronie ojczyzny modernizacja armii stała się znacznie łatwiejsza. Chodzi nie tylko o kwestie proceduralne i finansowe, ale i o wybór konkretnych rodzajów uzbrojenia, które mogą okazać się najskuteczniejsze w starciu z przeciwnikiem. Jesteśmy w o tyle dobrej sytuacji, że możemy obserwować poczynania rosyjskiej armii na Ukrainie i wyciągać z nich wnioski. To właśnie w odpowiedzi na siłę rosyjskiej artylerii rakietowej MON chce zamówić rekordową liczbę 500 wyrzutni rakietowych HIMARS z amunicją dalekiego zasięgu, dzięki czemu moglibyśmy dysponować najsilniejszą siłą ognia spośród europejskich państw NATO. Wiemy też, że ciągle istotną rolę na polu walki odgrywa broń pancerna (stąd zakupy czołgów Abrams oraz przymiarki do podobnych kontraktów z Koreą Południową). Niesłycha-

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER/EastNews

eprasa.pl 9c4e90eb77

nie ważny jest zwiad oraz ręczna broń przeciwlotnicza i przeciwpancerna. Rzeczywistość wojenna na Ukrainie z pewnością zweryfikowała część dawnych planów zakupowych, teraz zaś najważniejszy jest wyścig z czasem, by jak najszybciej zbudować siłę zdolną do zatrzymania wroga. Opór stawiany przez Ukraińców pokazał, że jest to możliwe, bo rosyjska armia – mimo wielkiej siły ognia i wyjąwszy broń jądrową – nie jest aż tak potężna, jak przedstawiała to kremlowska propaganda.

Oczywiście ważną rolę odgrywa tu również potencjał ludzki. Rosjanie mają armię źle dowodzoną, zdemoralizowaną i skorumpowaną, ale zasoby rekruta są tam – w przypadku mobilizacji – bardzo duże. Ukraina zdołała powołać pod broń kilkaset tysięcy żołnierzy (niektórzy mówią o milionie). To daje nam wyobrażenie, jak ważnym czynnikiem jest ciągle liczebność armii. W Polsce wprowadzono niedawno tzw. dobrowolną zasadniczą służbę wojskową, która w założeniu ma pozwolić na zwiększenie liczby żołnierzy do 300 tys. Niektórzy twierdzą, że to zbyt mało i należy rozważyć przywrócenie służby obowiązkowej.

Z powodów politycznych byłoby to jednak trudne. I niekoniecznie efektywne. Trzeba bowiem pamiętać, że obecne systemy uzbrojenia są tak skomplikowane, że nie obsłuży ich zwykły poborowy. Być może jakimś rozwiązaniem jest krótkie szkolenie z obsługi broni strzeleckiej (lub wyrzutni ręcznych pocisków przeciwpancernych i przeciwlotniczych) dla każdego, kto ukończył 18 lat. Jest to kwestia, którą zapewne warto przemyśleć.

STRASZAK NA ROSJĘ

Ogromne znaczenie ma fakt stacjonowania na naszym terytorium oddziałów sojuszniczych, w tym zwłaszcza amerykańskich. Amerykańska obecność militarna odgrywa szczególnie ważną rolę w trakcie trwającej właśnie modernizacji i przezbrajania polskiej armii, chroniąc nas przed ewentualnymi nieprzewidzianymi ruchami ze strony Moskwy. Choć liczba żołnierzy amerykańskich nie przekracza dziś w Polsce 10 tys., to należy zabiegać o jej zwiększenie oraz powstanie stałych – a nie jak do tej pory tylko rotacyjnych – baz NATO, co być może uda się osiągnąć podczas czerwcowego szczytu NATO w Madrycie.

Można zakładać, że to właśnie obecność Amerykanów w Polsce działa jako najskuteczniejszy straszak na Rosję. Właśnie dlatego Putin tak bardzo naciskał, by wycofać oddziały paktu za granice sprzed rozszerzenia NATO. Ewentualny atak na Polskę nie groziłby mu wówczas automatycznym konfliktem ze Stanami Zjednoczonymi.

Polska znajduje się dzisiaj w niebezpieczeństwie, nad którym nie mamy pełnej kontroli. Nikt bowiem nie potrafi precyzyjnie przewidzieć, co szykują na Kremlu. Nie oznacza to jednak, że powinniśmy czekać z założonymi rękami na to, aż rosyjskie wojska wtargną do Polski i zaczną nas zabijać, tak jak to robią dziś z Ukraińcami. Nie warto też zabiegać o względy Moskwy, bo takie gesty zachęcają ją jedynie do agresji. Jedyne więc, co pozostaje, to szykować się na wojnę. Nie po to, by ją stoczyć, ale po to, by jej uniknąć.

Naszemu Koledze

BOGDANOWI RZOŃCY

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

MAMY

składa Ryszard Legutko

w imieniu Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

4/0622/F

Z głębokim smutkiem zawiadamiam, że 29 maja 2022 r. zmarła przeżywszy 106 lat

ŚP

MJR MARIA MIRECKA-LORYŚ

PS. „MARTA"

urodzona 7 lutego 1916 roku w Ulanowie na Podkarpaciu.
Od października 1939 roku działała w strukturze konspiracyjnej podporządkowanej Stronnictwu Narodowemu.
Od wiosny 1940 r. komendantka Narodowej Organizacji Wojskowej Kobiet w powiecie niżańskim, następnie komendantka NOWK Okręgu Rzeszowskiego.
Kurierka Komendy Głównej Narodowej Organizacji Wojskowej.
Po scaleniu NOW z Armią Krajową kierowała Wojskową Służbą Kobiet Rzeszowskiego Podokręgu AK.
Od wiosny 1945 r. Komendantka Główna Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet.
W grudniu 1945 r. przedostała się na Zachód.
Do października 1946 r. pozostawała we Włoszech, następnie wyemigrowała do Wielkiej Brytanii. W 1952 r. zamieszkała w USA.
Zasłużona działaczka organizacji polonijnych.
Członkini Zarządu Głównego Związku Polek w Ameryce oraz Krajowego Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej.
W latach 1964-1995 redaktor naczelna „Głosu Polek".
W 2004 r. powróciła do Polski.
Uhonorowana Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz wieloma innymi odznaczeniami.
Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

3/0622/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

Oś Warszawa–Kijów? Wielu zrobi wszystko, by to zniszczyć

Potencjał obu krajów jest ogromny, ale elity ukraińskie muszą dokonać wyboru. Albo zmienią reguły gry i postawią na trudniejszą i dłuższą drogę wspólnie z Polską, albo za kilka lat czeka nas powtórka tragedii

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z Michałem Dworczykiem, szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, politykiem Prawa i Sprawiedliwości

eprasa.pl

Wrócił pan właśnie z Kijowa, z konsultacji między rządami polskim i ukraińskim. Po co taka wyprawa, jeśli można porozmawiać przez Skype'a?

Michał Dworczyk: To nie to samo. Czym innym jest rozmowa przez telefon czy komunikatory elektroniczne, a czym innym uścisk dłoni, rozmowa twarzą w twarz, także mniej formalna. To bezpośredni kontakt pozwala przełamać zakodowane w głowie wyobrażenia, stereotypy.

Polak z Ukraińcem się dogaduje?

Oczywiście są tłumacze, ale kiedy jeden mówi po polsku, drugi po ukraińsku, to się rozumiemy. To ma swoje znaczenie, ułatwia porozumienie. Przypomina, że jesteśmy jednak z jednego pnia. Patrzyłem na salę wspólnego posiedzenia obu rządów i miałem poczucie, że na naszych oczach dzieje się historia, że to naprawdę jest moment historyczny. Stoimy przed ogromną szansą, o której przez pokolenia oba narody mogły tylko marzyć.

Fot. Andrzej Wiktor

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Na czym polega ta historyczność momentu, o którym pan mówi?

Najlepiej ujął to chyba prezydent Wołodymyr Zełenski, lider kraju zaatakowanego przez Rosję, kraju tracącego tygodniowo setki żołnierzy i dziesiątki cywilów. To on stwierdził w czasie spotkania w Kijowie, że w tym morzu tragedii zdarzyła się jedna dobra rzecz: nastąpiło takie pojednanie Polaków i Ukraińców, o jakim nie mogliśmy nawet wcześniej marzyć. Także premier Kaczyński podkreślił, że dzisiaj jest pełna szansa na to, żeby stworzyć coś zupełnie nowego, że może powstać związek mający naprawdę potężne podstawy. To jest prawda. W tej dramatycznej sytuacji powstała szansa, by oba narody zajęły w Europie Środkowo-Wschodniej wyjątkowe, ważne, historycznie naturalne miejsce.

Oś Warszawa–Kijów?

Tak. Ta myśl towarzyszy nam od dawna, bo jest jasne, że tylko taki układ wymusi sytuację partnerskiego traktowania naszych krajów głównie przez Moskwę, a także przez Berlin oraz inne europejskie stolice. Dlatego zresztą uważam, że ten sojusz będzie bardzo trudny do zbudowania.

Przyjdzie kontra?

Już idzie. Wielu zrobi, co tylko w ich mocy, by do takiego przewartościowania nie doszło. Nie tylko z powodów czysto politycznych, ale przede wszystkim gospodarczych.

Wspólnie mamy 800 tys. kmkw. i 80 mln ludności.

Realnie, biorąc pod uwagę ukraińskie tereny znajdujące się pod okupacją rosyjską, migrację z tego kraju, a i nasze kłopoty demograficzne, to będzie nas pewnie ok. 70 mln. Ale to wciąż ogromny potencjał. Polityczny i gospodarczy. Oczywiście tylko potencjał. Wielkie, gęsto zamieszkane terytorium może być strefą dynamicznego rozwoju albo rezerwuarem taniej siły roboczej. Wszystko zależy od kontekstu i od tego, jak jest rządzone. Szansa jest ogromna, choć powtarzam: będzie to szalenie trudne do realizacji, bo nasi wschodni i zachodni sąsiedzi zrobią wszystko, by do takiego sojuszu nie doszło. Wykorzystają swoje możliwości wpływu politycznego, gospodarczego oraz resentymenty polsko-ukraińskie. Wszystko, co możliwe, zostanie wykorzystane, by do takiego zacieśnienia relacji polsko-ukraińskich nie doszło.

Pytanie zasadnicze dotyczy ukraińskiej gotowości do takiej współpracy? Już przed wojną pisaliśmy w tygodniku „Sieci" o niemieckiej zdradzie, ale gdy wojna wybuchła, postawa najpotężniejszego państwa UE wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę zszokowała cały świat. Przede wszystkim cynizmem, gotowością do handlu nie swoim terytorium. Czy jednak tuż po tym, jak kurz wojenny opadnie, ukraiński establishment nie pobiegnie znowu do Berlina w ukłonach?

Odpowiem tak: na pewno coś się zmieniło. Ale jak głęboko, na jak długo – nikt tego dziś nie wie. Problem w tym, że to nie jest kwestia bieżących decyzji kilku polityków. Za plecami mamy przecież kilka dekad formowania zarówno ukraińskich, jak i polskich elit przez niemieckie fundacje, organizacje pozarządowe, wielki wysiłek wkładany w związanie ludzi wpływowych, decyzyjnych, opiniotwórczych, przyszłościowych. Polityków, naukowców, dziennikarzy.

To były kuszące oferty!

Pełna zgoda. I dawały złudne poczucie elitom ukraińskim uczestnictwa jako równorzędny partner w europejskiej polityce. Jeszcze przed wojną powiedziałem znajomemu ukraińskiemu politykowi: „Uważacie, że wasze miejsce jest przy stole z największymi krajami UE. I to prawda, jesteście tam. Tyle że nie zauważacie, iż jesteście traktowani nie jak uczestnik obiadu, lecz danie przeznaczone do skonsumowania". Cóż, trzeba było wojny, by maski i złudzenia opadły.

Wracając do polityki niemieckiej wobec Ukrainy i Polski. Te działania zaowocowały gęstą siecią związków

eprasa.pl 9c4e90eb77

i zobowiązań, które trudno będzie odwrócić. W tym sensie podzielam panów intuicję, że prawdziwy test intencji elit ukraińskich i ich determinacji do zmiany priorytetów nastąpi po wojnie. Nie ma wątpliwości, że sympatia społeczeństwa ukraińskiego, dziś na poziomie 90 proc., pozostanie przy Polsce, ale elity będą musiały dokonać trudnego wyboru.

Co o tym zdecydowało?

Konsekwentna praca polityków i organizacji niemieckich. Granty, szkolenia, wspólne projekty – tak się buduje wpływy. Musimy się tego uczyć, mocniej w tym obszarze pracować. Wierzę, że dla nas ten dramatyczny wstrząs wojenny będzie również bodźcem do rozpoczęcia polityki bardziej skutecznej, długofalowej, zaprogramowanej.

Kiedy zaczniemy?

Już zaczynamy. W początkach czerwca rusza znowu Instytut Polski w Kijowie, wzmocniony dodatkowymi środkami, z jasnym zadaniem budowy swoich filii w najważniejszych miastach Ukrainy. W lipcu ma ruszyć Polska Fundacja Dobroczynna im. Klemensa Szeptyckiego, która będzie wspierała sieroty po poległych żołnierzach walczących z Rosją, kobiety uwolnione z rosyjskiej niewoli. Musimy się coraz lepiej poznawać, rozumieć i zbliżać, a na to trzeba czasu. Dlatego potrzeba tu konsekwentnej pracy, działań kontynuowanych przez kolejne kadencje i rządy niezależnie od naszych bieżących, wewnętrznych dyskusji politycznych.

Ukraina jest w stanie wojny. Czy może wchodzić w konkretne projekty?

Ależ oczywiście i to się dzieje. Podpisaliśmy w ostatnią środę w Kijowie w czasie konsultacji międzyrządowych wiele memorandów. Ułatwią one i zintensyfikują z korzyścią dla obu krajów współpracę w obszarze transportu, energetyki, importu i eksportu, infrastruktury granicznej, współpracy kulturalnej i przemysłowej.

Jak donoszą media, sprzedaliśmy Ukrainie kilkadziesiąt nowoczesnych armatohaubic produkowanych w Hucie Stalowa Wola, a wcześniej podarowaliśmy 18 krabów.

Ale to był kres naszych możliwości, jeśli chodzi o tego typu wsparcie. Udało się jednak wypracować rozwiązania, których efektem jest największy w historii polskiego przemysłu zbrojeniowego kontrakt. Armatohaubice Krab kalibru 155 mm, produkowane w HSW, to sprzęt najwyższej klasy. Jest tylko kilka produktów tego typu na świecie. Ukraińcy widzieli je podczas szkoleń w Polsce i wiedzieli od dawna, jak skuteczna jest to broń. Łączy ona w sobie najnowsze technologie w systemie kierowania ogniem czy lokalizacji celów. To jest również przykład szansy, która przed nami się otwiera. Dlaczego nie przeanalizować możliwości współpracy przy zwiększaniu produkcji krabów? Dlaczego poważnie nie myśleć o utworzeniu polsko-ukraińskich spółek, które będą produkowały nowoczesne uzbrojenie? To wszystko są szanse i tylko od nas zależy, czy będziemy potrafili dobrze je wykorzystać.

> Jeszcze przed wojną powiedziałem znajomemu ukraińskiemu politykowi: „Uważacie, że wasze miejsce jest przy stole z największymi krajami UE. I to prawda, jesteście tam. Tyle że nie zauważacie, iż jesteście traktowani nie jak uczestnik obiadu, lecz danie przeznaczone do skonsumowania". Cóż, trzeba było wojny, by maski i złudzenia opadły

Dziś świat już mniej się boi przekazywać ciężką broń Ukrainie?

Tak. To też zasługa Polski, która była pionierem w przełamywaniu tej bariery strachu. Pierwsi posłaliśmy ciężki sprzęt w poważnych ilościach na Ukrainę. I to w czasie, kiedy jeszcze wielu sądziło, że upadek Ukrainy jest kwestią tygodni, najdalej miesięcy. A Ukraińcom w pierwszych dniach wojny brakowało niemal wszystkiego – również amunicji. Np. znaczna część artylerii ciężkiej praktycznie nie miała czym strzelać! Bez wątpienia pomoc Zachodu pomogła Ukrainie się obronić. Kluczowa była jednak determinacja i bohaterstwo samych Ukraińców. Tego niemal nikt się nie spodziewał. Patrząc na pierwsze dni obronny naszych przyjaciół, przypomina się historia Sparty. Legenda głosi, że na pytanie: „Dlaczego Sparta nie ma murów?", jeden z jej władców odpowiedział: „Murami miasta są wojownicy Sparty!". I tak było na Ukrainie – mając olbrzymie deficyty w uzbrojeniu, w środkach bojowych i amunicji Ukraińcy podjęli zaciętą walkę i obronili kraj przed blitzkriegiem, który zaplanowali Rosjanie.

Czy hojne wsparcie przez Polskę wojska ukraińskiego nie osłabia naszych zdolności obronnych? Przekazaliśmy ponad 200 czołgów. To prawda, że zamówiliśmy nowe, ale na nie jeszcze poczekamy.

Eksperci są zgodni, że po tej wojnie Rosja na odbudowę zdolności niezbędnych do przeprowadzenia ataku siłami lądowymi będzie potrzebowała 5–10 lat. Zatem dzięki walce Ukraińców zyskaliśmy czas na budowę własnego potencjału obronnego. Ponadto trzeba pamiętać, że każdy rosyjski czołg zniszczony dzisiaj na Ukrainie, to jeden czołg mniej w możliwym ataku na Polskę. Dlatego to jest także nasza wojna. Opór Ukraińców daje nam też czas na zbudowanie koniecznych zdolności obronnych.

Polskich czołgów nie wyprodukujemy?

Niestety nie, bo w III RP te kompetencje utracono. Jest jednak kluczowa

eprasa.pl 9c4e90eb77

dla budowy silnej armii, opracowana przez premiera Jarosława Kaczyńskiego, Ustawa o obronie Ojczyzny i program dużych zakupów realizowany przez ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Nasza odpowiedź na agresję Rosji na Ukrainę i jej brutalny neoimperializm jest jasna: z jednej strony wszelka możliwa pomoc naszym sąsiadom w powstrzymywaniu agresora, z drugiej – wielki wysiłek budowy silnej armii.

Gdy premier Kaczyński prezentował swoją ustawę, opozycja z niej kpiła. Okazała się prorocza. W rządzie wiedziano, że będzie wojna?

Bez żadnych wątpliwości wojnę w pełnej skali przewidywali Amerykanie, nieco mniej zdecydowanie mówili o niej Brytyjczycy. Oczywiście nie ujawniali źródeł, ale ostrzegali sojuszników. Prezydent Andrzej Duda jeździł do Kijowa, premier Mateusz Morawiecki podjął wtedy wielką ofensywę dyplomatyczną, objechał w kilka dni Europę, mobilizując do działania, ostrzegając przed rosyjską agresją. Od pewnego momentu mieliśmy świadomość, że wszystko wskazuje na zbliżający się atak Rosji, ale większość krajów europejskich nie wierzyła w ten scenariusz.

Rosjanie nie docenili jednak Ukraińców. Dlaczego?

Był to splot wielu czynników. Rosyjska pycha, korupcja i reżim, w którym każdy boi się mówić przełożonemu prawdę. Postęp, który zrobiła ukraińska armia, też pozostał niezauważony. Pogarda wobec państwa ukraińskiego odebrała Rosjanom rozum. Przekonałem się o tym w Hostomelu, gdzie jeden z dowódców odpierających atak na tamtejsze lotnisko w pierwszych godzinach inwazji pokazywał mi zdjęcia samochodów więźniarek, policyjnych pałek, tarcz i sprzętu do rozpędzania demonstracji, który miała ze sobą wkraczająca z północy na Ukrainę Rosgwardia. Oni naprawdę spodziewali się co najwyżej zamieszek, a na pewno nie bohaterskiej obrony.

Co leży na szali tych wszystkich zabiegów? Co, jeśli Ukraina by padła?

Fot. Andrzej Wiktor

Jeśli Ukraina przegra – w co nie wierzę, stracimy szansę zbudowania przestrzeni bezpieczeństwa dla naszych obu krajów. Dlatego dziś musimy zrobić wszystko, by pomóc Ukrainie. Muszą to zrozumieć wszystkie elity polskie i ukraińskie.

Polska oferta może być dla Ukrainy atrakcyjna? Atrakcyjniesza niż niemiecka?

W krótkiej perspektywie oczywiście nie. Zachodnie banki mają większe możliwości kredytowania, ich firmy mogą więcej od razu zainwestować, ich technologie są do wykorzystania od zaraz. Wspólny marsz z Polską byłby bez wątpienia dłuższy, trudniejszy. Ale za wszystko jest cena. Jeśli Ukraina znowu oprze się wyłącznie na krajach Zachodu, zaufa, że tam można znaleźć rozwój i bezpieczeństwo, to za kilka lat, niestety, może spotkać ją powtórka obecnej tragedii.

Dlaczego?

Bo ta łatwa z pozoru droga jest w istocie ładnie opakowanym mechanizmem uzależnienia od państw, które dramatycznie zawiodły w chwili próby. Wcześniej zaś polityka współpracy większości krajów Zachodu z Rosją wystawiła Ukrainę na atak. Dlatego ten wybór, stojący przed Ukrainą powojenną, będzie tak ważny. By długofalowo przetrwać, muszą spróbować zmienić reguły gry w naszym regionie. A to – jestem przekonany – można zrobić tylko w sojuszu z Polską. Będzie to wymagało odwagi i wysiłku od Ukraińców.

A od nas?

Również, ale będzie to wyzwanie innego rodzaju. By to zrealizować, centroprawica musiałaby zdobyć się na przepracowanie swojego stosunku do wspólnej historii, także tej tragicznej. Dzisiaj rzeczywiście wykuwa się nowa tożsamość Ukrainy. Można powiedzieć, że Putinowi, gdy rozpoczynał wojnę, zamiast podzielić, udało się skonsolidować Ukraińców, stworzyć nowy mit założycielski tego państwa i nadać mu charakter jednoznacznie antyrosyjski. Rosną szeregi nowych bohaterów – obrońców Wyspy Węży, Kijowa, Charkowa czy Azovstalu. Ale musimy również wiedzieć, że Ukraińcy nigdy w całości nie wyrzucą ze swojej pamięci narodowej i polityki historycznej UPA.

Mimo tak złej pamięci Polaków o tej formacji?

Oni tak na to nie patrzą. Dla absolutnej większości Ukraińców UPA to formacja, która zabijała Sowietów po II wojnie światowej, walczyła o wolną Ukrainę. To są ich leśni ludzie, ich żołnierze wyklęci, walczący z okupantem do lat 50. To jest oczywiście niepełna prawda, bo cała polityka mordowania Polaków, ludobójstwa na Wołyniu została w tej opowieści odcięta. Ale fakt jest taki, że dzisiaj statystyczny Ukrainiec nie ma o tym pojęcia i nic nie wskazuje, by się to miało szybko zmienić.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Jak my Polacy mamy się do tego ustosunkować?

To jest właśnie najtrudniejszy wybór. Czy mamy przyjąć do wiadomości fakt, że Ukraina nie wykreśli w całości ze swojej polityki historycznej UPA, pokazywanej w tak niepełny, de facto fałszywy sposób? Czy też postawić to jako warunek zaporowy, co może zablokować możliwości poważniejszej współpracy w przyszłości? Wreszcie, czy sami Ukraińcy będą potrafili uznać oczywiste dla nas czerwone linie i nie gloryfikować zbrodniarzy odpowiedzialnych bezpośrednio za mordowanie Polaków, takich jak np. Kłym Sawur?

W naszych dyskusjach w Polsce umiemy dokonać rozróżnienia na bohaterów bez skazy i ludzi, którzy zbłądzili, dopuścili się rzeczy nieakceptowalnych. Trudno przyjąć, by nasi sąsiedzi nie mieli tej zdolności.

Tak, jednak pamiętajcie panowie, ile nam to lat zajęło. Najpierw trwała długa walka o przywrócenie całej kategorii bohaterów do narodowego panteonu, a rozmowa o różnych dramatycznych wyborach była możliwa dopiero, gdy to się dokonało. Ale oczywiście nie ma wątpliwości, że dla honorowania zbrodniarzy mordujących cywilów tolerancji być nie może. Niezależnie od tego, jakiej są narodowości. To sprawy niezwykle trudne i jestem przekonany, że tu będzie najsilniejszy atak po obu stronach na pojednanie, którego możliwość dziś się otworzyła.

Czy wojna na Ukrainie może przekształcić się w wojnę światową?

Bez wątpienia czujemy wszyscy skalę ryzyka. Ukraina znalazła się po 24 lutego w sytuacji dramatycznej, musi płacić wielką daninę krwi za swoją niepodległość, a wszyscy Polacy przypomnieli sobie, że w naszym regionie nic nie jest dane za darmo – ani wolność, ani własne suwerenne państwo. Ruszyły też różne procesy geopolityczne na świecie, wszędzie przyspieszyły wydarzenia, każdy już istniejący konflikt ulega wyostrzeniu, utwardza się język dyplomacji, ulegają brutalizacji relacje między państwami. Mamy nadzieję, że wojna nie rozleje się szerzej, ale przecież taki scenariusz nie jest dzisiaj nierealny. Konsekwencje dla całego świata mogą być tragiczne. Dlatego w najbardziej podstawowym interesie Polski jest wspieranie Ukrainy i budowa własnej siły. Rosja zawsze atakowała w pierwszej kolejności państwa, które zdefiniowała jako słabe i bezbronne.

Jak to się wszystko skończy dla Ukrainy?

Trzeba być bardzo ostrożnym w snuciu scenariuszy. Część analityków twierdzi, że Rosja dąży do zdobycia całości obwodów donieckiego i ługańskiego, a następnie ogłoszenia, iż cele wojny zostały zrealizowane. Korytarz na Krym został wybity, zniszczenie batalionu Azow, który bronił Azovstalu, uznają za „denazyfikację". To pozwala postawić tezę, że w perspektywie dwóch, trzech miesięcy ten konflikt może zostać zamrożony. Taki scenariusz dziś wydaje mi się prawdopodobny, choć oczywiście bardzo bym chciał, by zapowiadana letnia kontrofensywa ukraińska doszła do skutku i się powiodła.

> Rosną szeregi nowych bohaterów – obrońców Wyspy Węży, Kijowa, Charkowa czy Azovstalu. Ale musimy również wiedzieć, że Ukraińcy nigdy w całości nie wyrzucą ze swojej pamięci narodowej i polityki historycznej UPA. Dla polskiej centroprawicy ten temat to wyzwanie

Kluczowe dla Ukrainy wydaje się zachowanie dostępu do morza.

To bardzo ważne, bo drogą morską eksportowano rocznie znacznie ponad 100 mln ton produktów, w tym ok. 50–60 mln ton produktów rolnych. Ale Rosja, nawet jeśli będzie musiała pogodzić się z istnieniem Ukrainy, będzie chciała zablokować jej rozwój, możliwość samodzielnego funkcjonowania. Ten kierunek zawsze będzie zatem zagrożony, podatny na rozmaite ataki, prowokacje. Dlatego równocześnie należy pomóc Ukrainie wypracować inne możliwości eksportowe, w tym przez Polskę. Musimy zatem szybko modernizować i rozbudowywać linie kolejowe oraz porty, zapraszać do tych inwestycji również przedsiębiorców ukraińskich.

Po wojnie nie będzie łatwiej?

Teraz Ukraina przeżywa dramatyczny okres, ale po wojnie sytuacja będzie również bardzo ciężka. Ukraina przez ostatnie dekady przechodziła trudne chwile. Wystarczy przypomnieć, że z 52 mln ludzi, którzy żyli tam na początku lat 90., pozostało niespełna 40, a dziś w konsekwencji dramatu wojennego – jest tam tylko nieco ponad 30 mln. Część na pewno wróci, ale inni wyjadą w poszukiwaniu pracy. Kilka milionów uchodźców wewnętrznych będzie potrzebowało mieszkań, zatrudnienia. Wyczerpują się zasoby, kończą mizerne oszczędności. Niektórzy nawet, ze względu na brak środków do życia, wracają na tereny okupowane przez Rosjan. Padło wiele firm, wojna rodzi patologie w życiu społecznym. Sytuacja jest i będzie bardzo ciężka.

Czany obraz.

Tak, ale żeby był pełny, trzeba również pamiętać o pojawiających się szansach. A takimi są na pewno możliwości podejmowania odważnych decyzji, szybkich wewnętrznych reform czy rozwinięcia głębokiej współpracy z Polską. Dlatego wierzę, że Ukraina, choć nie będzie to łatwy i krótki proces, wygra tę wojnę, a nasze oba kraje rozpoczną tworzenie zupełnie nowego rozdziału historii i współpracy – nie tylko bilateralnej, ale i regionalnej.

Reklama | 56/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

ODJECHANE RATY 0%

Teraz za OC/AC zapłacisz w 4 ratach

Bank Polski
dzień dobry

PKO Bank Polski działa jako agent ubezpieczeniowy. Organizatorem promocji „Ubezpiecz auto na raty" jest bank. Promocja trwa do 30.06.2022 r. Płatność składki ubezpieczeniowej w ratach nie wiąże się z dodatkowymi kosztami. Szczegóły i warunki promocji w regulaminie.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju;
w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl 9c4e90eb77

Blok mieszkalny w Bachmucie. Matka z dwójką dzieci nie ewakuowała się z miasta. Myślała, że zły los ich ominie. Wszyscy troje zginęli

Relacja z Ukrainy

Gdzie jest Bóg w Donbasie?

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Tragedie wojny, zniszczeń i śmierci wstrząsają ludzką psychiką, wywołują poczucie niemocy, odrętwienia i rozpaczy. Kto jednak wierzy, nigdy nie jest sam. Kto wierzy w Boga, zdolny jest zdziałać więcej

Do Pana Boga 5 maja o godz. 3.44 trafiły trzy modlitwy. Dwie były po ukraińsku, jedna po polsku, a każda została wypowiedziana przez chrześcijanina innego wyznania: katolika, protestanta i prawosławnego. Modlili się w tym samym miejscu, w tym samym pokoju, niezależnie od siebie, w tym samym czasie, o to samo: żeby następna bomba nie spadła na nich. Z ich okna na drugim piętrze niczym w kinie na filmie sensacyjnym było widać spektakularne skutki rosyjskiego nalotu w Donbasie. Najpierw było słychać przytłumione buczenie, warkot, potem niebo rozbłyskało na chwilę jaśniej niż za dnia, a jeden z budynków zapalił się płomieniem eksplozji, dalej – po kilku sekundach – ścianami i oknami zatrzęsła fala uderzeniowa, której towarzyszył łomot wybuchu. I potem znów było słuchać to przytłumione buczenie rakiety lub bombowca.

Po polsku wyglądało to tak, że zaczynało się „Ojcze nasz", ale już gdzieś przy słowach „przyjdź Królestwo Twoje" stawało się jaśniej (widok eksplozji), a potem jakoś około „chleba naszego powszedniego" dudnił odgłos eksplozji i dzwoniły luźno osadzone w oknach szyby. Przy „odpuść nam nasze winy" można już było być spokojnym, że akurat ta bomba dom ominęła, a przy „ale nas zbaw ode złego" zapadała cisza. Wydawało się, że Bóg wysłuchał modlitwy, skoro udało się ją wypowiedzieć do końca, ale wkrótce po „amen" warkot nalotu się powtarzał. Pozostawało decydować, czy dalej odmawiamy „Ojcze nasz", czy może teraz „Zdrowaś Mario". Nie wiem, jak protestant i prawosławny, ale katolik nieco zmodyfikował intencje, już nie tyle prosząc o ocalenie, ile o wybaczenie – bo przecież w modlitwach nie ma co zamawiać konkretnych wydarzeń, jak w jakimś zawieraniu umowy. Po 43 min ukraińska artyleria odpowiedziała ogniem ciągłym, co oznaczało, że rosyjski nalot raczej się skończył. Udało się przeżyć.

W OBLICZU ŚMIERCI

W Donbasie nie ma ateistów. Lynsey Addario, dziennikarka „The New York Times", która także zbierała materiały na wschodniej Ukrainie, rzuciła półserio: „Ja jestem ateistką". Ale zaraz dodała: „Póki nie znajdę się na froncie". Dłużej wytrzymał jeden z ukraińskich pułkowników, który przez lata uznawał się za zatwardziałego ateistę, dopóki jego doświadczony kompan nie nastąpił na minę kilka metrów przed nim – w spotkaniu z tak drastyczną śmiercią przyjaciela, którego krwawe szczątki lądują ci na ramieniu, na mundurze i na hełmie, nikt nie uniknie pytań o głębszy sens i o wolę Bożą. „Dlaczego ja przeżyłem? Czy mój druh, z którym byłem na czterech wojnach, został tylko rozbryzganą miazgą mięsa i kości?".

Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

eprasa.pl 9c4e90eb77

O godz. 6.00 rakieta trafiła tuż przed wyjście do schronu. Mężczyzna, który myślał, że ostrzał się skończył i wyszedł z ukrycia, zginął na miejscu

„Bóg daje nadzieję" – głosiły niebiesko-żółte naklejki widniejące na maskach samochodów w różnych częściach kraju. Daje nadzieję absolutnie wszędzie.

CHRZEŚCIJANIE JEŻDŻĄ POD OSTRZAŁEM

Wiara w Boga jest jak nigdy niekończąca się amunicja odnajdywania spokoju i odwagi.

Jeden z ukraińskich wolontariuszy opowiadał w Kramatorsku swoją historię życia, przeplataną z opisem wywożenia cywilów z ostrzeliwanych wiosek. – Byłem strasznym grzesznikiem, byłem bandytą, w więzieniu byłem 17 lat – opowiada rosły jak dąb Igor, który kończy gotować kaszę dla gości przybyłych do protestanckiego zboru. Kramatorsk to ta miejscowość, która 8 kwietnia przeżyła szok, zmieniła się na zawsze, doświadczyła tego, czym był 11 września 2001 r. dla Amerykanów. To wtedy rakieta z ładunkiem kasetowym uderzyła w peron pierwszy dworca kolejowego, na którym stały osoby wsiadające akurat do pociągu dla uchodźców. Bomba rozprysnęła się małymi kawałkami, które wbijały się w ciała przerażonych uciekinierów z Donbasu. 50 osób zginęło na miejscu, ponad 100 zostało rannych, a w przytłaczającej większości były to kobiety i dzieci. Dziś w Kramatorsku każdy wie, że świat dzieli się na ten sprzed i po 8 kwietnia.

Dlatego opowieść Igora jest tak ważna. Gdy diakon Jewgienij dostaje informację, że trzeba kogoś zabrać z wioski i wywieźć na zachód, tacy kierowcy jak Igor siadają za kierownicą i jadą na prowincję. Wbrew ostrzeżeniom administracji, że z takiej wyprawy można nie wrócić, wielu wolontariuszy żegna się znakiem krzyża i rusza w wyznaczone wioski. Igor jest jednym z nich. – Pytają mnie często, dlaczego to robię, dlaczego się narażam. Ale to przecież jasne, że moimi rękami i rosyjskimi kulami kieruje Bóg, niech się dzieje jego wola – opowiada mężczyzna z zaskakującą pogodą ducha.

Rosjanie są punktualni z bombardowaniami. Do kolejnego ostrzału chłopakom z tego okopu pozostało jeszcze kilkanaście minut

Gdy codziennie wczesnym popołudniem podjeżdżają kolejne samochody z uratowanymi z zajmowanych wiosek ludźmi, niektórzy kierowcy pokazują karoserię ze śladami po kulach. – Okupant strzelał, Bóg ocalił – opowiada jeden z nich. – Znajdź wśród tych kierowców ateistę – namawia Igor.

Zapewne wśród niewierzących też są bohaterowie, ale pewne prawidłowości można wychwycić – chrześcijanie narażają swoje życie z innym podejściem, bo wierzą, że mają w zapasie życie inne – wieczne.

GDY ROZUM NIE DAJE RADY

We frontowych okopach Donbasu trudno o spokój. Bywają takie miejsca i takie dni, że Rosjanie ostrzeliwują przez 20 godzin na dobę. Od godz. 20.00 strzelają gradami, potem moździerzami, używają też bomb kasetowych, broni chemicznej, nad chłopakami śpiącymi w rowach wykopanych w ziemi latają też rosyjskie bombowce. Umocnienia frontowe może wytrzymają część z tych pocisków, ale takie iskandery czy bomby z samolotów są nie do wytrzymania – w ziemi pozostaje po nich lej głęboki nawet na siedem-osiem metrów, a gdy taka siła uderzy w budynek, pięć-sześć pięter betonowej konstrukcji potrafi złożyć się jak domek z kart. Jak więc przeżyć noc w Donbasie, gdy wszystko zależy od tego, gdzie upadnie sowiecko-rosyjska produkcja? Może wyliczyć rachunek prawdopodobieństwa? Jeśli słyszysz 120 pocisków na obszarze 10 kmkw., to jaki jest procent szans, że twój okop stanie się „braterską mogiłą"? Jeśli musisz tu wytrzymać rosyjskie szturmy przez 35 dni, a na obszar, którego bronisz, spada arsenał przewidziany do zajęcia Danii czy Austrii, to jakie jest prawdopodobieństwo, że przeżyjesz? Jak zliczyć możliwość wytrwania na froncie, gdy Rosjanie nie liczą się ze stratami i rzucają na ciebie siły przeważające nawet 20-krotnie? Jak przespać noc w ziemiance z betonowym dachem, gdy przez cały czas słychać eksplozje?

Pytania takie mnożą się jak szalone, umysł stara się sprostać morderczej wojnie i zwalczyć powracające obrazy rannych i zabitych ludzi, zupełnie zniszczonych budowli. Ale cóż ten rozum może wobec tego artylerzysty, który odpali w twoją stronę dwie tony pocisków tylko tego poranka? Co wytworzy racjonalny mózg wobec tej ludzkiej bezradności i wojennego okrucieństwa?

Wszystkie te racjonalne zmagania, wszystkie te wysiłki inteligencji i rozumu więdną przy prostym „Ojcze nasz", przy pokornym „Zdrowaś Mario", przy szczerym i niewinnym: „Jezu, ufam Tobie". Ukojenie, nadzieja i wiara wydobywają się z zakamarków duszy, uspokajają przerażony umysł, pozwalają zasnąć. Najprostsza modlitwa silniejsza jest tutaj niż najbardziej złożone wywody. Proste, łatwe do zastosowania i sprawdzone w praktyce.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Strategiczny pat na Ukrainie

Wszystko wskazuje na to, że ani Rosja nie ma takiego potencjału militarnego, by zmiażdżyć Ukrainę, ani Kijów mimo wsparcia Zachodu nie będzie w stanie szybko odzyskać terenów zajętych przez agresora po 24 lutego. Co dalej z wojną za naszą wschodnią granicą?

MAREK BUDZISZ

Eksperci brytyjskiego wywiadu, na bieżąco analizujący sytuację na Ukrainie, są zdania, że obecnie główne wysiłki Rosjan są skoncentrowane na zdobyciu Siewierodoniecka w obwodzie ługańskim, a docelowo okrążenie broniących się w Donbasie sił ukraińskich. Gdyby to się udało, ale na razie niewiele na to wskazuje, to gen. Aleksandr Dwornikow, dowodzący „specjalną operacją", mógłby zameldować na Kremlu, że zrealizował postawione mu zadanie, które polegało na „wyzwoleniu" obszarów Donieckiej i Ługańskiej Republik Ludowych.

Mimo że Rosjanie zmienili swój styl walki, są rozważniejsi niż w pierwszej fazie wojny, kiedy ich kolumny pancerne i zmechanizowane bez należytej ochrony wchodziły głęboko na ukraińskie tyły, i obecnie każde uderzenie poprzedzają intensywnym ostrzałem artyleryjskim, to jednak nadal nie rozwiązali swoich głównych problemów. Należy do nich słaba, jak argumentują eksperci Institute for the Study of War, koordynacja między lotnictwem a siłami lądowymi i zbyt mały potencjał, by móc przełamać ukraińską obronę. Wojna w takich realiach będzie się przedłużała, a dodatkowo Rosjanie, koncentrując swoje siły w Donbasie, osłabiają flanki. Strona ukraińska już przystąpiła do lokalnych kontruderzeń w rejonie Charkowa na północy i Chersonia na południu, co w efekcie albo skłoni rosyjskie dowództwo do osłabienia impetu uderzeniowego w Donbasie, bo część jednostek trzeba będzie wysłać w inne rejony, albo – jeśli zagrożenie zostanie zignorowane – może dać Kijowowi kolejne zdobycze terytorialne.

Potencjalnie najgroźniejsza sytuacja dla Moskwy jest na południu. Gdyby – jak argumentują amerykańscy eksperci – siłom ukraińskim udało się odzyskać Chersoń, to sytuacja Rosjan uległaby dramatycznemu pogorszeniu. Pod koniec maja ukraiński sztab generalny w raporcie złożonym prezydentowi Zełenskiemu oficjalnie informował, że Rosjanie nadal okupują 31 proc. obwodu charkowskiego, ale w wyniku ostatniej ofensywy już 5 proc. zostało odzyskane, a postępy mają też miejsce w okolicach Chersonia na południu.

W Moskwie nadal większość wypowiadających się polityków i ekspertów jest zdania, że Rosja wygra wojnę na Ukrainie, ale nieoficjalnie rozpoczęto już poszukiwania dróg wyjścia z konfliktu. Tamtejsze ministerstwo obrony opublikowało nawet dane na temat strat ukraińskich. Wynika z nich, że liczba ofiar osiągnęła poziom 14 tys. zabitych i 16 tys. rannych, ponad 1600 czołgów i transporterów opancerzonych, co stanowi 65 proc. stanu sprzed wybuchu wojny,

Fot. Dmytro Smolyenko / EastNews

eprasa.pl 9c4e90eb77

636 jednostek artylerii (41 proc.) oraz 112 samolotów (73 proc.). W tym zestawieniu istotne są nie tyle szczegółowe wyliczenia ukraińskich strat – bo nikt przecież nie kwestionuje, że do nich dochodzi, sam prezydent Zełenski mówił pod koniec maja, że dziennie na froncie ginie od 50 do 100 ukraińskich żołnierzy, a Rosjanie mają znaczną przewagę ogniową – ile raczej narracyjny wymiar ujawnionych statystyk. Od początku wojny Moskwa argumentuje, że jednym z jej politycznych celów jest demilitaryzacja Ukrainy, która mogłaby być przeprowadzona albo pokojowo, jeśliby Kijów zgodził się na zmniejszenie swojej armii, albo nastąpiłaby ona de facto w wyniku zniszczenia ukraińskiego potencjału wojskowego. Ujawnione zestawienia wskazują na to, że Moskwa może niedługo ogłosić osiągnięcie tego celu, co mogłoby otwierać drogę do zawieszenia broni i szukania jakiejś formuły politycznego zakończenia wojny.

Ale nawet w rosyjskich mediach zauważono, że straty sił rosyjskich też muszą być niemałe, skoro z magazynów wyciągnięto stare, pochodzącej jeszcze z lat 60. czołgi T-62 i T-64 i skierowano je na front. Gen. Mark Milley, szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, oświadczył na jednym z niedawnych briefingów w Pentagonie, że w związku z wyczerpywaniem się potencjałów obydwu stron wojna może wkrótce przejść w fazę pozycyjną, o znacznie mniejszej intensywności działań. Jurij Fiedorow, rosyjski analityk wojskowy, napisał, że po dwóch tygodniach ofensywy w Donbasie postępy Rosjan są niewielkie. Ukraińcy wycofują się w sposób zorganizowany i walki będą się przedłużać. Jednak jego zdaniem niewiele wskazuje na to, by Kreml zrezygnował z prób opanowania najpierw terenów całej „republiki ługańskiej", a następnie, jeśli to się uda, również donieckiej. W jego opinii trwająca właśnie „bitwa o Donieck" może okazać się kluczowym etapem wojny. „Władimir Putin desperacko potrzebuje jakiegoś mniej lub bardziej imponującego zwycięstwa" – napisał Fiodorow. Jeśli Rosjanom nie uda się zająć Donbasu, to coraz bardziej oczywiste będzie to, że cała „specjalna operacja" zakończyła się upokarzającą klęską, a to może uruchomić w Rosji niebezpieczne z perspektywy Kremla procesy polityczne.

Jednak i dla Kijowa zwycięstwo w bitwie o Donbas może być punktem przełomowym w tej wojnie. Jeśliby Rosjanie ją wygrali, to już latem realną perspektywą mogłoby stać się ich uderzenie w stronę Odessy i próba całkowitego odcięcia Ukrainy od Morza Czarnego przez połączenie rosyjskich sił z kontyngentem znajdującym się w mołdawskim Naddniestrzu. Zdaniem rosyjskiego eksperta o wyniku obecnego starcia zdecyduje przede wszystkim relacja sił.

Intensywne dyskusje na temat tego, jakimi możliwościami mogą dysponować Rosjanie, trwają w środowisku wojskowych od początku wojny. W połowie maja brytyjskie ministerstwo obrony opublikowało własne wyliczenia, z których wynika, że ok. 30 proc. pierwotnego potencjału uderzeniowego, szacowanego na 200 tys. żołnierzy, strona rosyjska już utraciła. Ołeksij Reznikow, ukraiński minister obrony, mówił, że obecnie, biorąc pod uwagę zarówno rosyjskie straty, jak i cały czas trwające uzupełnienia, Rosjanie mają do dyspozycji ok. 167-tys. armię. Jeśli powiedzie się przeprowadzana właśnie „cicha mobilizacja", to latem Rosjanie będą dysponowali siłami na poziomie 220–230 tys. ludzi i to jest wszystko, co mogą rzucić do walki.

Wyliczenia te w całości pokrywają się z informacjami rosyjskich mediów, które pisały, że rosyjski MON ma zamiar dodatkowo wcielić do wojska w najbliższych tygodniach od 30 do 40 tys. żołnierzy. To z pewnością zbyt mało, by obezwładnić dobrze zorganizowaną obronę sił ukraińskich, szacowanych w obecnej fazie wojny na 260 tys. żołnierzy, nie licząc jednostek obrony terytorialnej.

Wiedzą o tym również w Moskwie i dlatego na Kremlu mogą już trwać intensywne poszukiwania wyjścia z obecnej sytuacji. Świadczą o tym niedawne propozycje, najpierw sformułowane przez jednego z rosyjskich wiceministrów spraw zagranicznych, a potem powtórzone przez Władimira Putina, że Rosja jest gotowa odblokować eksport ukraińskiego zboża, jeśli Zachód zmniejszy sankcyjną presję. Z kolei Walentyna Matwijenko, kierująca Radą Federacji, izbą wyższą rosyjskiego parlamentu, bez ogródek powiedziała w trakcie spotkania z prezydentem Mozambiku: „Jesteśmy otwarci na negocjacje. Potrzebujemy dyplomatycznych, pokojowych rozwiązań, ale to wymaga woli obydwu krajów. Jesteśmy gotowi do negocjacji, podpisania porozumienia, które zakończy wojnę domową na Ukrainie i doprowadzi do pokoju, ale nie widzimy takiej woli po stronie Kijowa".

Ten „brak woli" do rozmów pokojowych ze strony Kijowa jest wywołany powtarzającymi się spekulacjami na temat tego, że Rosja ma zamiar anektować opanowane w toku wojny ukraińskie terytoria, a z taką perspektywą nie zgadza się zdecydowana większość obywateli Ukrainy, co oddala perspektywę porozumienia.

O tym, że na Kremlu zapadły już decyzje w sprawie aneksji zajętych po 24 lutego obszarów, jest przekonany Wadim Denysenko, doradca ukraińskiego ministra spraw wewnętrznych. „Przez dwa i pół miesiąca wahali się, co z tymi terytoriami zrobić – argumentuje – przeznaczyć je na wymianę za inne obszary, stworzyć kolejną »republikę ludową« czy coś innego. Teraz zdecydowali, że dokonają aneksji terytorium. W ich kręgach politycznych nie ma już w tej kwestii wahania. To jest konsensus zatwierdzony przez Putina". Świadczy

eprasa.pl 9c4e90eb77

o tym wiele już podjętych działań, takich jak rusyfikacja nauczania, wprowadzenie do obiegu rosyjskiej waluty czy wyłączenie ukraińskich sieci telefonii komórkowej i zastąpienie ich rosyjskimi. Towarzyszy temu nasilona propaganda i rozpoczęcie wydawania rosyjskich paszportów. Denysenko uważa, że w takiej sytuacji stronie ukraińskiej „nie pozostaje nic innego jak tylko odbicie zajętych obszarów".

Ale sprawa nie musi być łatwa, bo Rosjanie są z wojskowego punktu widzenia nadal silni, a jak niedawno zapowiedział prezydent Zełenski, „jeśli deokupacja miałaby kosztować życie dziesiątki tysięcy ukraińskich żołnierzy, to raczej poczekamy na dostawy broni". Tego rodzaju deklaracje oznaczają, że Ukraina nie ma jeszcze wystarczającego potencjału, by przejść do kontrofensywy, i wiele – a właściwie wszystko – zależy od skali dostaw z Zachodu i tego, jakiego rodzaju sprzęt zostanie jej dostarczony.

Wydaje się jednak, że debatując o perspektywach ukraińskiego zwycięstwa w tej wojnie, które musiałoby oznaczać wyparcie Rosjan co najmniej na linię z 24 lutego, nie do końca zdajemy sobie sprawę z tego, przed jakim wyzwaniem stoją Ukraina i wspierające Kijów państwa Zachodu. Daniel Davis, podpułkownik rezerwy amerykańskich sił zbrojnych, dziś senior fellow w think tanku Defense Priorities, jest zdania, że aby myśleć o wyparciu Rosjan, Kijów broniąc się, musi równolegle zbudować od zera i wyposażyć całą armię rezerwową liczącą min. 100 tys. żołnierzy. Zachód musiałby dostarczyć na ten cel co najmniej 1250 czołgów, 2 tys. transporterów opancerzonych różnego typu, 750 haubic samobieżnych i ok. 1 tys. ciężarówek. „Jeśli państwa zachodnie nie mogą lub nie będą mogły dostarczyć sprzętu na taką skalę – argumentuje Davies – wszelka nadzieja na to, że Ukraina wystawi siły na tyle silne, by przełamać okopane wojska rosyjskie, wydaje się płonna". Na stworzenie, wyposażenie i wyszkolenie tych sił Kijów w opinii amerykańskiego eksperta będzie potrzebował od 12 do 18 miesięcy, co oznacza, że wojna nie skończy się szybko.

Podobne szacunki na temat ukraińskich potrzeb formułował niedawno Phillip Karber z Potomac Foundation, który był w drugiej połowie maja na froncie i analizował sytuację z przedstawicielami ukraińskiego sztabu generalnego.

Na razie niewiele wskazuje na to, że w Waszyngtonie zapadła decyzja o skokowym wzroście skali dostaw sprzętu wojskowego na Ukrainę. Ostatnia wypowiedź prezydenta Bidena o niedostarczaniu systemów rakietowych o dalekim zasięgu, umożliwiających bezpośrednie atakowanie celów znajdujących się w Federacji Rosyjskiej, wskazuje, że Waszyngton obawia się kroków, które Moskwa mogłaby odczytać jako eskalowanie konfliktu. Rozpoczęcie przez Ukrainę budowy ze wsparciem Zachodu nowej armii zdolnej do wyparcia wojsk rosyjskich mogłoby tym bardziej zostać odczytane w tych kategoriach. Obecne dostawy umożliwiają zaś zdaniem ekspertów skuteczną obronę i stopniowe „wykrwawianie" sił rosyjskich, ale nie dają Kijowowi potencjału niezbędnego do rozpoczęcia kontrofensywy.

> Choć w Moskwie nadal większość wypowiadających się polityków i ekspertów jest zdania, że Rosja wygra wojnę na Ukrainie, ale nieoficjalnie na Kremlu rozpoczęto już poszukiwania dyplomatycznych dróg wyjścia z konfliktu

TRZY SCENARIUSZE

Jeśli tak wygląda sytuacja, to co dalej? Mathew Burrows i Robert A. Manning z Atlantic Council są zdania, że obecnie najbardziej prawdopodobnym na Ukrainie jest scenariusz „zamrożonego konfliktu". Rozważając taką perspektywę, dopuszczają w tym wariancie trzy możliwości. Pierwsza z nich, określana przez nich mianem „duszenia Ukrainy", sprowadza się do kontynuowania przez rosyjskie siły zbrojne presji i powolnym, stopniowym, posuwaniu się na zachód. Działania te, mające na celu odcięcie Kijowa od Morza Czarnego, byłyby przerywane okresowymi przerwami w aktywnej fazie operacji, głównie w wyniku problemów z utrzymaniem przez strony konfliktu potencjału bojowego na niezmienionym poziomie. Państwa demokratyczne dostarczałyby nadal Ukrainie sprzęt i zaopatrzenie, choć w ilościach raczej umożliwiających kontynuowanie obrony i przechodzenie do taktycznych kontrataków, a nie przeprowadzenie kontrofensywy i odbicie utraconych terenów. Jednak pod koniec 2023 r., w obliczu wielu zjawisk kryzysowych w świecie (głodu i destabilizacji licznych państw afrykańskich i azjatyckich, recesji w UE), jedność umownego bloku Zachodu zacznie się załamywać.

Drugi wariant sprowadza się do pata na linii frontu, Rosja nie jest w stanie, zarówno w obliczu wyczerpywania się jej potencjału, jak i dobrze zorganizowanej obrony Ukrainy, poczynić praktycznie żadnych postępów, czemu będzie towarzyszyć pojawienie się w skali świata „partii pokoju", grupy państw zainteresowanych zakończeniem wojny na Ukrainie. Francja i Niemcy rozpoczynają w tym scenariuszu regularne konsultacje z Chinami, za plecami Stanów Zjednoczonych, wspierając w ten sposób wcześniejsze inicjatywy państw w rodzaju Turcji, Indii i Kataru, zmierzające do zakończenia wojny.

Trzeci scenariusz, najkorzystniejszy z punktu widzenia Kijowa, choć najmniej prawdopodobny, sprowadza się do przejęcia przez ukraińskie siły zbrojne inicjatywy w walce, przejścia do kontrofensywy i wyparcia Rosjan w połowie 2023 r. na linię z 24 lutego.

Z polskiej perspektywy może to oznaczać, że wojna na Ukrainie nie zakończy się szybko, choć być może intensywność walk będzie zmienna. Jeśli nie nastąpią nieprzewidywalne wydarzenia w postaci gwałtownego załamania się rosyjskiego morale czy zamachu na Kremlu, na co trudno poważnie dziś stawiać, to musimy oswoić się z myślą, że sylwestra w 2023 r. możemy celebrować w wojennych warunkach. A to oznacza zmiany również w Polsce, które dziś trudno przewidzieć.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Ryzyko Bidena

Rząd Joe Bidena sprawia wrażenie, jakby z jednej strony zachęcał Ukrainę do zawziętego oporu, z drugiej zaś – z góry paraliżował jej szanse na zwycięstwo

JAN ROKITA

Opublikowany 31 maja przez „The New York Times" artykuł autorstwa Josepha Bidena miał być odpowiedzią na zarzuty niejasnych planów i zagubionych celów, które mają przyświecać Ameryce w toczącej się wojnie wschodniej. Ów „gościnny esej" (jak go nazywa redakcja, wyjaśniając czytelnikom, iż autor jest prezydentem USA) nie odpowiada jednak na żaden z zarzutów, a w sprawie polityki amerykańskiej ani nie wnosi nic nowego, ani niczego nie rozjaśnia.

KRYTYKA PREZYDENTA

Zarzuty postawiła parę dni wcześniej w specjalnym edytorialu redakcja „The New York Times", co zważywszy na ścisłą partyjną więź, która łączy tę redakcję z Partią Demokratyczną, musiało być dla prezydenta i jego obozu czymś wielce nieprzyjemnym i niewygodnym. Zwłaszcza w sytuacji, gdy z jednej strony sam Biden, co pokazują sondaże, jest prezydentem słabo akceptowanym dziś przez Amerykanów, inflacja stanowi w USA problem mniej więcej porównywalny z Polską, a listopadowe wybory do Kongresu, jak pokazują wszystkie znaki na niebie i ziemi, mogą wyraźnie wygrać republikanie. Na domiar złego w takich właśnie okolicznościach bieg wojny na Ukrainie, w którą Stany Zjednoczone się mocno zaangażowały, jest coraz bardziej zagmatwany i niepokojący, a wpływowa i partyjnie powiązana gazeta wieszczy prezydentowi, iż jego polityka ukraińska traci właśnie poparcie Amerykanów.

O co chodzi redakcji „The New York Times"? Przede wszystkim o to, że dotychczasowa polityka Bidena jest dziwaczną mieszaniną niespójnych i mało konsekwentnych deklaracji i przedsięwzięć. W ciągu trzech miesięcy wojny w Waszyngtonie raz była mowa o usunięciu Putina i postawieniu go jako zbrodniarza przed międzynarodowym trybunałem. Innym razem o wyjątkowej okazji, ba, konieczności wykorzystania sytuacji dla trwałego osłabienia Rosji. Jeszcze zaś kiedy indziej o konieczności rychłego kompromisu z Putinem, który by zapobiegł ryzyku szerszej wojny, a zwłaszcza możliwości posłużenia się przez Rosję bronią atomową. Każdy z tych celów wymaga jednak w gruncie rzeczy odmiennej strategii politycznej. Trybunał dla Putina wymaga prowadzenia wojny wszelkimi środkami „aż do zwycięstwa" (jak deklarowała w Kijowie Nancy Pelosi – liderka partii i spikerka Senatu). Osłabienie Rosji (co postulował niedawno sekretarz obrony Austin) to w gruncie rzeczy wciągnięcie Rosji w przewlekłą i nierozstrzygalną wojnę, w której będzie ona tracić ludzi, sprzęt i rujnować swoją gospodarkę. Z kolei kompromis z Putinem wymaga nakłonienia Kijowa do spełnienia co najmniej jakiejś części rosyjskich żądań, czyli upokorzenia Ukrainy (czego domaga się stary Kissinger). Ameryka mówi i robi raz to, raz tamto, a raz jeszcze co innego. Nie wiadomo zatem, o co jej tak naprawdę chodzi.

„The New York Times" stawia rządowi Bidena jeszcze dwa dalsze zarzuty. Kolejny to ten, iż to Biały Dom stworzył emocjonalną retorykę, która zastępuje w istocie jasne artykułowanie celów wojny. „Czas otrząsnąć się z euforii, zaprzestać drwin i skupić się na zakończeniu misji" – pisze redakcja. Euforia dotyczy oczywiście poparcia dla Kijowa, który dzięki zachodniej broni, pieniądzom i sankcjom ma bez wątpliwości „odnieść zwycięstwo". Tymczasem dla każdego rzetelnego obserwatora jest jasne, że zwycięstwo, tak jak rozumie je Kijów, czyli odzyskanie całości okupowanych terytoriów, jest polityczną mrzonką. Dziennik pisze otwarcie o „iluzoryczności wygranej". Z kolei drwiny są kierowane pod adresem Rosji, której wojenna nieudolność jest wyolbrzymiana, co oczywiście skłania tylko Kreml do zwiększania siły uderzenia na Ukrainę, a więc działa przeciw wizji rychłego osiągnięcia pokoju.

Redakcja nie kryje przy tym swojego poglądu na to, jak winna wyglądać dziś polityka amerykańska. To ujawnia się najwyraźniej przy kolejnym, trzecim zarzucie stawianym ukraińskiej strategii Bidena. Biały Dom, zamiast euforycznie głosić nierealną wizję zwycięstwa wolności i demokracji na Ukrainie, winien czym prędzej uświadomić prezydentowi Zełenskiemu, iż istnieją twarde granice amerykańskiego poparcia dla Ukrainy. Więc ów w żadnym razie nie powinien liczyć na to, iż coraz silniejsza skala rosyjskiej agresji i coraz znaczniejsze połacie terytorium Ukrainy pod rosyjską okupacją skłonią Amerykę do wyzwolenia Ukrainy. W tekście „The New York Times" nie mówi się tego wprost, bo zapewne redakcji, znanej z zamiłowania do lewicowej wersji humanitaryzmu i praw człowieka, nie wypada nazywać wprost tego, co i tak łatwo wyczytać między wierszami: że presja na zgodę Kijowa na rozbiór Ukrainy jest tym, co Biały Dom mógłby dziś zrobić najlepszego. Amerykańska lewica boi się, że niezdecydowana, ale euforyczna

eprasa.pl 9c4e90eb77

w swojej retoryce polityka pewnego dnia w taki bądź inny sposób wciągnie Amerykę w wojnę. Opinia dziennika, jak zawsze miarodajna dla nastrojów i poglądów lewicy wschodniego wybrzeża USA, współbrzmi w tej mierze z nastrojami i poglądami wyrażanymi ostatnio w Europie, zwłaszcza w Paryżu, Rzymie, Berlinie, Budapeszcie czy Wiedniu.

SCENARIUSZ DLA UKRAINY

Jedna rzecz to oczywisty fakt, iż wpływowa gazeta amerykańskiej lewicy pod pretekstem „wyjaśniania celów" amerykańskiej polityki próbuje wpłynąć na rząd USA, by ten bardziej zdecydowanie zagrał na doprowadzenie do rychłego kompromisu z Putinem. „The New York Times" odgrywa tu rolę politycznego lobbysty w takim samym duchu jak np. bliscy mu ideowo intelektualiści niemieccy, domagający się od swojego kanclerza wysiłków na rzecz zakończenia wojny, a nie wspierania jednej z jej stron.

Patrząc z polskiej perspektywy, jest to kontrakcja wobec tego wszystkiego, o co na arenie międzynarodowej zabiegają z wielkim zaangażowaniem władze Polski. Nie jest to zresztą nowość. „The New York Times" jest od lat znany z tego, iż w różnych ważnych dla nas okolicznościach uruchamiał lobbing sprzeczny z polskimi interesami; tak było choćby wtedy, gdy w czasach Clintona redakcja prowadziła kampanię przeciw przyjęciu Polski do NATO, argumentując, iż taki krok zdestabilizuje bezpieczeństwo całej Europy. To wszystko jednak bynajmniej nie znaczy, że podstawowy zarzut gazety – niejasności i niespójności polityki Bidena – został tylko wyssany z palca.

Przeciwnie. Od dłuższego czasu nie jest bowiem łatwo zrekonstruować jakąś spójną logikę amerykańskiej strategii w tej wojnie. „The New York Times" ma całkowitą rację, przekonując, iż przy dotychczasowym zaangażowaniu Ameryki w konflikt wygrana Ukrainy, rozumiana jako utrzymanie suwerenności połączone z oswobodzeniem okupowanych terytoriów, jest iluzją. Przez chwilę, po kwietniowej naradzie 40 ministrów obrony krajów demokratycznych w bazie Ramstein, mogło się wydawać, że w Waszyngtonie zapadła decyzja, iż wojnę na Ukrainie Zachód musi wygrać, gdyż w przeciwnym razie Rosja do niej powróci wcześniej czy później. Wydawało się wtedy, że jest już tylko kwestią czasu, gdy na Ukrainie pojawią się amerykańskie bojowe myśliwce i rakiety o zasięgu zdolnym atakować co najmniej anektowany Krym albo most Kerczeński, przez który (do czasu upadku Mariupola) biegł główny szlak rosyjskich wojsk inwazyjnych i ich zaopatrzenia. Dziś dużo więcej wskazuje na to, że pod wpływem coraz większego sceptycyzmu wobec Kijowa, panującego zarówno wśród amerykańskiej lewicy, jak i europejskich sojuszników USA, w Białym Domu będzie się raczej przypatrywać postępom armii rosyjskiej, wyczekując na to, kiedy Zełenski wyciągnie z nich wnioski i zmięknie wobec żądań Putina.

> „The New York Times" ma rację, przekonując, iż wygrana Ukrainy, rozumiana jako utrzymanie suwerenności połączone z oswobodzeniem okupowanych terytoriów, jest iluzją

Jeśli jednak tak wygląda prawdziwy scenariusz amerykański dla Ukrainy, to z tej perspektywy bardziej racjonalną politykę prowadzi Paryż i Berlin, ograniczając dostawy broni do swoistego „minimum przyzwoitości" wobec Zełenskiego, a po cichu wydzwaniając doń, aby w sytuacji, w której się znalazł, nie okazywał nadmiernej pewności siebie. Krytykowana przez „The New York Times" amerykańska retoryka „euforii i drwin" z pewnością nie prowadzi do rychłego układu z Kremlem. Podobnie zresztą, jak co prawda powolne, oporne i cząstkowe, ale jednak uleganie żądaniom Kijowa i wysyłanie coraz to nowych rodzajów broni, która i tak przecież bez ofensywnych samolotów i rakiet czy też bez „no-fly zone" nad Ukrainą nie daje żadnych szans na odwojowanie siłą coraz rozleglejszych terytoriów okupowanych przez Moskali. Ale z kolei ogłoszona ostatnio po długich kontrowersjach osobista decyzja Bidena, iż Ukraina nie dostanie takiej broni, która mogłaby dosięgnąć wojsk rosyjskich głębiej niż kilkadziesiąt kilometrów poza linią frontu, znacząco ogranicza szansę armii ukraińskiej na zmuszenie okupanta do odwrotu. Cóż to bowiem za nierówna wojna, w której jedna strona w każdej chwili może niszczyć zgrupowania wojsk, infrastrukturę czy obiekty cywilne, leżące na tyłach, niemal 1,5 tys. km za linią frontu. A drugiej stronie odmawia się jako zbyt niebezpiecznej broni, pozwalającej uderzyć w linie zaopatrzenia nawet na bliskim zapleczu frontu. Ukraina nie kryje np. tego, jak bardzo by jej pomogło zniszczenie mostu Kerczeńskiego, ale nigdy nie dostała broni, która by to umożliwiła.

ODPOWIEDŹ BIDENA

Rząd Bidena sprawia zatem takie wrażenie, jakby z jednej strony zachęcał Ukrainę do zawziętego oporu, z drugiej zaś – z góry paraliżował jej szanse na zwycięstwo. Taki opis realiów amerykańskiej polityki nie pasuje wprawdzie do retoryki używanej przez redakcję „The New York Times", ale tu tkwi dopiero sedno zarzutów o niespójność i niekonsekwencję. Wygląda to tak, jakby amerykańska polityka dawała się jednocześnie nieść dwóm zderzającym się nawzajem falom: etycznego entuzjazmu, nakazującego obronę kogoś napadniętego i walczącego z poświęceniem o własną wolność, oraz geopolitycznego defetyzmu, przyjmującego do wiadomości, że słabszemu nie wolno „zbyt głośno szczekać" pod drzwiami silniejszego. Jeśli istotnie tak jest, to byłaby to zła wiadomość na temat procesu, w którym zapadają decyzje najpotężniejszej demokracji świata. Znaczyłoby to bowiem, że w ocaleniu Ukrainy przed kolejnym, już drugim rozbiorem Ameryka nie widzi swojego realnego interesu, za to przyjmuje do wiadomości, iż to siła militarna Rosji daje jej realne zbójeckie prawo do stanowienia o przyszłości Ukrainy. Ameryka ma jednak zarazem typowo „amerykańskie" wyrzuty sumienia, więc

Fot. Luca Perra/Shutterstock.com

eprasa.pl 9c4e90eb77

równocześnie ulega etycznemu imperatywowi wspierania napadniętego.

Taki melanż nie wróży oczywiście niczego dobrego. Ocalenie Ukrainy byłoby realne tylko wtedy, gdyby Ameryka była na tyle imperialistyczna, by w owym ocaleniu zobaczyć własny interes. Niestety, rozwój zdarzeń w Waszyngtonie coraz bardziej przekonuje mnie do tezy, iż ani ekipa Bidena, ani generałowie US Army takiego interesu na Ukrainie nie widzą. Przypomina mi się pouczająca opowieść jednego z czołowych polskich generałów, który podczas niedawnych debat na forum w Mikołajkach, wspominał swój własny udział przed laty w NATO-wskich „kursach". To właśnie na tych „kursach" oficerowie amerykańscy tłumaczyli świeżo przyjmowanym do wspólnoty paktu oficerom polskim, iż z perspektywy amerykańskiej istnieje zasadnicza różnica w traktowaniu bezpieczeństwa Polski i Ukrainy. „O ile bowiem – wspominał ów generał – Polska jest potencjalnym dostarczycielem bezpieczeństwa, o tyle Ukraina zawsze będzie tylko jego biorcą". Dlatego Ukraina nie zyskała prawa aspirowania do NATO, a obecnie dostaje wsparcie, żeby się bronić, ale nie żeby się obronić.

Sygnowana przez Bidena odpowiedź na zarzuty gazety potwierdza niestety takie przypuszczenie. Roi się w niej znowu od euforycznych pobożnych życzeń na temat „demokratycznej, niezależnej i suwerennej Ukrainy", którą Ameryka „chce zobaczyć", i to na dodatek Ukrainy „zdolnej do obrony przed dalszą agresją". To są wszystko dobrze znane retoryczne koncesje względem panującego etycznego entuzjazmu. Dalej jednak powracają te również dobrze znane zaklęcia, wedle których „nie chcemy zadawać bólu Rosji", więc nie damy żadnej broni, która realnie mogłaby Rosji ów ból zadać. Ciekawie Biden tłumaczy się, dlaczego inaczej niż np. Macron nie naciska na Zełenskiego, żeby ten zgodził się na rozbiór kraju. „Byłoby to niestosowne i sprzeczne z zasadami" – pisze prezydent. Nie jest to zatem jakaś różnica politycznych poglądów w stosunku do Macrona, ale jedynie kwestia „stosowności i zasad", czyli kurtuazyjna koncesja wobec amerykańskiego pięknoduchostwa. Nic więcej. Francuzi pięknoduchostwa uprawiać nie umieją.

Za tę niespójną politykę Biden może jeszcze słono zapłacić. Odmawiając Ukrainie realnych szans na zwycięstwo, a jednocześnie dostarczając jej broń, pieniądze i polityczne poparcie, prezydent ryzykuje tym, że ta cała wielka i bardzo już kosztowna dla Ameryki inwestycja w Ukrainę okaże się zmarnowana. W jej efekcie Ukraina nie przekształci się z „biorcy bezpieczeństwa" w jego „dawcę", co stać by się mogło tylko wówczas, gdyby w efekcie wojny Moskale musieli ustąpić z Ukrainy, ta zaś, na nowo odbudowana wysiłkiem wolnego świata, trwale zostałaby włączona do zachodniej wspólnoty politycznej i militarnej. Tylko wtedy pokój w Europie Środkowo-Wschodniej mógłby naprawdę okazać się pokojem trwałym. Niestety, kierunek, w którym chwiejnym krokiem zmierza dziś Ameryka, prowadzi w naszym regionie do przewlekłych, raz zamrażanych, raz odmrażanych wojen, cierpień ludzkich i zapaści gospodarczej. Do stanu chronicznej politycznej niestabilności, tak jak na Bliskim Wschodzie albo na przysłowiowych Bałkanach. Na krótką metę to znaczy, że amerykańscy wyborcy zapytają Bidena, z jakim efektem wydano miliardy dolarów na Ukrainie. A w dłuższej perspektywie taki stan rzeczy czyni całkiem prawdopodobnym, iż pewnego dnia Ameryka będzie zmuszona militarnie wywiązać się z zobowiązań wobec środkowoeuropejskich sojuszników. Na przykład wobec Litwy albo Polski.

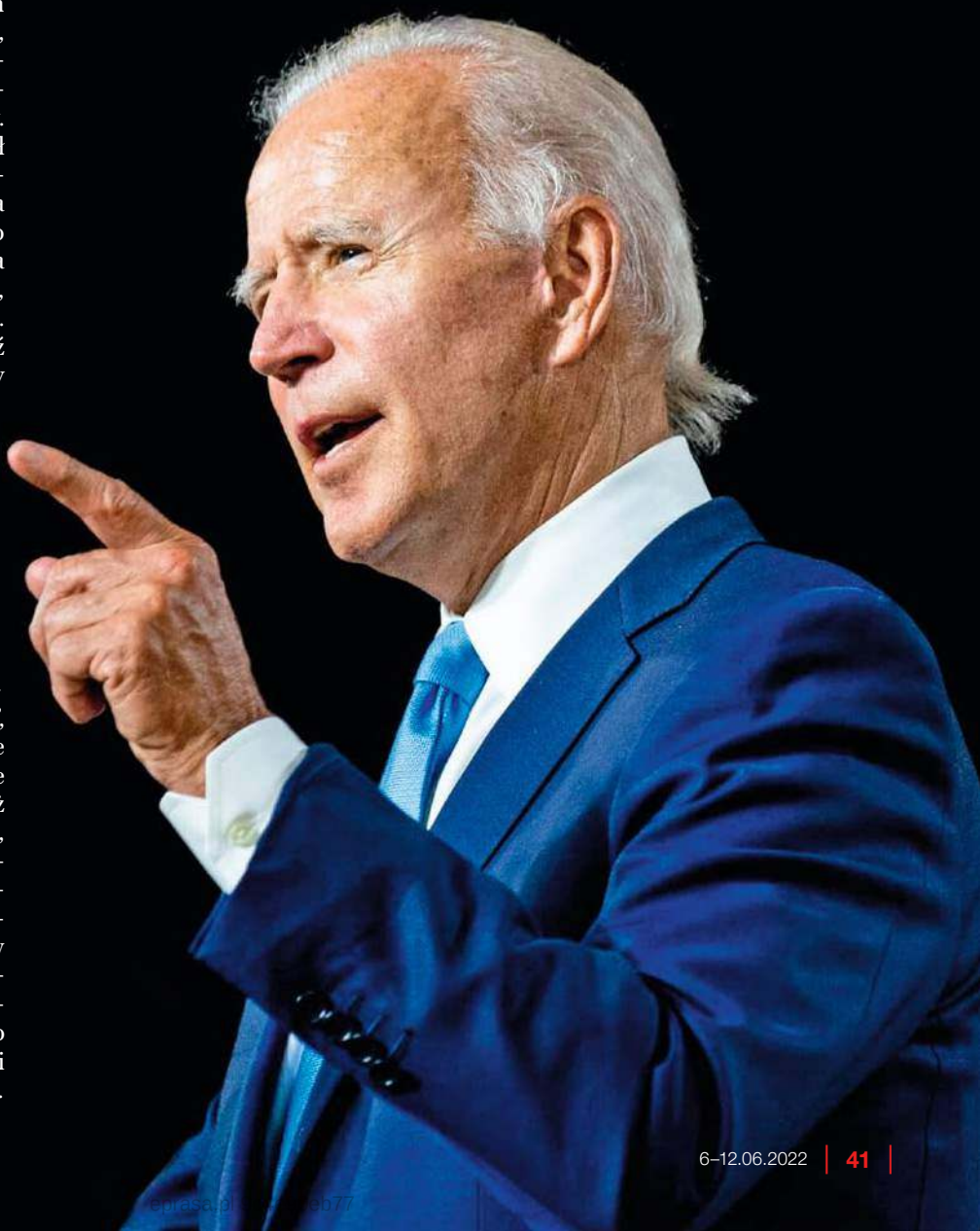

Chaos, kłamstwa i leopardy

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz z jednej strony deklaruje solidarność z Ukrainą, zapowiadając dostawy rozmaitych rodzajów broni, z drugiej strony wciąż te dostawy blokuje. Berlin stoi w rozkroku i to się szybko nie zmieni

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Nieuczciwy" – tak lider opozycyjnej chadecji Friedrich Merz określił kanclerza Niemiec Olafa Scholza podczas ubiegłotygodniowej debaty w Bundestagu. Jej głównym, a właściwie jedynym tematem była wojna na Ukrainie, związany z nią specjalny fundusz dla Bundeswehry w wysokości 100 mld euro oraz dostawy broni. Od marca rząd federalny wysłał na Ukrainę tylko dwie takie dostawy. Obie zawierały broń, taką jak miny przeciwczołgowe czy granaty. Obrońcy Ukrainy jednak nie o to prosili, tylko o ciężki sprzęt, czyli czołgi, bojowe wozy piechoty oraz m.in. pociski przeciwokrętowe Harpoon. Na ich dostarczenie Berlin nie wydał jednak zgody. Kijów, jak zaznaczył gorzko podczas wywiadu z włoskim dziennikiem „La Repubblica" minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba, przestał już liczyć na pomoc Niemiec.

Merz zarzucił Scholzowi pustosłowie i lawirowanie. Wytknął mu także kontynuację dialogu z Putinem (ich ostatnia rozmowa trwała 80 min), podczas gdy „przewodniczący parlamentu Ukrainy jest w Berlinie, ale nikt z urzędu kanclerskiego nie chce się z nim spotkać". „Dlaczego nie powiesz wprost: Ukraina musi wygrać tę wojnę?" – pytał. Miała być twarda postawa, lamentował dalej lider CSU/CDU, a są tylko niejasności i gra na zwłokę. Krytyka ze strony Merza, zauważają media za Odrą, i tak wypadła delikatnie. Niemieckie gazety są tu mniej wstrzemięźliwe.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung" zarzuciła kanclerzowi niezdecydowanie i wprowadzanie opinii publicznej w błąd. Zdaniem gazety Scholz „rujnuje reputację republiki federalnej". Brukowiec „Bild" zaś podkreślił, że kanclerz czyni Niemcy „najbardziej żenującym krajem NATO". Scholz miał sprowadzić cnotę, którą jest ostrożność, ad absurdum.

NICZYM WILHELM II

Tą cnotą Scholz zasłania się od chwili, gdy 27 lutego, trzy dni po rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Ukrainę, ogłosił zmianę (Zeitenwende) w niemieckiej polityce zagranicznej. Niemcy, na których – jak SPD lubi powtarzać – „ciąży szczególna historyczna odpowiedzialność", nie mogą jego zdaniem działać zbyt pochopnie. Obawa przed reakcją Kremla może być tu motywacją tak samo jak notoryczny pacyfizm lewicowego skrzydła SPD, z którego kanclerz się wywodzi. Politycy tej partii i związani z nią eksperci bezustannie ostrzegają przed utożsamianiem się z interesem Ukrainy i podkreślają konieczność negocjacji z Moskwą. Przez ostatnie 20 lat Berlin odgrywał rolę brokera między głównymi mocarstwami. Tej roli najwyraźniej nie chce utracić, a jest ona jednym z fundamentów globalnej pozycji Niemiec. Kiedy trzeba będzie wypracować porozumienie między Moskwą a Kijowem, Scholz chętnie się tego zadania podejmie. A Niemcy odegrają kluczową rolę w układaniu nowego porządku w Europie Wschodniej. Ponadto Berlin obawia się, że zbyt głęboka porażka Kremla zdestabilizuje Rosję i uczyni ją nieobliczalną. W rozmowach poufnych z dziennikarzami kanclerz miał wyrazić obawę, że skończy jak cesarz Wilhelm II. Osobliwe porównanie.

Podczas debaty w Bundestagu znów lawirował. „Niesłuszne są zarzuty chade-

Fot. Juergen Nowak/Shutterstock.com

eprasa.pl 9c4e90eb77

cji. Celem Niemiec jest, by Putin przegrał tę wojnę, a Ukraina była w stanie się obronić" – grzmiał. Słowa „zwycięstwo Ukrainy" znów nie przeszły mu przez gardło. „Berlin – obiecał Scholz – dostarczy Ukrainie rakietowe systemy przeciwlotnicze IRIS-T", które „ochronią całe miasta przed atakami rakietowymi". Jest to już kolejna zapowiedź dostaw broni na Ukrainę, kolejna, która zapewne nie zostanie spełniona. Przynajmniej w najbliższych miesiącach, bowiem Niemcy takimi systemami w ogóle nie dysponują.

Jest to sztuczka, stosowana, jak twierdzi dziennik „Berliner Zeitung" od początku tego kryzysu. „Za każdym razem, gdy Olaf Scholz jest pod presją, ponieważ Ukraina nie dostaje od Niemiec obiecanej broni, zapowiada dostarczenie innego rodzaju broni. Gdy Ukraińcy chcieli otrzymać mardery i leopardy, niespodziewanie obiecano im gepardy. A gdy okazało się, że do tych samobieżnych dział przeciwlotniczych nie ma odpowiedniej amunicji, obiecano im dostarczenie samobieżnych haubic. Teraz, gdy na Ukrainę nie dotarły ani działa, ani haubice, mają tam trafić pociski rakietowe" – czytamy na łamach gazety. Ogłoszenie dostaw w końcu nic nie kosztuje. Ani finansowo, ani politycznie.

NIEUDOLNA MINISTER

Do tego dochodzi chaos w niemieckim MON. Minister obrony Christine Lambrecht, która uznała, że 5 tys. hełmów to „wyraźny znak wsparcia" dla Ukrainy, według mediów za Odrą nie interesuje się specjalnie ani toczącym się tam konfliktem, ani nawet – jako szefowa resortu – swoimi zadaniami. Nie jest to nic nowego, było tak również za czasów, gdy ministerstwem tym kierowała Ursula von der Leyen. Obecna szefowa Komisji Europejskiej opuściła MON w atmosferze skandalu, po tym jak okazało się, że zatrudniała w resorcie swoje koleżanki jako doradczynie. Von der Leyen zmuszała żołnierzy m.in. do szkoleń z tolerancji (szczególnie wobec osób trans) i mówiła, że armia „ma problem z postawą". Lambrecht ewidentnie obrała podobny kierunek.

Podczas gdy Ukraińcy czekali na dostawy broni z Berlina, żołnierze i urzędnicy Bundeswehry otrzymali e-maila od sekretarz stanu Margarethy Sudhof (także z SPD), w którym prosiła ich o gotowość do szkoleń z różnorodności oraz „zaangażowany udział w Dniu Różnorodności" 31 maja. Otwartość na osoby LGBT+ najwyraźniej wciąż jest ważniejsza od sprawności, także pod względem sprzętu, niemieckiej armii. Lambrecht – jak twierdzi tygodnik „Der Spiegel" – do dziś nie spotkała się z większością dowódców armii, których nazwisk, jak się okazało podczas jednego z jej wystąpień w Bundestagu, nie zna. Według tygodnika wprowadzającymi w tematykę obronności szkoleniami w ministerstwie Lambrecht, która w przeszłości kierowała resortami rodziny i sprawiedliwości, nie była zainteresowana. Wolała jechać na urlop narciarski w Alpy. Kolejny, na wyspie Sylt, na który zabrała syna helikopterem Bundeswehry, wywołał skandal. Pani minister tłumaczyła, że zapłaciła za lot z własnej kieszeni według taryfy Lufthansy. Na zarzut, że nie ma lotów liniowych za 150 euro, nie odpowiedziała. Zamiast tego perorowała w mediach o tym, że chciałaby zobaczyć kobietę w roli generała. Gdy jej brytyjski odpowiednik chciał z nią omówić sytuację na Ukrainie, przesunęła rozmowę telefoniczną, bo musiała iść do fryzjera. Podczas pierwszych pięciu miesięcy urzędowania odwiedziła tylko jeden kraj: Stany Zjednoczone. Tyle że to Lambrecht czuwa nad realizacją obietnic dostaw broni na Ukrainę składanych przez Scholza, i to ona będzie odpowiadała za reformę Bundeswehry, która za dodatkowe 100 mld euro ma się stać „największą armią w Europie w ramach NATO". Przy takiej minister realizacja tego planu będzie graniczyła z cudem.

> Jak utrzymuje niemiecki przemysł zbrojeniowy, sprzęt jest i można by go wysłać od razu na Ukrainę, czy gdziekolwiek indziej, gdyby Berlin tylko udzielił na to zgodę

DOBRA WOLA

Grający na czas kanclerz, który wolałby, by Ukraina ani nie przegrała, ani nie wygrała wojny z Rosją, i niefrasobliwa minister to mieszanka, która nie daje większych nadziei na zmianę postawy Berlina. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Kijów otrzyma do połowy lipca 15 dział przeciwlotniczych gepard od Niemiec i kolejne tyle do końca sierpnia z zasobów koncernu zbrojeniowego Krauss-Maffei Wegmann. Tyle czasu ma zająć szkolenie załóg i remont dział, które weszły w seryjną produkcję w 1965 r. „Pakiet" obejmuje również dostarczenie prawie 59 tys. sztuk amunicji. Zdaniem ekspertów to zdecydowanie za mało (gepard wystrzeliwuje 1,1 tys. sztuk na minutę), ale więcej zwyczajnie nie ma. Ponadto trwa już szkolenie ukraińskich żołnierzy w obsługi haubicoarmat PzH 2000. System obrony rakietowej IRIS-T, jeśli w ogóle trafi na Ukrainę (obiecanych jest 12 sztuk), to najwcześniej w październiku.

W ubiegłym tygodniu kanclerz ogłosił także, że Berlin dostarczy Grecji bojowe wozy piechoty w ramach tzw. Ringtausch, tak by rząd w Atenach mógł przekazać systemy uzbrojenia radzieckiej produkcji Ukrainie. Podobny deal Berlin zawarł już z Polską, Czechami i ze Słowacją. W przypadku Polski jednak wciąż nie dostarczył uzgodnionych zamienników dla czołgów T-72 przekazanych Ukrainie przez Warszawę. I wszystko wskazuje, że nie nastąpi to szybko ani nie będą to najnowsze wersje leopardów. „Po prostu nie mamy sprzętu" – twierdzi minister Lambrecht. „Ani dobrej woli" – jak możemy przeczytać na łamach portalu Politico. Portal cytuje posła liberalnej FDP, która wchodzi w skład koalicji rządzącej, Marcusa Fabera. Jego zdaniem „epokowa zmiana jest też wtedy, kiedy 100 marderów znajdujących się w magazynach otrzymuje zielone światło na eksport". Jak utrzymuje niemiecki przemysł zbrojeniowy, sprzęt jest i można by go wysłać od razu na Ukrainę, czy gdziekolwiek indziej, gdyby Berlin tylko udzielił na to zgodę.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Zerwanie bez zerwania

Ukraińska Cerkiew Prawosławna, wbrew doniesieniom mediów, wcale nie odłączyła się od patriarchatu moskiewskiego

GRZEGORZ GÓRNY

27 maja media na całym świecie poinformowały, że Ukraińska Cerkiew Prawosławna zerwała całkowicie z patriarchatem moskiewskim, któremu była do tej pory podporządkowana. Taką decyzję miał podjąć sobór tej Cerkwi obradujący owego dnia w Kijowie. Przy bliższym przyjrzeniu się sprawie okazuje się, że nie jest to jednak prawda.

Wystarczy dokładnie przeczytać uchwałę przyjętą na wspomnianym soborze, by się przekonać, że nie ma w niej ani słowa o odłączeniu się od patriarchatu moskiewskiego. Gdyby ojcowie soborowi podjęli taką decyzję, to z pewnością musiałaby się ona znaleźć na pierwszym miejscu w ich dokumencie jako najbardziej doniosły rezultat obrad. Warto zresztą prześledzić kolejne punkty przegłosowanej uchwały.

SYMETRYZM W OCENIE WOJNY

W punkcie pierwszym czytamy: „Sobór potępia wojnę jako pogwałcenie Bożego przykazania »Nie zabijaj!« (Wj 20, 13) i składa wyrazy współczucia wszystkim, którzy ucierpieli na wojnie".

Zauważmy: sobór nie potępił ani rosyjskiej agresji, ani ludobójstwa dokonywanego przez najeźdźców, ani reżimu Putina, lecz wojnę – tak jakby bezosobowa wojna miała gwałcić Boże przykazanie. Wyrazy współczucia są zaś skierowane nie do napadniętych Ukraińców, lecz do wszystkich ofiar, a więc także do Rosjan. To klasyczny przykład symetryzmu bez wskazania odpowiedzialnego za wybuch konfliktu.

Punkt drugi głosi: „Sobór zwraca się do władz Ukrainy i władz Federacji Rosyjskiej z prośbą o kontynuowanie negocjacji oraz poszukiwanie mocnych i rozumnych słów, które mogłoby powstrzymać rozlew krwi".

Powyższe zdanie – poza tym, że jest przejawem wspomnianego już symetryzmu – zawiera trudną do udowodnienia tezę, iż wojna wciąż trwa, ponieważ rządzący w Kijowie i w Moskwie nie mogą znaleźć dość mądrych i zdecydowanych słów, by zakończyć ten konflikt. Trudno naprawdę to komentować. Można tylko powtórzyć za autorami dokumentu: po prostu brak słów.

RATUNEK PRZED KASACJĄ I KONFISKATĄ

W punkcie trzecim znajduje się zdanie, które zostało przedstawione w mediach jak oskarżenie pod adresem patriarchy Cyryla. Brzmi ono następująco: „Nie zgadzamy się ze stanowiskiem patriarchy Moskwy i Wszechrusi Cyryla w sprawie wojny na Ukrainie".

Uczestnicy soboru nie potępili więc Cyryla, nie zarzucili mu herezji etnofiletyzmu ani instrumentalizowania religii dla celów politycznych, nie wyrazili wobec niego wotum nieufności ani nie wypowiedzieli mu posłuszeństwa, lecz jedynie stwierdzili, że się z nim nie zgadzają. Faktycznie jednak nic z tego nie wynika. Ludzie w wielu sprawach się z sobą nie zgadzają, a mimo to współpracują w ramach jednej instytucji. Powyższa deklaracja nie pociąga za sobą żadnych realnych skutków.

Punkt czwarty zawiera zdanie, które zostało odebrane przez większość komentatorów jako zerwanie z patriarchatem moskiewskim. Brzmi ono następująco: „Sobór zatwierdził odpowiednie uzupełnienia i poprawki do statutu administracyjnego Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, które świadczą o pełnej niezależności i autonomii Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej".

Zauważmy, że uczestnicy soboru nie proklamowali autokefalii, czyli kanonicznej niezależności swojej Cerkwi, nie ogłosili odłączenia się od patriarchatu moskiewskiego, nie zwrócili się do patriarchatu Konstantynopola z prośbą o nadanie im „tomosu", ani nie rozpoczęli rozmów zjednoczeniowych z innym Kościołem, czyli Prawosławną Cerkwią Ukrainy. Oni jedynie zatwierdzili „odpowiednie uzupełnienia i poprawki" do statutu, w którym i tak znajduje się już sformułowanie o „szerokiej autonomii" ich Cerkwi.

Jedyna istotna zmiana polega na usunięciu ze statutu odniesień do patriarchatu moskiewskiego i Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Ta decyzja ma jednak swoje uzasadnienie. W ukraińskim parlamencie znajduje się obecnie projekt ustawy o zakazie działalności „organizacji religijnych, które mają swoje kierownicze centrum w państwie agresorze". Przyjęcie takiego prawa oznaczałoby de facto likwidację Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej oraz konfiskatę jej majątku. Powyższe zmiany w statucie mają więc temu zapobiec, jednak nie pociągają one za sobą odłączenia się od patriarchatu moskiewskiego.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Fot. fot Vadym Novynsky/facebook

Wadim Nowinski, największy prywatny mecenas Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, i metropolita kijowski Onufry

SZTUKA UNIKÓW

Punkt piąty nie ma z naszego punktu widzenia istotnego znaczenia, ponieważ zatwierdza jedynie decyzje synodów, które odbyły się po ostatnim soborze Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej w 2011 r. Nieco ważniejszy, lecz pozbawiony konkluzji jest z kolei punkt szósty: „Sobór rozważał wznowienie sporządzania świętego oleju w Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej".

Ten punkt wymaga wyjaśnienia: w świecie prawosławnym prawo do sporządzania świętego oleju, który jest używany np. do sakramentu bierzmowania czy konsekrowania świątyń, jest oznaką autokefalii. Tak więc olej, z którego korzystają obecnie duchowni Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, przygotowuje patriarchat moskiewski. Gdyby ojcowie soborowi podjęli decyzję o sporządzaniu owego oleju w Kijowie, mogłoby to zostać odebrane jako gest odłączenia się od Moskwy. Oni jednak oświadczyli w swojej uchwale, że jedynie „rozważali" taki krok.

W punkcie siódmym z kolei czytamy: „W czasie stanu wojennego, gdy relacje między diecezjami a kierownictwem Cerkwi są utrudnione lub ich brak, sobór uważa za celowe przyznanie biskupom diecezjalnym prawa do decydowania w niektórych sprawach życia diecezjalnego w zakresie należącym do kompetencji Świętego Synodu lub zwierzchnika Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, z możliwością ich przedłużenia po poinformowaniu duchowieństwa".

Ten punkt z kolei zwalnia władze Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej z odpowiedzialności za postępowanie diecezjalnych biskupów, którzy zechcą (tak jak zrobili to np. hierarchowie na Krymie oraz w obwodach donieckim i ługańskim) uznać okupacyjne rządy rosyjskich namiestników. Zdejmuje też z niej odpowiedzialność za wszelkie akty kolaboracji miejscowego duchowieństwa z agresorem.

ULTIMATUM NIE DO PRZYJĘCIA

Treść punktu ósmego została odebrana przez wielu komentatorów jako kolejna oznaka autokefalii. Uczestnicy soboru postanowili bowiem, że obejmą opieką duszpasterską ponad sześć milionów obywateli Ukrainy (głównie mieszkańców południowych, wschodnich i centralnych regionów kraju), którzy zostali zmuszeni w czasie wojny do wyjazdu za granicę. W rzeczywistości ten krok Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej jest wyzwaniem rzuconym konkurencyjnej, autokefalicznej Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, która pozostaje w jedności z patriarchatem Konstantynopola.

Warunkiem otrzymania przez Prawosławną Cerkiew Ukrainy „tomosu" od patriarchy Bartłomieja było bowiem zrzeczenie się przez nią prowadzenia duszpasterstwa wśród Ukraińców przebywających za granicą. Prawo do prowadzenia parafii oraz misji wśród ukraińskiej diaspory Konstantynopol zarezerwował bezpośrednio dla siebie.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Nie ma on jednak tylu księży, by móc zaopiekować się nawet niewielką częścią uchodźców i emigrantów z Ukrainy. W efekcie ci ostatni mogą znaleźć się pod wpływem jedynej Cerkwi aktywnej za granicą, czyli Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, nadal podporządkowanej patriarchatowi moskiewskiemu.

Dziewiąty punkt dotyczy stosunków ze wspomnianą już autokefaliczną Prawosławną Cerkwią Ukrainy. Jeśli ktoś spodziewał się, że sobór wyciągnie rękę do swoich braci w wierze, uznających zwierzchnictwo Konstantynopola, a nie Moskwy, to się srodze zawiódł. Nawet wojna nie jest w stanie doprowadzić do pojednania w obliczu otwartej agresji wroga.

Wspomniany punkt uchwały ma charakter konfrontacyjny: krytykuje patriarchę Konstantynopola za to, że uznał autokefalię Kijowa, a tym samym „pogłębił nieporozumienia i doprowadził do fizycznej konfrontacji". Stawia też surowe warunki Prawosławnej Cerkwi Ukrainy – ma ona uznać swoją autokefalię za nieważną i zaprzestać przejmowania parafii należących do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (wielu proboszczów i wiernych porzuca bowiem struktury uznające zwierzchność patriarchatu moskiewskiego i przechodzi do Kościoła autokefalicznego). Dopiero spełnienie tych żądań ma otworzyć drogę do dialogu. Mówiąc wprost: jest to ultimatum nie do przyjęcia.

Ostatni, dziesiąty punkt uchwały nie wnosi nic do omawianej przez nas sprawy – ma charakter rytualny, wyrażając nadzieję, że wojna się zakończy, a nieprzyjaciele się pojednają.

ŁAGODNA REAKCJA MOSKWY

Analiza wspomnianego dokumentu pokazuje więc, że o żadnym odłączeniu się Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej od patriarchatu moskiewskiego nie ma mowy. Mimo to w większości komentarzy na świecie przeważa opinia o zerwaniu tego Kościoła z Cyrylem. Powtarza to z zadowoleniem i radością wielu publicystów i internautów ukraińskich, a ze zgrozą i frustracją wielu publicystów i internautów rosyjskich. Ci ostatni wyzywają zresztą uczestników kijowskiego soboru od zdrajców i nazistów.

Diametralnie inna okazała się jednak reakcja patriarchatu moskiewskiego, który w tym samym czasie, gdy w Kijowie trwał sobór, zwołał w stolicy Rosji swój własny synod, czekając na wyniki obrad nad Dnieprem. Po przyjęciu uchwały przez Ukraińską Cerkiew Prawosławną odezwały się pierwsze głosy z Moskwy. Rzecznik prasowy patriarchatu Władimir Legojda oświadczył, że nie będzie komentował decyzji Cerkwi, która decyduje sama o sobie. Metropolita Hilarion (osoba nr 2 w patriarchacie moskiewskim) powiedział z kolei, że kijowski sobór potwierdził tylko status Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, jaki posiada ona od 1990 r., a jej związki z Rosją uległy jedynie wzmocnieniu.

> W ukraińskim parlamencie znajduje się projekt ustawy o zakazie działalności „organizacji religijnych, które mają swoje kierownicze centrum w państwie-agresorze". Przyjęcie takiego prawa oznaczałoby likwidację Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej oraz konfiskatę jej majątku

Wspomniany synod Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przyjął uchwałę, mówiącą o tym, że wszystkie uzupełnienia i poprawki, które zostaną dodane do statutu Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, muszą zostać wcześniej przedłożone do zatwierdzenia patriarsze Cyrylowi. Ten ostatni zaś podczas swojej homilii następnego dnia stwierdził, że rozumie w pełni niezwykle trudną sytuację Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, która dziś musi postępować szczególnie roztropnie, by nie komplikować życia swoim wiernym. Zapewne zdaje on sobie sprawę, że grozi jej likwidacja i konfiskata majątku, dlatego akceptuje decyzje soboru.

OTWARCI NA KAŻDĄ MOŻLIWOŚĆ

Niewątpliwie sobór Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej przyjął swoją uchwałę pod naciskiem okoliczności. Z jednej strony czuł presję parlamentu ukraińskiego, który zagroził rozwiązaniem całego Kościoła oraz przepadkiem mienia. Z drugiej strony odczuwał nacisk bardzo wielu księży i świeckich, a nawet niektórych biskupów, żądających odłączenia się od patriarchatu moskiewskiego. Uchwalony dokument ma zatem zapobiec skasowaniu Cerkwi przez władze oraz powstrzymać przed odejściem rzesze wiernych. Jednocześnie jest on zredagowany w taki sposób, że można go interpretować dwojako: jako zerwanie z Moskwą albo jako trwanie przy niej. Autorzy uchwały pozostawiają więc sobie furtkę na przyszłość w zależności od tego, jak potoczy się sytuacja.

Należy bowiem pamiętać, że o ile wśród przeciętnych parafian Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej panują nastroje wrogie patriarsze Cyrylowi z powodu jego poparcia dla wojny, o tyle w strukturach władzy tego Kościoła dominują duchowni wierni Moskwie, a nawet agenci wpływu Kremla. Taką osobą jest np. prorosyjski milioner i oligarcha, wieloletni deputowany do Rady Najwyższej i były bliski współpracownik Wiktora Janukowycza: Wadim Nowinski – założyciel finansowo-przemysłowej grupy Smart-Holding oraz właściciel m.in. pakietu kontrolnego akcji kompanii Metinwest. Poza tym, że jest największym prywatnym mecenasem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, został także wyświęcony na protodiakona i dzięki swoim wpływom może brać udział w obradach soboru. To on pilnuje interesów Moskwy w Cerkwi. Z przecieków wynika, że za zamkniętymi drzwiami jest w stanie krzyczeć nawet na metropolitę kijowskiego Onufrego. Dopóki podpisuje się on pod cerkiewnymi dokumentami, zerwania z patriarchą Cyrylem raczej nie będzie.

Reklama | 36/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com

KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 9c4e90eb77

Kto wygra kobiety, ten wygra wybory

Fot. Fundacja Projekt PL

Oferta programowa dla Polek powinna dotyczyć kilku obszarów – pracy, zdrowia, kultury. Na przykład w obszarze prawa pracy powinniśmy jako rozwiązanie stałe wpisać pracę zdalną, która ułatwia kobietom łączenie ról, wcześniejszą aktywizację zawodową po urodzeniu dziecka. Kolejna sprawa to wliczanie okresu zajmowania się rodziną do aktywności zawodowej, bo ta społecznie ważna rola powinna znaleźć odbicie w stażu emerytalnym

Z Jadwigą Emilewicz, posłanką Prawa i Sprawiedliwości, byłą wicepremier i minister rozwoju, rozmawia Dorota Łosiewicz

„Gazeta Wyborcza" napisała, że Polska pilnie potrzebuje radykalnego zwiększenia udziału kobiet w rządzeniu. Jednocześnie w tekście pojawił się obszerny akapit o walorach estetycznych kobiet: uśmiechach, kolorowych strojach. Zaskoczyły panią argumenty?

Jadwiga Emilewicz: Zaskoczyło mnie instrumentalne potraktowanie kobiet przez tę rzekomo postępową gazetę. Nie neguję tezy, że dobrze, gdy życie publiczne jest odbiciem struktury społecznej. Kobiet w Polsce jest statystycznie więcej niż mężczyzn, więc

eprasa.pl 9c4e90eb77

zgadzam się, że powinno być ich także więcej w życiu publicznym. Jednak powody przytoczone przez „GW" są kuriozalne. To, że jesteśmy lepiej ubrane, lepiej wyglądamy i wprowadzamy kolor i łagodność w debatę, nie może być uzasadnieniem większej obecności kobiet w polityce! Choć w tekście jest mowa o różnych państwach z liczną reprezentacją kobiet na wysokich stanowiskach, to jednak nie o statystykę chodzi, lecz o kompetencje. Posługiwanie się statystyką dehumanizuje kobiety i jest w istocie antyfeministyczne. Kobiety są niezwykle kompetentne, wykształcone, zdolne do wielopoziomowego zarządzania, wyposażone w wiedzę. I to dlatego powinnyśmy być aktywne w życiu publicznym. Nie ze względu na pastelowe garsonki.

A jak ułatwić kobietom tę obecność?

Na pewno prawica nie ma łatwo z ofertą dla kobiet. Jak pokazują ostatnie badania, kobiety mocno przesunęły się w swoich wyborach politycznych z centrum na lewo. Mężczyźni są zdecydowanie bardziej prawicowi. Warto jednak zauważyć, że to rządy Zjednoczonej Prawicy w 2015 r. wskazały na stanowisko premiera kobietę – Beatę Szydło, która przecież była autorem sukcesu wyborczego prezydenta Andrzeja Dudy jako szefowa jego sztabu. To ona była też twarzą dobrego programu wyborczego w pierwszej kadencji i to ona realizowała przedwyborcze obietnice. Za program 500+ odpowiadała Elżbieta Rafalska, ministrem finansów była Teresa Czerwińska, a jest Magdalena Rzeczkowska. Marszałkiem Sejmu jest kobieta. Prawica docenia kobiety i czyni je odpowiedzialnymi za ważne obszary życia publicznego. Na pewno mogłoby nas być więcej. I na pewno dobrym sygnałem dla kobiet wyborców jest pokazywanie twarzy kobiet w polityce, znajdowanie im dobrego miejsca na listach, a po wyborach obsadzanie ich na eksponowanych stanowiskach.

A jakie są Polki?

Silne. Mają różne pragnienia, oczekiwania. To, co łączy Polki i odróżnia nas od Francuzek, Szwedek, a także od innych kobiet naszego regionu – Czeszek, Słowaczek, Węgierek – to fakt, że bardzo cenimy sobie wolność. Francuzki i Szwedki przebijamy tu o 10 pp. Polka XXI w. jest przede wszystkim solidarna. To było widać przy okazji wsparcia Ukraińców, którzy pojawili się w Polsce. Przyjechały do nas głównie kobiety, a godne warunki życia dla nich także stworzyły kobiety, przyjmując uchodźców pod swój dach. Polki są kompetentne, dobrze wykształcone, poszukiwane na rynku pracy, choć są na tym rynku nieco niedowartościowane, osiągają sukcesy ciężką pracą. Polki szukają też sposobu na to, jak łączyć swoje pasje, życie zawodowe z funkcją żony i mamy. Trudności z łączeniem tych ról deklarują kobiety z dużych i małych ośrodków bez względu na poziom wykształcenia.

> Jak pokazują ostatnie badania, kobiety mocno przesunęły się w swoich wyborach politycznych z centrum na lewo. Mężczyźni są zdecydowanie bardziej prawicowi

Może więc parytety są dobrym pomysłem?

Parytety są antygodnościowe. Powinnyśmy zabiegać o to, by nasze kwalifikacje były dostrzegane i wykorzystywane. Chcemy rywalizować kompetencjami, a nie spódnicą. W kwestii parytetów prawica nie ma się czego wstydzić. I bez nich w ławach poselskich zasiada mnóstwo kobiet. Warto ten trend utrzymać. Prawicy brakuje spójnego programu adresowanego do kobiet, który dostrzegałby ich realne problemy i aspiracje. Gdy mówimy o łączeniu ról wpisanych w kobiecość, to powinniśmy mówić do mężczyzn. Popracujmy nad zmianą kulturową w podejściu do współtworzenia rodziny wśród mężów, chłopaków, partnerów.

Jaka więc powinna być kierowana do kobiet oferta programowa?

Powinna dotyczyć kilku obszarów – pracy, zdrowia, kultury. W obszarze prawa pracy powinniśmy jako rozwiązanie stałe wpisać pracę zdalną, która ułatwia kobietom łączenie ról, wcześniejszą aktywizację zawodową po urodzeniu dziecka.

Kobiety w Polsce coraz częściej decydują się na własną działalność gospodarczą, ale i w tym obszarze mogłyby liczyć na programy wsparcia finansowego dla tych, które zakładają firmę po raz pierwszy.

Wsparciem zatrudnienia młodych kobiet, na które dziś nie zawsze decydują się pracodawcy w obawie przed długoterminową nieobecnością spowodowaną urlopami okołoporodowymi, byłby podział odpowiedzialności między państwem a pracodawcą w obowiązkach ubezpieczeniowych.

Sprawa, którą powinniśmy także przygotować, to wprowadzenie regulacji dotyczącej równości płac i uruchomienie Państwowej Inspekcji Pracy do jej weryfikacji. Rzecz, która czeka już kilka lat na realizację.

Przeciętna emerytura kobiety to ok. 2100 zł, u panów jest ona o blisko 30 proc. wyższa i wynosi 3200 zł. Dzieje się tak dlatego, że kobiety mają niższy staż pracy wynikający z opieki nad dziećmi. Powinniśmy zatem rozważyć wliczanie okresu zajmowania się rodziną do aktywności zawodowej, bo ta społecznie ważna rola powinna znaleźć odbicie w stażu emerytalnym.

Kolejna sprawa to pakiet związany ze zdrowiem. I tu przede wszystkim profilaktyka onkologiczna. Pewne badania powinny zostać powiązane z medycyną pracy – i być wpisane w cykl zatrudnienia w pakiet obowiązkowych badań okresowych.

Znakiem rozpoznawczym prawicy powinno być dostrzeżenie różnorodności potrzeb, pragnień i aspiracji wśród kobiet. Odpowiedzią na wyzwania demograficzne nie może

eprasa.pl 9c4e90eb77

być wyłącznie postulat zwiększenia liczby żłobków. Żłobki są potrzebne, ale np. w Czechach wzrosła dzietność dzięki temu, że umożliwiono organizację opieki domowej kobietom, które tego chciały. Kobiety są różne i oferta dla nich powinna być zróżnicowana. Dotyczy to elastyczności rynku pracy i różnych form wsparcia w wychowaniu.

A różnorodność w sferze kulturowej?

No właśnie. Bardzo istotna jest percepcja kobiety w kulturze wysokiej i masowej. Dziś w debacie publicznej jest jeden model kobiecy: piękna, fit, świetnie ubrana mieszkanka dużego miasta, robiąca karierę singielka. To mocno promowany ideał. On wybrzmiewa szczególnie silnie w kulturze popularnej, znajduje swoje odbicie w reklamach, filmach. W gruncie rzeczy mocno instrumentalizuje kobiety. Paradoksalnie często bohaterkami takich produkcji są zdeklarowane feministki. W sferze kultury powinniśmy zadbać o godność kobiety, a także równowagę w prezentowaniu modelu kobiecości.

Wspomniała pani o roli mężczyzn. Jaki ma pani pomysł, by zachęcać ich do angażowania się w rodzinę i wychowanie?

To właśnie głównie obszar kultury i wychowania. Prawnie zdają egzamin tzw. urlopy tacierzyńskie. Pytanie, jak często ojcowie z nich korzystają. Z badań, które zamówiłam dwa lata temu, wynika, że kobiety mają poczucie osamotnienia w łączeniu aktywności zawodowej z rolami w domu i rodzinie. I nie jest to wyłącznie bolączka prowincji. Dotyczy także dużych miast, gdzie mężczyźni uciekają do korporacji, pracują do późna i zostawiają kobietę samą. Współpraca w domu jest kwestią edukacji, wychowania i mądrego mówienia o równouprawnieniu. Ono nie oznacza, że biologicznie jesteśmy tacy sami, bo nie jesteśmy. Przy takim podejściu pragnienie macierzyństwa może zostać zredukowane. A to jest wyjątkowa część życia kobiety, do której ona ma prawo.

Wyobraża sobie pani przed najbliższymi wyborami jakąś ofertę równie atrakcyjną dla kobiet, jak dla rodzin był atrakcyjny program 500+?

Nie sądzę, by była to kolejna oferta „transferowa". Widzę raczej szerszy pakt dla kobiet. Kilka rozwiązań, o których wspomniałam wcześniej. Nie mam wątpliwości, że wybory wygra ten, kto wygra walkę o kobiety. Słuch społeczny na potrzeby kobiet będzie ważny, bowiem w mijającej kadencji pojawiło się wiele tematów w debacie publicznej, które mocno angażowały kobiety. Trzeba też mieć w pamięci młodsze pokolenie dziewczyn. Nie można bagatelizować znaczenia ich głosu, ponieważ jest ich więcej i one są aktywne. Gdy popatrzymy na zaangażowanie organizacji społecznych w pomoc Ukrainie, to warto zauważyć, że zarządzały nimi głównie kobiety. To ze względu na umiejętność rozwiązywania wielu problemów równolegle, empatyczność. Musimy doceniać kobiety, dając im miejsce w debacie publicznej – zdecydowanie mocniej, niż robi to opozycja.

Jak wielu wyborców płci żeńskiej straciła Zjednoczona Prawica po stwierdzeniu niezgodności przez Trybunał Konstytucyjny przesłanki eugenicznej z konstytucją?

To trudny temat. Wiele kobiet było zaskoczonych. Opinia publiczna nie była dostatecznie przygotowana na oczywisty wyrok w tej sprawie. O tym, że przesłanka eugeniczna nie jest zgodna z konstytucją, mówili wielokrotnie i prof. Zoll, i prof. Rzepliński w 2001 i 2002 r. Status prawny ochrony życia na tle rozwiązań w innych państwach był i jest stosunkowo wysoki. Nawet jeśli uznajemy, że każde życie musi być chronione, od poczęcia aż do śmierci, to zabrakło dobrego przygotowania w debacie publicznej. Zabrakło też wykonania obowiązkowego zadania, czyli przygotowania infrastruktury do opieki nad dziećmi i mamami w trudnej ciąży. Chodzi tu o hospicja perinatalne, których brakuje. Druga sprawa, której zabrakło, to odpowiednie przygotowanie placówek w sytuacji, gdy kobieta nie zechce zająć się chorym dzieckiem. I wreszcie – podniesienie jakości opieki nad dziećmi i osobami trwale niepełnosprawnymi, które w Polsce wciąż mają pod górkę. Mam na myśli np. konieczność potwierdzania niepełnosprawności u dzieci chorych na choroby genetyczne, gdy wiemy przecież, że nie ma możliwości, by dziecko z trisomią 21 za rok już jej nie miało. W tej fali kobiecego sprzeciwu były też zwykłe kobiety, które uznały, że zostały przekroczone granice wolności i sposobu prowadzenia debaty w sposób dla nich nieakceptowalny. Były wśród tych kobiet osoby, które wcześniej na nas głosowały, ale było to dla nich przekroczenie granicy zaufania. O tych osobach z wrażliwością konserwatywną, tradycyjną warto pamiętać.

Dlaczego w kampanii prezydenckiej elektorat kobiecy odpływał od prezydenta Dudy na ostatniej prostej i co zrobić, żeby to się nie powtórzyło w wyborach parlamentarnych?

W agendzie końcówki kampanii zabrakło kwestii kobiet. Były wątki ideologii gender, a z badań wiemy, że kobiety są bardziej lewicowe, więc dlatego one się odsuwały. Myślę, że to jedna z przyczyn.

Dlaczego kobiety o poglądach liberalno-lewicowych lepiej widać i słychać w życiu publicznym?

One są lepiej zorganizowane. Gdy np. dziennikarz chce zadać pytanie o kwestie dotyczące kobiet, od razu odwraca głowę w lewo. Tam są stowarzyszenia, badania, postulaty. Prawa strona jest bardziej reaktywna, a mniej sama proponuje. Tę optykę warto zmienić. Dlatego cenne są takie inicjatywy jak duża konferencja „Polka XXI wieku", która niedawno się odbyła i która pokazała inną twarz polskiej kobiecości. Było tam wiele kobiet życia publicznego, które odnoszą sukcesy, i one mówiły nie tyle o kobietach, ile o ważnych sprawach, np. o demografii, biznesie, bezpieczeństwie energetycznym, zdrowiu, edukacji. Mam nadzieję, że ta inicjatywa na trwale wpisze się w pejzaż życia publicznego, będzie proponować rozwiązania i prowadzić badania.

Reklama | 19/0622/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

XII KONGRES
POLSKA WIELKI PROJEKT

10-12 CZERWCA 2022 r.
ARKADY KUBICKIEGO, WARSZAWA

POLSKA WIELKI PROJEKT

nowa Europa

Zdzisław Krasnodębski

Adrian Vermeule

Ryszard Legutko

Patrick Deneen

Wojciech Roszkowski

Stéphane Courtois

Andrzej Zybertowicz

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Partnerzy strategiczni: Bank Polski, PZU FUNDACJA, KGHM POLSKA MIEDŹ, FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

Partnerzy główni: fundacja arp, Bank Pekao Fundacja, arp, BGK, FUNDACJA BGK, TOTALIZATOR SPORTOWY, ORLEN FUNDACJA

Partnerzy: New Direction, LOTOS, PGNiG, NIW

Partnerzy medialni: TVP TELEWIZJA POLSKA, POLSKIE RADIO, dwójka, Polskie Radio 24, polsat, A17, WP NAJWAŻNIEJSZE, media PPG, DO RZECZY, SIECI

eprasa.pl 9c4e90eb77

Pozwólmy murom Rakowieckiej opowiadać historię

Lata 90. XX wieku były czasem rozmywania odpowiedzialności za PRL, część elit przekonywała nas, że to była normalna Polska. Dzisiaj utrzymywanie tego kłamstwa jest coraz trudniejsze

Z dr. Filipem Musiałem, historykiem, dyrektorem Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w Warszawie, rozmawia Marcin Wikło

Minęła niedawno 74. rocznica śmierci Witolda Pileckiego. Przez lata z tej okazji pod murem Rakowieckiej, gdzie komuniści zgotowali panu rotmistrzowi – jak sam twierdził – los gorszy niż w Auschwitz, spotykała się garstka osób. W tym roku było głośno: efektowny koncert na dziedzińcu, msza święta i przemarsz pod ścianę śmierci. Co musiało się zmienić, byśmy tak czcili polskich bohaterów? To kwestia miejsca czy świadomości?

Dr hab. Filip Musiał: Należy to rozpatrywać na kilku płaszczyznach. Mam wrażenie, że udało się spopularyzować postać rotmistrza nie tylko w Polsce, ale i na świecie, przedstawiając jego aktywność w czasie II wojny światowej. Jego odwaga, a szczególnie fakt ochotniczego pójścia do Auschwitz, to symbol bardzo silny, przemawiający także do obcokrajowców. W Polsce Witold Pilecki jest jedną z tych postaci, które symbolizują wydobycie z mroku powojennej tradycji niepodległościowej. Jeśli więc myślimy o przywracaniu żołnierzy wyklętych do naszej zbiorowej pamięci, to Pilecki jako jeden z pierwszych przychodzi na myśl. Z kolei dla tego procesu, przypomnienia powojennego podziemia niepodległościowego, kluczowe były prace poszukiwawcze zespołu IPN pod kierownictwem prof. Krzysztofa Szwagrzyka na Łączce i film „Kwatera Ł" Arkadiusza Gołę-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c4e90eb77

biewskiego, który o tym opowiedział. Nie można też nie zauważyć ogromnej pracy pani Zofii Pileckiej-Optułowicz, która poświęca całe życie na walkę o prawdę o swoim ojcu. To wolontariuszka naszego muzeum, nasz dobry duch, osoba niezwykle zaangażowana, zachęcająca, by Rakowiecką odwiedzać i poznawać nie tylko historię rotmistrza, ale i historię Polski w ogóle.

Pamięć była ukryta, to prawda, ale pytam raczej o formułę. Co sprawiło, że to już nie są kameralne spotkania, tylko wielka uroczystość, podczas której głośno mówimy, że to są nasi bohaterowie?

My, czyli historycy, którym przychodzi popularyzować historię najnowszą, też się uczymy. Jesteśmy świadomi, że mamy coraz częściej do czynienia z pokoleniami, którym opowieść o tych wydarzeniach trzeba przekazywać już inaczej, niż przekazywano je nam. Oni inaczej patrzą na otaczający nas świat i potrzebują innych bodźców, żeby zainteresować się historią. Wydaje się więc, że kluczem jest to, by działać w dotychczasowym stylu, czyli wydawać książki, robić filmy dokumentalne czy wystawy, ale też sięgać – i to jest najważniejsze – po nowe technologie. Nie mniej ważne jest coś, co nazywam edukacją pretekstową. Chodzi o wydarzenia kulturalne, które przyciągają same z siebie, a jeśli ktoś już na nie dotrze, to niech się zastanowi, dlaczego to dzieje się tutaj, dlaczego wokół tej postaci, kim ona była, dlaczego jest ważna.

Wskazuje pan na przełom w myśleniu o historii powojennej, który dokonał się na Łączce, ale patrząc nawet chronologicznie, tam historia naszych bohaterów się kończy, tam są zrzucani do dołów śmierci. Wcześniej przechodzą przez miejsce, w którym się znajdujmy, czyli areszt na Rakowieckiej. Jak ważne było przejęcie tego miejsca przez historyków?

Rakowiecka jest miejscem wyjątkowym, co do tego nie ma wątpliwości. Tutaj może powstać jedno z najważniejszych muzeów w Polsce. Tu jest ogromny potencjał, mamy bowiem do czynienia z miejscem, gdzie można pokazać ciągłość walki o polską niepodległość od II wojny światowej aż po 1989 r. To, że jest to Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, umożliwia nam odwoływanie się nie tylko do oporu powojennego, ale i ukazywanie kolejnych pokoleń Polaków, które angażowały się w działalność opozycyjną. Opozycja nie była oczywiście jednakowa, nie zawsze była wprost niepodległościowa, czasem były to środowiska, które chciały po prostu „socjalizmu z ludzką twarzą". Ale właśnie dzięki temu możemy pokazać wachlarz oporu wobec władzy komunistycznej i połączyć trzy zjawiska, które w mojej ocenie są kluczowe dla losów Polski w XX w. Fenomen Polskiego Państwa Podziemnego, z którego wyrastają żołnierze wyklęci, i trzecie, czyli Solidarność, która przywiodła nas do 1989 r., czyli momentu, w którym zaczęliśmy niepodległość odzyskiwać.

Mówi pan, że Rakowiecka to miejsce, które dopiero „ma potencjał". Mogą odezwać się ludzie rozczarowani i zniecierpliwieni, bo decyzja polityczna ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, by w tym miejscu z aresztu uczynić muzeum, zapadła ponad sześć lat temu. Po tym czasie należy zapytać, na jakim etapie jest tak naprawdę budowa MŻWiWPPRL?

Trzeba mówić bardzo wyraźnie, że jesteśmy wciąż na początku drogi. Za bardzo dobrą sytuację uznaję fakt, że muzeum formalnie powstało i ma swoją siedzibę, czyli może wykorzystywać tę historyczną tkankę architektoniczną, jaką jest były areszt na Mokotowie. Wciąż jednak nie znamy wysokości budżetowania tego wielkiego przedsięwzięcia, jakim będzie zbudowanie muzeum i utworzenie tutaj wystawy stałej. Zatem nie wiedząc, jak wiele pieniędzy państwo polskie będzie mogło przeznaczyć na to muzeum, nie jesteśmy w stanie przesądzić, czy będzie możliwy do realizacji projekt, który dotychczas brano pod uwagę.

Na początku 2017 r. rozstrzygnięto konkurs na projekt architektoniczny, który zakłada zachowanie najważniejszych budynków, a do tego postawienie czterech symbolicznych wież z napisami: Bóg, Honor, Ojczyzna i Wolność. Wówczas zakładano, że może to kosztować nawet 700 mln zł. Czy to jest w ogóle realna kwota w dzisiejszych czasach?

Jak pan słusznie zauważył, to kwota zakładana kilka lat temu, dzisiaj zapewne musiałaby być znacznie wyższa. Ale to tylko dywagacje, bo – powtórzę – nie znamy jeszcze naszych możliwości budżetowych, trudno więc odpowiedzialnie wyrokować o przyszłości.

Wciąż więc aktualna jest nazwa „muzeum w budowie". Jak placówka pracuje w tym okresie przejściowym?

Może być swego rodzaju pułapką stwierdzenie, że muzeum już jest i działa, więc niczego nam nie potrzeba. Działamy na miarę obecnych możliwości. Przede wszystkim prezentujemy dwa historyczne pawilony: najważniejszy pawilon X i częściowo pawilon XII. Prezentujemy wybrane artefakty z bardzo bogatych już dzisiaj zbiorów, ale, podkreślę, to dopiero namiastka ekspozycji, którą chcielibyśmy tutaj mieć. Pamiętajmy też o skromnych możliwościach personalnych, muzeum dzisiaj to raptem 20 osób. Jak na placówkę, która ma tak ogromny potencjał, to niewiele. Musi się to w szybkim czasie zmienić.

W grudniu ub.r. zapadła decyzja, że muzeum będzie zarządzane przez Instytut Pamięci Narodowej. Zanim to się stało, podsumowano dotychczasową pracę. Co można powiedzieć o stanie zbiorów. Jak ta placówka była prowadzona do tej pory?

Rzeczywiście instytut zapoznał się ze stanem faktycznym instytucji, którą przyjdzie mu teraz organizować. Ten ogląd dotyczył zarówno zasad funkcjonowania placówki, jak i zbiorów, które szczególnie przykuwają uwagę. To właśnie zgromadzone artefakty sprawiają, że tak odważnie mówię o ogromnym potencjale muzeum. Warto w tym miejscu podziękować zespołowi kierowanemu przez dotychczasowego dyr. Jacka Pawłowicza, który był osobiście bardzo zaangażowany w pozyskiwanie najcenniejszych eksponatów. Teraz jest

eprasa.pl 9c4e90eb77

zastępcą dyrektora ds. kolekcji, więc swoją pracę będzie kontynuował. Eksponatów jest ponad 17 tys., są bardzo różne. Od Orderu Orła Białego nadanego rtm. Witoldowi Pileckiemu, przez meble z miejsca, gdzie kwaterował mjr Zygmunt „Łupaszka" Szendzielarz, po transparenty malowane przez działaczy Solidarności w czasie internowania. To nasze skarby, które uzupełniamy także o przedmioty ilustrujące czasy Polski Ludowej. Te jednak będą tylko tłem dla zbiorów bezpośrednio związanych z misją muzeum.

Jakie wnioski na przyszłość wynikają po zapoznaniu się z dzisiejszym stanem muzeum?

Bezwzględnie należy rozwinąć muzeum kadrowo i w miarę szybko rozpocząć proces inwestycji, który – co do tego nie mam wątpliwości – powinien być etapowany. To znaczy, że nie możemy pozwolić sobie na zamknięcie muzeum i rozpoczęcie prac związanych z budową na całym terenie. Trzeba te prace zaplanować tak, by jakaś część ekspozycji była stale dostępna dla zwiedzających i byśmy mogli rozwijać działalność edukacyjną.

Jak pan widzi to muzeum w przyszłości, kiedy mur Rakowieckiej przestanie wreszcie odgradzać to święte miejsce od miasta?

To już się dzieje. Brama Rakowieckiej jest szeroko otwarta, zapraszamy odwiedzających codziennie. O pełnej wizji nie możemy jeszcze mówić, bo, powtórzę, blokują nas kwestie finansowe. Ale to jest miejsce, którego nie da się porównać z żadnym innym. Tylko tutaj można pokazać tak wiele autentycznych elementów związanych z walką o wolny i suwerenny kraj. Jest to też wyjątkowe miejsce męczeństwa osób, które słusznie kojarzymy jako najważniejsze, jeśli mówimy o tej walce.

Żeby rozpocząć inwestycję budowlaną, należało przeszukać teren, bo wiemy, że za murami Rakowieckiej mordowano ludzi.

Przed nami ostatni etap prac zespołu prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Chciałbym, byśmy do końca roku mieli pewność, że zostały już przeszukane wszystkie te miejsca, w których potencjalnie mogły znajdować się szczątki ludzkie. To ważne emocjonalnie, bo obiecaliśmy naszym bohaterom, że żadnego nie zostawimy, że powrócimy po swoich, ale też pod kątem planowanej inwestycji dobrze mieć pewność, że nie będziemy budować na grobach, jak czasem zdarzało się komunistom.

Jacek Pawłowicz, Zofia Pilecka-Optułowicz i dr Filip Musiał składają kwiaty w celi rtm. Witolda Pileckiego w 74. rocznicę jego śmierci – 25 maja 2022 r.

Fot. M. Czutko

Patrząc szerzej na debatę toczoną od lat, czy trudno jest rozprawiać się z mitami o dobrych komunistach?

Paradoksalnie nauczanie historii dzisiaj jest łatwiejsze. Cena jest oczywiście straszliwa, bo na Ukrainie giną ludzie. Ale sytuacja za naszą wschodnią granicą pozwala uzmysłowić sobie, jaki los spotkał Polskę po 1944 r. Analogie są oczywiste, Sowieci nie byli „wyzwolicielami", wtedy i dzisiaj Rosjanie też nimi nie są. Polska Ludowa nie była elementem tradycji polskiej państwowości, ale sowieckiej spuścizny imperialnej. Lata 90. ub.w. były czasem rozmywania odpowiedzialności za PRL, część elit przekonywała nas, że to była normalna Polska. Dzisiaj utrzymywanie tego kłamstwa jest coraz trudniejsze.

Muzeum na Rakowieckiej jest – czy też będzie – skutecznym narzędziem do nauki historii?

Jeśli chcielibyśmy młodym pokoleniom opowiedzieć o tym, jak trudnym i złożonym procesem było odzyskanie niepodległości utraconej we wrześniu 1939 r., jak olbrzymi wysiłek poniosło walczących o to kilka pokoleń Polaków, to nie ma lepszego miejsca niż Rakowiecka 37. Mamy przewodników, ale to miejsce w dużym stopniu opowiada samo. Widać to po najmłodszych odwiedzających, którzy na co dzień żyją w świecie nowych technologii i sporo czasu spędzają w rzeczywistości wirtualnej. A okazuje się, że gdy wchodzą na teren aresztu, te telefony czy tablety nie są im potrzebne. Ta dramatyczna, ale przecież też piękna historia tutaj po prostu jest.

To ich naprawdę zaciekawia czy trzeba znaleźć do nich klucz?

W naszej opowieści musi być puenta, nie wolno nam zatrzymać się na tym, że nasi bohaterowi zginęli na Rakowieckiej i zrzucono ich do dołów śmierci na Łączce. Musimy tę historię domknąć, uzmysłowić im, że proces ekshumacji w kwaterze Ł był tym momentem, w którym żołnierzy wyklętych wyciągamy nie tylko fizycznie z ich grobów, ale też symbolicznie z pewnej sfery niedopowiedzenia. Przez to stają się fundamentem najlepszej tradycji, na której chcemy oprzeć wychowanie tej młodzieży. Tradycji, wokół której chcemy się organizować jako wspólnota.

Ciekaw jestem, co pan myśli o tym miejscu? Doktor historii, lat 46, od niedawna dyrektor muzeum.

Dla mnie to także podróż niezwykle emocjonalna, bo jednym z wątków moich badań naukowych była historia powojennego podziemia, zwłaszcza nurtu poakowskiego, a więc Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. To jest to, czego każdy historyk chce – móc odwiedzić miejsca związane z osobami, których losy bada. Czytając dzisiaj grypsy płk. Łukasza Cieplińskiego, zupełnie inaczej je odbieram, gdy mogę wejść do celi, w której powstawały. Dlatego uważam, że pawilony więzienne z celami, o których wiemy, kto w nich był przetrzymywany, to przestrzeń, w którą powinniśmy jak najmniej ingerować. Pozwólmy murom Rakowieckiej opowiadać historię.

Autopromocja

eprasa.pl 9c4e90eb77

KLIKASZ I CZYTASZ!

Nowość dla czytelników tygodnika „Sieci”

Dla wygody naszych czytelników wprowadziliśmy nową funkcjonalność. Już teraz każde wydanie tygodnika „Sieci” można czytać nie tylko w wersji papierowej czy PDF, ale także bezpośrednio na stronie wPolityce.pl w formie wydania on-line. To rozwiązanie szczególnie przydatne dla osób, które mają trudności w zakupie tygodnika w kioskach oraz tych, które chciałyby czytać nas wygodnie na smartfonie. Dodatkowym atutem tej formy korzystania z tygodnika jest możliwość lektury już w niedzielę wieczorem.

WYGODNE ROZWIĄZANIE

Nasza nowa propozycja jest szczególnie przydatna dla czytelników korzystających na co dzień z urządzeń mobilnych. Wygodny format HTML pozwala komfortowo korzystać z publikowanych treści na smartfonie, tablecie czy komputerze w dowolnym momencie i miejscu.

ŁATWY DOSTĘP

Żeby korzystać z nowej formuły tygodnika „Sieci”, wystarczy wejść na stronę www.wpolityce.pl i kliknąć w ikonę „Tygodnik Sieci” znajdującą się na czerwonym pasku w górnej części ekranu. Na stronie wyświetli się kilkadziesiąt artykułów z bieżącego wydania tygodnika, które – po opłaceniu subskrypcji – będą dla czytelników dostępne w całości. Subskrypcję na wybrany okres można opłacić, klikając w aktualną ofertę znajdującą się na górze strony lub pod każdym z fragmentów artykułów. Po dokonaniu zakupu czytelnicy mogą korzystać już z pełnych zasobów tygodnika „Sieci” on-line.

DODATKOWE KORZYŚCI

Wybierając e-prenumeratę tygodnika „Sieci”, poza możliwością korzystania z treści on-line czytelnicy mają dostęp do pełnej wersji tygodnika w formacie PDF oraz do magazynu „wSieci Historii”, specjalnych wydań „Sieci Extra” oraz archiwalnych wydań tytułów od 2017 r. Dodatkowo w ramach subskrypcji uzyskują dostęp do zamkniętych artykułów PREMIUM+ na portalu wPolityce.pl.

ATRAKCYJNA CENA

Niebagatelne znaczenie ma także cena proponowanego rozwiązania. E-prenumerata tygodnika „Sieci” to duża oszczędność – teraz aż 50 proc. – oraz specjalne oferty z prezentami dla czytelników. Subskrypcja próbna na pierwszy miesiąc to wydatek zaledwie 2,90 zł (następne miesiące w cenie 11,90 zł). W przypadku opcji rocznej to koszt tylko 119,90 zł (zamiast 239,90 zł) – teraz z prezentem w postaci trzech audiobooków.

CZYTAJ TYGODNIK „SIECI” NA wPolityce.pl

eprasa.pl 9c4e90eb77

Niemcy straciły wiarygodność

Mamy czas na zwiększenie swojego potencjału obronnego. Za kilka lat koszt agresji na Polskę będzie na tyle wysoki, że nikt się na nią nie zdecyduje, nawet gdyby sojusznicy opóźniali się z pomocą – mówi ***Jan Parys***, były minister obrony narodowej w rządzie Jana Olszewskiego, w rozmowie z Markiem Pyzą

W poprzednim numerze „Sieci" pisał pan o propozycji Niemiec sprzed półtora roku, gdy oferowały one Waszyngtonowi zmianę swojej prorosyjskiej polityki, pod warunkiem że pozwoli im się żerować ekonomicznie na Europie Środkowej. Czyli jednak Berlin jest w stanie zmienić kurs, lecz tego nie chce?

Jan Parys: Ludzie, którzy są rozczarowani dzisiejszą postawą SPD i mają nadzieję, że CDU prowadziłaby inną, bardziej proatlantycką politykę, powinni sobie przypomnieć to, co stało się w końcu 2020 r., gdy CDU była u władzy i pod presją prezydenta USA rozważała zmianę optyki geopolitycznej. Ówczesna przewodnicząca tej partii, minister Annegret Kramp-Karrenbauer, wyraźnie w swoich przemówieniach i publikacjach stwierdziła, że jest możliwa zmiana polityki zagranicznej Niemiec, ale pod warunkiem, że USA ograniczą swoje wpływy w Europie, a rolę dominującą będą sprawować Niemcy. Delikatnie nazywano to „przejmowaniem odpowiedzialności" za Europę. To pokazuje, że Niemcy są zdolni do pewnej elastyczności, że więzi z Rosją nie są wieczne, ale chcą sobie zapewnić uprzywilejowaną pozycję w Europie i chcieliby mieć do tego mandat od Waszyngtonu.

Nie dostali go. Ale dziś mamy zupełnie nowe okoliczności. Czy po 100 dniach rosyjskiej wojny na Ukrainie możemy powiedzieć, że proces zmiany kursu Niemiec się rozpoczął?

Obawiam się, że zmiany zapowiedziane przez kanclerza Scholza ograniczają się do sfery werbalnej. Nie ma żadnych poważnych kroków geopolitycznych. Pomoc dla Ukrainy jest głównie pozorna. Niemcy są największym i najbogatszym krajem w Europie, więc należy oczekiwać, że zakres udzielanej pomocy również będzie największy. Tymczasem jest symboliczny.

Dochodzą do nas sygnały, że nie mogą wszystkiego odwrócić o 180 stopni w jednej chwili. Że to proces, który wymaga czasu. Może oczekujemy od nich za wiele?

Niewątpliwie uzależnienie energetyczne od Rosji, które Niemcy sami sobie zafundowali, jest problemem nieroz-

eprasa.pl 9c4e90eb77

Fot. Andrzej Wiktor

wiązywalnym natychmiast. Jednak w dziedzinie polityki, zbrojeń i pomocy wojskowej szybkie decyzje są możliwe.

Ale w Berlinie ciężko nawet o szybkie i adekwatne do sytuacji komentarze. Angela Merkel wreszcie przemówiła i wspaniałomyślnie dała Ukraińcom prawo do samoobrony. To chyba trochę za mało z jej strony.

Zarówno pani Merkel, jak i jej zwolennicy doskonale wiedzą, że niemiecka polityka zagraniczna ostatnich kilkunastu lat zakończyła się katastrofą. Więzi gospodarcze z Rosją skutkują tym, że Niemcy mają dziś ograniczone pole manewru w dziedzinie bezpieczeństwa. Obawiam się, że obserwujemy także skutki personalnego uzależnienia od Rosji wielu osób w niemieckiej polityce. Wszak penetracja rosyjskich służb w Niemczech była bardzo głęboka, zwłaszcza w niektórych środowiskach przemysłowych i politycznych.

Czy to znaczy, że powinniśmy być nieco bardziej wyrozumiali, skoro znaleźli się – na własne życzenie – w tak trudnej sytuacji?

Nie chodzi tu o żadną wyrozumiałość. Polscy politycy muszą wyciągać wnioski z tej sytuacji. A są one takie, że na Niemcy nie możemy liczyć w trudnym momencie. Berlin próbuje sterować całą Unią Europejską w kierunku powrotu do dawnych układów z Rosją. Widać to choćby w namawianiu Ukrainy do rozejmu, który oznaczałby utratę części terytorium i byłby z całą pewnością korzystny dla Moskwy. Musimy sobie zdawać sprawę, że jeśli wobec wojny na Ukrainie Niemcy są tak miękkie, to istnieje prawdopodobieństwo, że byłyby również miękkie w sytuacji ograniczonej agresji na kraje NATO – któreś z państw bałtyckich albo Polskę. Wtedy też Niemcy stanęłyby na czele obozu ugody z Rosją. Wiarygodność Niemiec w dziedzinie bezpieczeństwa jest na poziomie Cypru, czyli żadna.

Spójrzmy w przyszłość, na horyzont powojenny. Jakie są największe zagrożenia dla Europy, wyłączając oczywiście samą Rosję?

Dla mnie jest nim rozbicie państw UE ze względu na odmienne postrzeganie zagrożeń na Wschodzie. Jestem przekonany, że nie mamy innego wyjścia, niż dążyć do tego, by najbliższy szczyt NATO przyjął nową doktrynę obronną paktu i nową politykę zbrojeń. Trzeba zacząć budować bezpieczeństwo europejskie przy założeniu, że Rosja jest wrogiem, a nie partnerem. Może to być szokujące dla takich krajów jak Niemcy, które ugodową politykę z Rosją prowadziły permanentnie już od czasów kanclerza Brandta. Teraz stoją przed koniecznością zerwania więzi, które miały im dać większą samodzielność.

A jeśli tego nie zrobią?

Jeśli nie dokona się jakaś rewolucja umysłowa wśród polityków w Berlinie i w Brukseli i przejdziemy do porządku dziennego nad ludobójstwem dokonywanym na Ukrainie, to zaryzykujemy, że agresja rosyjska się powtórzy. A to jest możliwe tylko w jednym kierunku – Europy. Byłaby to więc bardzo krótkowzroczna polityka. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdyby prezydent Biden w styczniu br. nie udzielił tak twardej odpowiedzi na rosyjskie ultimatum z grudnia 2021 r. i uległ żądaniom Putina. Przecież kraje europejskie nie byłyby w stanie obronić ani Ukrainy, ani swojego terytorium bez wsparcia USA. Wszelkie marzenia o strategicznej autonomii Unii, lansowane zwłaszcza przez Francję przy naiwnym entuzjazmie w Parlamencie Europejskim, to tylko mrzonki.

Czy zatem dobrym kierunkiem są takie pomysły jak Borisa Johnsona o powołaniu jakiegoś nowego sojuszu w Europie – z państwami bałtyckimi, Ukrainą, Polską?

To przedstawienie pewnej alternatywy politycznej, pokazanie Niemcom, że nie wszystko w Europie zależy od nich. Że zawsze może zaistnieć alternatywa, jeżeli będą zbyt długo stać w rozkroku i liczyć na ugodę z Rosją w trakcie wojny. Już dziś można powiedzieć, że wewnątrz krajów NATO dokonał się podział. Część państw wypełnia zalecenia np. o przeznaczaniu 2 proc. PKB na zbrojenia, a inne – te najbogatsze – tego nie robią. Część pomaga Ukrainie, przesyłając uzbrojenie, a inne tylko udają. Niemcy podpisują wszystkie dokumenty paktu, lecz nie chcą wykonywać swoich zobowiązań. Mamy NATO dwóch prędkości – bardziej zaangażowanych i tych, którzy zostają z tyłu i uważają, że bezpieczeństwo najlepiej zapewnić sobie cudzymi rękoma i pieniędzmi.

Z naszego punktu widzenia to bardziej zagrożenie czy może jednak szansa?

Ta wojna kreuje nowy układ sił w Europie. I paradoksalnie możemy mówić o pewnych pozytywnych jej skutkach. Po pierwsze, w Polsce doszło do uchwalenia ustawy o obronności, która zakłada podwojenie liczebności Wojska Polskiego i bardzo

eprasa.pl 9c4e90eb77

intensywny program zbrojeń. Po drugie, MON błyskawicznie uruchomił program zakupów. Ten sprzęt oczywiście napłynie w ciągu kilku lat, bo nie leży nigdzie na półce, ale to już się dzieje. A po trzecie, Rosja wykrwawia się, jej potencjał wojskowy uległ zniszczeniu dzięki bohaterstwu obrońców Ukrainy. Dlatego my i inne kraje europejskie mamy czas na zwiększenie swojego potencjału obronnego. Nasz rząd bardzo dobrze z tego korzysta, podpisując co kilka tygodni nowe kontrakty. Za kilka lat koszt agresji na Polskę będzie na tyle wysoki, że nikt się na nią nie zdecyduje, nawet gdyby sojusznicy opóźniali się z pomocą.

Zweryfikowana została także rola naszego regionu w NATO, jego gotowość do obrony.

Znaczenie wschodniej flanki wzrosło gwałtownie. Liczy się już nie tylko Trójmorze, lecz również neutralne dotychczas Szwecja i Finlandia. Ten blok państw plus walcząca Ukraina stanowi ogromny potencjał. To 150 mln ludzi w państwach, które okazały się kluczowe dla bezpieczeństwa europejskiego. A „stara" Europa stała się mało solidnym sojusznikiem w sytuacji zagrożenia wojennego. Myślę, że dało to sporo do myślenia w Waszyngtonie. I choć naturalnie nie zastąpimy Niemców, bo nasz potencjał jest dużo mniejszy, to w Ameryce zwycięża pogląd, że trzeba stawiać na tych, którzy się sprawdzają w boju, a nie na tych, którzy tylko gadają i oszukują. Obserwujemy tworzenie się zupełnie nowego układu sił w NATO i UE. A Niemcy czy Włochy, blokując stowarzyszenie Kijowa z Unią Europejską, wbijają Ukraińcom nóż w plecy.

> Jeśli wobec wojny na Ukrainie Niemcy są tak miękkie, to istnieje prawdopodobieństwo, że byłyby również miękkie w sytuacji agresji na któreś z państw bałtyckich albo Polskę. Wtedy też Niemcy stanęłyby na czele obozu ugody z Rosją

Jakie ma to znaczenie dla obrońców Ukrainy?

Na wojnie liczy się nie tylko uzbrojenie, ale też zapał do walki, który łatwo zniszczyć. Odpowiedzialność polityków zachodniej Europy za ewentualne wyhamowanie woli walki na Ukrainie jest ogromna. To, co zrobił Kissinger w Davos, to nie tylko rzucenie paru niemądrych słów, ale też brutalne uderzenie w obrońców Ukrainy, próba odebrania im nadziei. Nie chcę być złym prorokiem, ale jeśli się porówna przemówienie prezydenta Zełenskiego w Davos z orędziem do swoich rodaków wygłoszonym kilka dni później, to widać, że zachodnie głosy nawołujące do ustępstw niestety odniosły jakiś skutek. Po raz pierwszy powiedział on swoim żołnierzom, że muszą się liczyć z tym, iż nie odzyskają wszystkich terenów. To wielka zmiana, na którą negatywny wpływ miał Henry Kissinger i różni politycy Europy Zachodniej.

Jedno się nie zmienia – postawa Polski, na którą Ukraińcy mogą liczyć w każdej dziedzinie. Do Kijowa ponownie pojechali premierzy Morawiecki i Kaczyński, tym razem z połową rządu na szerokie konsultacje. Lider obozu Zjednoczonej Prawicy stwierdził, że ta rozmowa była tak dobra, konkretna i dotyczyła tak wielu kwestii, że przejdzie do historii. Czego zalążkiem może być współpraca polsko-ukraińska?

Trwa wojna, więc nie można mówić publicznie o wszystkim, co się przygotowuje, ale myślę, że jest możliwy bardzo bliski sojusz polityczny, gospodarczy. Leży to w interesie obu państw i stworzyłoby nowe centrum siły na flance wschodniej. Nie przewiduję realizacji pomysłów federacyjnych, co usiłują lansować niektórzy publicyści, warto jednak pogłębiać tę współpracę. To oczywiście nie będzie dobrze widziane np. w Niemczech. Wśród urzędników brukselskich przerażenie budzi przyjmowanie do Unii kraju, który przelewa krew za swoją wolność. Takiego kraju, takiego rządu nie da się rzucić na kolana i sobie podporządkować. A przecież decydenci unijni chcą tylko jednego – żeby państwa członkowskie oddawały im po kolei swoje kompetencje. Walcząca Ukraina jest więc ideowym przeciwnikiem. Jej władze są nie do przyjęcia. Dlatego słyszymy, że Kijów będzie musiał poczekać ze 20 lat – by obecna bohaterska elita odeszła, a Bruksela „wychowała" sobie nowych, posłusznych Ukraińców.

Co musi się stać, by Polska wykorzystała to „okno możliwości" i stała się jeśli nie nowym, to choć drugim centrum Europy?

Przyszłość kontynentu zależy od działań polityków amerykańskich. Jeśli w USA z jakichś powodów nastąpiłoby złagodzenie polityki wobec Rosji, to cała wschodnia flanka przestałaby być istotna. Na szczęście nie zanosi się na to. USA wróciły do doktryny Reagana, która mówiła, iż każde państwo walczące o wolność z Rosją, otrzyma pomoc ze Stanów Zjednoczonych. Jednym słowem, mamy szansę umocnić swoją pozycję w regionie, a przez to w Europie.

Na naszej drodze może stanąć Bruksela, która wciąż nie przekazuje nam należnych środków unijnych. Jak dalej będzie wyglądała batalia w tej sprawie? Niby wszystko jest zaakceptowane, KE ogłasza kompromis, ale 116 „kamieni milowych" leży na stole i nie możemy być pewni, czy znów nie zostaniemy oszukani.

Niezależnie od tego, co jest zapisane, to wszystko zależy od woli politycznej. Niestety, ostatnie sześć lat pokazuje, że Unia jest narzędziem polityki niemieckiego panowania w Europie i realizuje niemieckie pomysły na dominację. Nie spodziewam się uczciwego traktowania naszego kraju, lecz raczej dużo złej woli, szantażu obliczonego na zmianę wła-

eprasa.pl 9c4e90eb77

dzy w Polsce i powrót tych, którzy będą działać w interesie Niemiec. Politycy z Brukseli są gotowi jawnie łamać traktat i kompromitować UE na oczach milionów obywateli, byle tylko doprowadzić do zmiany władzy w Polsce. Zatrzymano wypłatę KPO dla Polski po to, by za środki Unii kupić dla Platformy sukces wyborczy.

Pisał pan, że już dwa tygodnie po wyborach w 2015 r. z Niemiec nadszedł nieoficjalny sygnał do Warszawy: że będą tam robić wszystko, by zabrać Polsce unijne pieniądze. Jak to wyglądało?

Trudno mówić o szczegółach, bo poruszamy się w obszarze niejawności. Ale faktem jest, że atak na gabinet Beaty Szydło nastąpił natychmiast. W listopadzie mieliśmy zaprzysiężenie rządu, a przed Bożym Narodzeniem już były uruchomione instrumenty UE przeciwko Polsce. Działanie wrogów naszego państwa było błyskawiczne. Unia była wykonawcą poleceń z urzędu kanclerskiego w Berlinie.

O tym, co się w nim działo, dowiadujemy się po latach. Przed kilkoma miesiącami „Der Spiegel" opisał dokumenty dowodzące, że kanclerz Kohl jedno mówił, a o czym innym marzył – nie chciał rozszerzenia NATO na Wschód, ani niepodległości Ukrainy i państw bałtyckich. Niedawno prof. Bogdan Musiał ujawnił szyfrogram z 1990 r., z którego wynika, że Niemcy dążyły do rozbicia obozu Solidarności, zdestabilizowania naszej sceny politycznej, by łatwiej prowadzić tu ekspansję gospodarczą.

Te dokumenty pokazują prawdziwe oblicze polityki. Prowadzi się ją za pomocą uśmiechów, lecz za nimi kryje się brutalna walka o interesy. Dlatego emocjonalne podejście do polityki, często dominujące w Polsce, jest głęboką naiwnością. Osoby, które się wzruszały do łez, patrząc, jak premier Mazowiecki obejmuje kanclerza Kohla, powinny sobie zdać z tego sprawę.

A jak pan to widział w tamtym czasie ze swojej perspektywy, ministra obrony w rządzie Jana Olszewskiego?

Wiedzieliśmy, że rząd niemiecki nie był zwolennikiem pełnej akceptacji porządku, który nastał po wygraniu zimnej wojny. Część państw Europy Zachodniej nie chciała szybkiego wejścia Polski do NATO. Porozumienia o stowarzyszeniu ze wspólnotami europejskimi podpisane w końcu 1991 r. z jednej strony dawały krajom Unii pole do ekspansji, a z drugiej wiązały się z narzuceniem polskiej gospodarce bardzo twardych reguł i były początkiem podporządkowywania Wschodu władzom w Brukseli. Dziś wiemy, że otworzyliśmy swój rynek szeroko w nadziei na różnego rodzaju subwencje, które napływały do nas w bardzo ograniczony sposób. A jak pokazują wyliczenia francuskiego ekonomisty Thomasa Piketty'ego, korzyści Unii Europejskiej z przynależności państw Europy Środkowej są dużo większe od subwencji przekazywanych przez UE. Nie mamy tu zatem do czynienia z żadnym dobrodziejstwem, lecz ze sprytnie wyrachowanymi inwestycjami państw zachodnich.

Właśnie minęło 30 lat od obalenia rządu Jana Olszewskiego. Czy zmieniło się coś w pana postrzeganiu tamtego przewrotu?

Dziś jeszcze lepiej widać, że rząd Jana Olszewskiego był rządem przełomu, ponieważ zapoczątkował budowę suwerennego państwa. Premier mówił o tym w swoim exposé, wskazując na trwającą kilkadziesiąt lat obcą dominację, a polegającą nie tylko na narzuconym nam obcym systemie i obcych wojskach, lecz i na tym, że wielu ludzi ze świata polityki było uwikłanych we współpracę z komunistyczną Służbą Bezpieczeństwa, a zatem uzależnionych od Moskwy. Premier starał się temu przeciwstawić, a niezależnie od tego kładł duży nacisk na nową politykę gospodarczą.

> Niemcy czy Włochy, blokując stowarzyszenie Kijowa z Unią Europejską, wbijają Ukraińcom nóż w plecy. Na wojnie liczy się nie tylko uzbrojenie, ale też zapał do walki, który łatwo zniszczyć

Ale przecież mieliśmy wcześniej dwa rządy solidarnościowe, zwłaszcza drugi już bez komunistów w składzie.

Tylko że były one zdominowane przez program Leszka Balcerowicza, który doprowadził do wielkiej recesji, upadku setek przedsiębiorstw, milionów bezrobotnych. Ci, którzy mieli jakieś oszczędności, nagle stali się biedakami. Jan Olszewski uważał, że nie po to Solidarność obalała komunizm, by teraz prywatyzacja dokonywała się kosztem ludzi pracy. Odsunął więc Balcerowicza i postawił na zupełnie inny program. Jego rząd przygotował dobry budżet i działał w kierunku ochrony siły nabywczej biednego społeczeństwa, jakim wtedy byliśmy.

Jak wiele Polska straciła na zmowie, która doprowadziła do upadku jego rządu? Gdzie bylibyśmy dziś, gdyby nie „nocna zmiana"?

Z mojego punktu widzenia jako ówczesnego ministra obrony straciliśmy szanse na dużo szybsze członkostwo w NATO. Po rozmowach z sekretarzem obrony USA Dickiem Cheneyem i sekretarzem generalnym NATO Manfredem Wörnerem mieliśmy nie tylko obietnicę członkostwa, ale i oferty bardzo konkretnego przezbrojenia Wojska Polskiego. Była mowa o fregatach, kilkudziesięciu samolotach i innym sprzęcie, który mieliśmy dostać za darmo. Rząd Jana Olszewskiego był na Zachodzie postrzegany jako wiarygodny. To wszystko przepadło albo przynajmniej znacznie się opóźniło i potem dużo nas kosztowało.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Tęcza i purpura

Franciszek ogłosił nazwiska nowych kardynałów. Osoba jednego z nich wywołuje jednak kontrowersje i sprzeciw wielu katolików

GRZEGORZ GÓRNY

Franciszek przyzwyczaił nas do łamania różnych wewnątrzkościelnych reguł. Nie inaczej było ostatnio, gdy ogłosił nazwiska biskupów, których pod koniec sierpnia zamierza kreować na kardynałów. Zgodnie z decyzją Pawła VI z 1973 r., potwierdzoną później przez Jana Pawła II w konstytucji apostolskiej „Universi Dominici Gregis" z 1996 r., liczba kardynałów uprawnionych do wyboru papieża (a więc liczących poniżej 80 lat) nie powinna przekraczać 120. Ponieważ obecnie jest 117 takich purpuratów (a dwóch do sierpnia przekroczy wiek elektoralny), spodziewano się ogłoszenia kilku zaledwie nominacji. Franciszek jednak zaskoczył wszystkich decyzją o wyznaczeniu aż 21 nowych kardynałów, w tym 16 elektorów. Oznacza to, że liczba hierarchów mających prawo do udziału w konklawe wzrosła do 133, a więc 13 ponad określony limit. Dokonało się to charakterystyczną dla tego pontyfikatu metodą faktów dokonanych, bez uprzedniej zmiany kościelnych przepisów.

Złamaniem innej niepisanej reguły było pominięcie po raz kolejny kandydatów będących metropolitami w „stolicach kardynalskich", czyli takich, których ordynariuszom tradycyjnie przysługiwał czerwony biret, jak np. Mediolan, Neapol, Turyn, Paryż, Los Angeles, Berlin, Kraków, Dublin, Edynburg czy Seul. Zamiast nich pojawili się dostojnicy z krajów, które do tej pory nie miały kardynałów, jak np. Paragwaj, Timor Wschodni czy Mongolia. Jest to zgodne z zapowiedzią Franciszka, by promować Kościół na peryferiach, a składowi kolegium kardynalskiego nadawać taki kształt, by odzwierciedlało geografię katolicyzmu w czasach globalizacji.

Watykaniści zwracają uwagę na jedno szczególnie znaczące pominięcie. Otóż po raz ósmy kreacja kardynalska ominęła abp. Swiatosława Szewczuka – głowę ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego – podobnie jak zresztą rzymskokatolickiego metropolitę lwowskiego abp. Mieczysława Mokrzyckiego. Ich poprzednicy – Lubomyr Huzar i Marian Jaworski – zostali obdarzeni przez papieża taką godnością. Za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI Ukraina miała więc dwóch kardynałów (i obrządku wschodniego, i zachodniego), z kolei za Franciszka nie ma ani jednego. W obliczu wojny z Rosją spodziewano się takiego wyróżnienia. Zostałoby to odebrane jako gest solidarności Stolicy Apostolskiej z narodem ukraińskim. Tego jednak zabrakło.

PROGEJOWSKI BISKUP

Znacznie więcej emocji wywołała obecność na liście przyszłych purpuratów zwłaszcza jednego budzącego kontrowersje biskupa. Chodzi o ordynariusza diecezji San Diego w USA Roberta McElroya, który dał się poznać jako zwolennik zmiany nauczania Kościoła w sprawie homoseksualizmu, chwalący się odprawianiem „mszy LGBT+". Uważa on, że określenie stosunków jednopłciowych jako „wewnętrznie nieuporządkowanych" jest przejawem „antygejowskich uprzedzeń", dlatego powinno być wyeliminowane z obowiązującego katechizmu.

Nic dziwnego, że ogłoszenie nominacji McElroya zostało przyjęte z radością przez środowiska LGBT+. Zdaniem szefa tęczowej organizacji New Ways Ministry Francisa DeBernardo celem Franciszka jest zagwarantowanie przyjaznego gejom kursu Kościoła także po zakończeniu jego pontyfikatu. Swoje nadzieje opiera on na polityce personalnej Watykanu. Jeszcze nigdy Stany Zjednoczone nie posiadały tak wielu kardynałów-elektorów, bo aż siedmiu, a pięciu z nich (Blaise Cupich, Joseph Tobin,

Robert McElroy, ordynariusz diecezji San Diego w USA

Kevin Farrell, Wilton Gregory i Robert McElroy) opowiada się za aprobatą przez Kościół aktów homoseksualnych.

Wśród amerykańskiego duchowieństwa McElroy jest uważany za protegowanego Theodore'a McCarricka – aktywnego homoseksualisty i pedofila, pozbawionego godności kardynalskiej z powodu swoich licznych przestępstw seksualnych. Niedawno psychoterapeuta Richard Sipe ujawnił, że w 2016 r. przeprowadził rozmowy z 12 księżmi i seminarzystami, którzy padli ofiarą McCarricka. Opowiedzieli mu, jak byli wykorzystywani przez dewianta. Raport na ten temat Sipe wysłał do McElroya, prosząc go o interwencję, jednak ten nic z tym nie zrobił.

Po ogłoszeniu przez Rzym listy nominatów wierni w USA rozpoczęli więc akcję zbierania podpisów pod prośbą do Franciszka, by zmienił zdanie i nie dopuścił do kolegium kardynalskiego osoby odpowiedzialnej za tuszowanie skandali pedofilskich.

SPÓR O PROABORCYJNYCH POLITYKÓW

Nominacja McElroya wywołuje wiele emocji jeszcze z jednego powodu. W USA trwa wielka debata na temat ochrony życia nienarodzonych, w której czołowi politycy Partii Demokratycznej, notabene będący katolikami, jak np. prezydent Joe Biden czy przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi, zajmują ekstremistyczne stanowisko, domagając się prawa do aborcji nawet w dziewiątym miesiącu ciąży. Od początku objęcia władzy prowadzą też radykalną politykę proaborcyjną. W związku z tym abp Salvatore Cordileone z San Francisco nakazał podległym mu księżom, by nie dopuszczali Nancy Pelosi do komunii, dopóki publicznie nie zmieni swojego zdania (wspomniana polityk jest parafianką w jego archidiecezji). Wsparło go w tym kilku amerykańskich hierarchów.

Zostali oni jednak z tego powodu ostro zaatakowani przez bp. McElroya. Jego zdaniem zakaz komunii dla proaborcyjnych polityków jest wykorzystywaniem religii do celów politycznych. Wydaje się, że w rzeczywistości jest jednak odwrotnie: taki zakaz to pokazanie, że wszystkich katolików obowiązują te same prawa i dla polityków nie ma wyjątków. Zgodnie za to z logiką McElroya wymogi wiary i moralności muszą ustąpić, gdy w grę wchodzi osoba polityka. Jak nazwać to inaczej niż instrumentalizowaniem religii?

Już wcześniej z powodu różnicy zdań na temat aborcji McElroy starł się publicznie z abp. Josém Horaciem Gómezem, przewodniczącym episkopatu USA i metropolitą Los Angeles – największej diecezji w całych Stanach. Przed ogłoszeniem decyzji Franciszka dochodziły słuchy o planowanej nominacji dla dostojnika z Kalifornii. Większość komentatorów spodziewała się, że biret otrzyma abp Gomez, tym bardziej że jego miasto jest uważane za „stolicę kardynalską". Czekali na to zwłaszcza katolicy latynoscy, którzy stanowią dziś większość tamtejszej archidiecezji – Gómez jest jednym z nich i jako pierwszy dostąpiłby takiej godności. Wybór niespodziewanie padł jednak na McElroya – sufragana niewielkiej diecezji San Diego. W tym kontekście decyzja Franciszka została odebrana jako opowiedzenie się po jednej ze stron sporu, który dzieli dziś amerykański episkopat.

> Ordynariusz diecezji San Diego w USA Robert McElroy dał się poznać jako zwolennik zmiany nauczania Kościoła w sprawie homoseksualizmu. Uważa on, że określenie stosunków jednopłciowych jako „wewnętrznie nieuporządkowanych" jest przejawem „antygejowskich uprzedzeń", dlatego powinno być wyeliminowane z obowiązującego katechizmu

PROBLEMY NA PERYFERIACH

W środowiskach tradycjonalistów radości nie wzbudziła z kolei nominacja abp. Arthura Roche'a, który w zeszłym roku zastąpił kard. Roberta Saraha na stanowisku prefekta Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Jest on odpowiedzialny m.in. za wcielanie w życie listu motu proprio Franciszka „Traditionis Custodes" z 2021 r., radykalnie ograniczającego możliwość odprawiania tradycyjnej mszy po łacinie. Poprzedni dokument w tej sprawie, ogłoszony w 2007 r. przez Benedykta XVI, zapewniał swobodę sprawowania nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego, ustanawiając w Kościele swoisty „pokój liturgiczny" [*pax liturgica*]. Teraz konsensus został naruszony, co wywołuje zawód i rozgoryczenie wśród tradycjonalistów.

Innego rodzaju kontrowersje towarzyszą z kolei kolejnemu nominatowi bp. Peterowi Okpaleke. W 2012 r. został on mianowany przez Benedykta XVI ordynariuszem diecezji Ahiara w Nigerii. Nie mógł jednak objąć swojego urzędu, ponieważ zaprotestowała przeciw niemu większość miejscowych kapłanów i wiernych. Powód był jeden: dostojnik nie należał do plemienia, które dominuje na tamtych terenach. Przez sześć lat nie udało się znaleźć rozwiązania, mimo że Franciszek zagroził nawet suspendowaniem księży, którzy zbuntowali się przeciw swojemu zwierzchnikowi. W efekcie w 2018 r. Peter Okpaleke zrezygnował z funkcji biskupa Ahiara. Dwa lata później Stolica Apostolska stworzyła specjalnie dla niego nową diecezję Ekwulobia, w której został ordynariuszem. Wydaje się, że obecna nominacja jest dla niego formą zadośćuczynienia za tamte upokorzenia.

Wskazuje ona jednak na szerszy problem. Otóż peryferie Kościoła, takie jak np. Afryka czy Amazonia, są nie tylko źródłem nadziei dla Kościoła, jak się dziś często powtarza, lecz także nowych wyzwań, a nawet problemów. W Nigerii podziały plemienne okazały się silniejsze niż katolicka jedność. I nawet Franciszek był wobec tego bezradny.

Fot. Lenny Ignelzi/AP Photo/East News

eprasa.pl 9c4e90eb77

Fot. Materiały prasowe

Fałszywy obraz Polski

Po raz kolejny istnieje bardzo realne ryzyko, że Polska, jak to często w swojej historii, walczy o szlachetną sprawę i zostaje zdradzona przez własnych sojuszników

Z prof. Davidem Engelsem, belgijskim historykiem mieszkającym w Polsce, głównym analitykiem Instytutu Zachodniego w Poznaniu, rozmawia Goran Andrijanić

Niedawno zamieścił pan w mediach społecznościowych informację o poważnych manipulacjach w wyborach samorządowych w Berlinie, gdzie sfałszowano tysiące kart wyborczych. A potem zadał pan pytanie: jak by to było, gdyby coś takiego wydarzyło się w Polsce? I jaka jest pana odpowiedź?

David Engels: Cóż, pytanie było oczywiście retoryczne: oczywiste jest, że nie tylko Niemcy, ale też większość krajów zachodnich rażąco stosuje podwójne standardy, jeśli chodzi o ocenę sytuacji państwa prawa w rożnych krajach. Do wypaczania podstawowych procedur demokratycznych dochodzi we Francji Emmanuela Macrona lub

eprasa.pl 9c4e90eb77

w Niemczech Olafa Scholza (wcześniej Angeli Merkel). Jest ono albo dyskretnie przemilczane przez media, umniejszane jako zwykły „wyjątek", albo nawet usprawiedliwiane jako praktyka, która może podobno być zrozumiana tylko w kontekście starej „skonsolidowanej demokracji".

Jednak państwo prawa w tzw. nowych demokracjach, jakimi są Polska i Węgry – a muszę powiedzieć, że nazywać je „nowymi" jest obelgą, jeśli przypomnimy sobie wielowiekową tradycję parlamentaryzmu w obu narodach – jest stale poddawane najściślejszej i ogólnie nieprzyjaznej kontroli, a zachodnie media toczą bardzo brzydką grę, próbując przekonać opinię publiczną, że oba narody zamieniają się w jawne dyktatury. To, co wydarzyło się podczas wyborów w Berlinie, jest hańbą dla całej niemieckiej demokracji, ponieważ nie jest świadectwem zwykłej nieefektywności, ale świadomego fałszerstwa, a głośne milczenie i brak konsekwencji w niemieckich oraz europejskich mediach i opinii publicznej są, szczerze mówiąc, szokujące.

Wygląda na to, że chodziło o przeliczanie głosów na korzyść lewicowo-zielonej większości oraz że te podwójne standardy dla „nowej" i „starej" Europy są jednym z głównych modeli funkcjonowania Unii Europejskiej, które w miarę upływu czasu nie słabną, ale stają się silniejsze. Dlaczego?

Powodów jest kilka. Wschód staje się coraz silniejszy i zaczyna być potencjalnym zagrożeniem nie tylko ze względu na swój wciąż ważny potencjał ekspansji, wyraźnie kontrastujący z nasyconymi społeczeństwami Zachodu, ale także dlatego, że Zachód powoli cierpi z powodu skutków własnych błędów.

Z powodu jakich błędów?

Dekady niekontrolowanej masowej imigracji, braku inwestycji w infrastrukturę i edukację, rosnącej polaryzacji społecznej, dekonstrukcji solidarności obywatelskiej itp. Poza tym napięcie rośnie, gdy elity polityczne Europy Zachodniej zdają sobie sprawę, że wszystkie ich medialne pomówienia, szantażowanie finansowe i naciski polityczne nie wystarczyły, by zastraszyć ludność polską i węgierską w wyborze rządów cieszących się aprobatą Brukseli. Dlatego wysiłki, by to zrobić, będą rosły i rosły.

No dobrze, ale czy sami nie jesteśmy trochę winni? Niedawno pisał pan o braku soft power, która działałaby na rzecz poprawy wizerunku Polski za granicą. Na przykład jak dobrze świat zna to, co zrobiliśmy, by zaopiekować się ukraińskimi uchodźcami?

> W zachodnich mediach nie tylko oczywista troska Polski o ukraińskich uchodźców jest stopniowo bagatelizowana na rzecz Niemiec. W ogóle niezauważana jest ogromna pomoc militarna Polski dla Ukrainy, więc większość ludzi na Zachodzie ma wrażenie, że to głównie Francja i Niemcy aktywnie pomagają Ukrainie

Rzeczywiście w Polsce istnieje problem z PR, częściowo z powodu historii, częściowo z powodu straconych okazji. Ze względu na polskie rozbiory i długie dziesięciolecia spędzone za żelazną kurtyną większość ludzi we Francji, Włoszech, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, a nawet w Niemczech wie o Polsce niewiele więcej niż to, jak brzmi nazwa kraju i ogólnie kojarzy go z jakimś postsowieckim pustkowiem. Ten brak wiedzy ułatwia zachodnim mediom wypełnienie tej pustki własną negatywną narracją, niestety dość często podsycaną przez dzisiejszą polską opozycję. Ale trzeba też przyznać, że to zjawisko jest konsekwencją braku jakichkolwiek poważnych polskich starań, by zmienić tę tendencję przez stworzenie odpowiedniej strategii medialnej skierowanej konkretnie do odbiorców zachodnich. Tak więc ilekroć pojawia się okazja do fałszywego przedstawienia Polski, zachodnie media w porozumieniu z lewicowo-liberalnymi polskimi ekspertami i czasopismami tworzą wręcz skandale, podczas gdy wszelkie pozytywne zmiany są po prostu ignorowane. W ten sposób nie tylko oczywista troska Polski o ukraińskich uchodźców jest stopniowo bagatelizowana na rzecz Niemiec, ale także ogromna pomoc militarna Polski dla Ukrainy po prostu nie występuje w zachodnich mediach, więc większość ludzi na Zachodzie ma wrażenie, że to głównie Francja i Niemcy aktywnie pomagają Ukrainie.

I tu dochodzimy do kolejnej hipokryzji. Hipokryzji Paryża i Berlina, która staje się coraz bardziej widoczna także w związku z wojną na Ukrainie. Choć deklarują pomoc Ukrainie, w rzeczywistości niewiele robią. Jakby tylko czekali na powrót business as usual z Moskwą? Czy to możliwe?

Obawiam się, że to prawda. Oczywiście we Francji i w Niemczech istnieje ogromne wsparcie symboliczne i retoryczne dla Ukrainy, ale faktyczna, namacalna pomoc, wykraczająca poza zwykłe słowa, jest znacznie ograniczona. Istnieje kilka pozornie sprzecznych, ale całkiem realnych przyczyn takiego stanu rzeczy. Niektóre siły chcą doprowadzić do zmiany reżimu w Rosji i dlatego zdecydowały się na jak najdłuższą wojnę, by wykrwawić Moskwę, i to na plecach ludności ukraińskiej. Inne chcą po prostu zakończyć wojnę z jak najmniejszą krzywdą wyrządzoną Rosji, by wznowić stosunki biznesowe. A jeszcze inne już skupiają się na intratnych możliwościach, które może

eprasa.pl 9c4e90eb77

zaoferować odbudowa Ukrainy, więc im więcej zniszczeń, tym więcej inwestycji będzie potrzebnych. I oczywiście nie należy lekceważyć faktu, że dla wielu osób z Zachodu Ukraina jest krajem jeszcze mniej znanym i interesującym niż Polska, podczas gdy wzrost cen energii i żywności we własnym kraju jest bardzo realny. Wszystko to wyjaśnia, dlaczego nawet bez wpływu rosyjskiej propagandy i rosyjskich pieniędzy poparcie dla Ukrainy pozostaje ograniczone.

Jaka jest pana zdaniem pozycja Polski w tym wszystkim? Staje się jasne, że wojna na Ukrainie zmieniła kontekst geopolityczny Europy. Jedną z tych zmian jest umocnienie politycznej pozycji Europy Środkowej. Są poważne analizy, które jasno mówią, że Europa Środkowa staje się ważnym graczem. Zgadza się pan z tą opinią?

Wojna na Ukrainie pokazuje, jak bardzo ograniczone jest zainteresowanie Francji i Niemiec aktywnym udziałem w obronie Europy, gdy ich własne interesy nie są z nimi bezpośrednio związane. Jednocześnie kryzys unaocznia fatalny stan zdolności obronnych tych narodów. Państwa od Bałtyku do Morza Czarnego pokazały jednak zupełnie inny obraz i jest bardzo prawdopodobne, że przynajmniej USA nie zapomną tego zachowania, co prawdopodobnie doprowadzi do wzmocnienia osi Waszyngton–Londyn–Warszawa. Jest realna możliwość, by przestrzeń Trójmorza stała się kontrapunktem dla Unii Europejskiej. Nie powinniśmy jednak być przesadnie naiwni.

Co pan ma na myśli?

Jestem pewny, że prezydent Joe Biden nie zapomniał o ogromnej przepaści ideologicznej między „woke" Stanami Zjednoczonymi a konserwatywną Polską i należy się obawiać, że wsparcie polityczne Waszyngtonu będzie ściśle powiązane z ideologicznym zaangażowaniem Warszawy w bardziej lewicowo-liberalną politykę. A może nawet doprowadzi do zmiany rządu. Kto wie, co Stany Zjednoczone będą gotowe poświęcić, aby osiągnąć korzystną zmianę reżimu w Moskwie lub uspokoić Chiny, gdyby Pekin bardziej aktywnie wspierał Moskwę. Od Warszawy bardziej niż kiedykolwiek wymaga się największej rozwagi przy obliczaniu kolejnego ruchu – i przy zapewnieniu sobie strategicznych korzyści.

Mając to na uwadze, jak widzi pan przyszłość Grupy Wyszehradzkiej? Wojna na Ukrainie pokazała wręcz fundamentalne różnice w strategii między Warszawą a Budapesztem. Czy te różnice można przezwyciężyć?

Oczywiście zdecydowana neutralność Węgier wydaje się bardzo kłócić z proukraińskim entuzjazmem Polski, ale nie powinniśmy zapominać, że Węgry nadal należą do narodów europejskich, które wydają najwięcej pieniędzy (w stosunku do swojego PKB) na pomoc ukraińskim uchodźcom i że jest to dość słaba gospodarka, która jest rzeczywiście w dużej mierze uzależniona od rosyjskiej energii. Już przed wojną Orbán opracował spójną strategię żonglowania między Pekinem, Moskwą, Brukselą i Waszyngtonem, by zapewnić swojemu małemu krajowi zdumiewająco dużo autonomii i wpływów. I robi to przynajmniej otwarcie i uczciwie, zupełnie inaczej niż Niemcy, których pośrednie poparcie dla Rosji jest nie mniejsze niż poparcie Węgier. Jestem więc nie tylko przekonany, że w końcu podziały polsko-węgierskie można przezwyciężyć, ale też że dla Polski Wschód może stać się na dłuższą metę znacznie ważniejszy niż Południe.

Wróćmy do Polski. Jesteśmy w dość trudnej sytuacji. Z jednej strony dyktatura centralizmu Unii, która nie ustaje, z drugiej strony jeszcze większe niebezpieczeństwo, jakim jest imperializm rosyjski. Jak zareagować na tę sytuację?

Rzeczywiście jest to rozpaczliwa sytuacja, bo do tego obrazu można dodać ryzyko, że Stany Zjednoczone będą również odgrywać raczej negatywną rolę, jeśli ideologiczny podział między Warszawą a Waszyngtonem – pomyślmy tylko o sporze wokół słynnego „lex TVN" lub pytanie o LGBT+ – stanie się głębszy. Po raz kolejny istnieje bardzo realne ryzyko, że Polska, jak to często w swojej historii, walczy o szlachetną sprawę i zostaje zdradzona przez własnych sojuszników.

Jak tego uniknąć?

Potrzebna jest wielka opieka dyplomatyczna i strategiczna w najbliższych miesiącach i latach. Ważne również będzie, by jak najbardziej zróżnicować międzynarodowe więzi Polski i nie być zbyt przewidywalnym w jej preferencjach i celach. Przewidywalność, nawet jeśli jest szlachetna, zawsze jest dyplomatyczną słabością.

Dużo pisał pan o filozofii i przyszłości zachodniego konserwatyzmu. Jak to się mogło stać, że całkiem spora część konserwatystów na Zachodzie widzi kogoś takiego jak Władimir Putin jako bliskiego światopoglądowo? Na przykład Tucker Carlson, obecnie najbardziej wpływowy konserwatywny dziennikarz w Stanach Zjednoczonych, kilkakrotnie bronił Putina w swoim telewizyjnym programie w Fox News. Jest to zjawisko budzące poważne zaniepokojenie.

Są trzy powody. Po pierwsze, Zachód tak wyraźnie zmierza w kierunku coraz bardziej radykalnych form kulturowej lewicowości, że nawet pozornie konserwatywny reżim wydaje się idealną alternatywą. I rzeczywiście są pewne aspekty w polityce Putina, które przynajmniej częściowo sytuują się wyraźnie bardziej po prawej niż po lewej stronie spektrum politycznego (patriotyzm, obrona rodziny, religia itp.). Po drugie, propagandzie rosyjskiej udało się stworzyć bardzo wyidealizowany obraz Rosji, silnie wzmacniający te tendencje ze szkodą dla prawdy. I wreszcie, po trzecie, musimy wziąć pod uwagę, że rzeczywiście niektórzy tzw. konserwatyści projektują swoją własną bezsilność na bezwzględne wywyższanie rosyjskiego imperializmu i brutalne użycie siły przez Putina, demaskując w ten sposób własną, wysoce wątpliwą, interpretację konserwatyzmu i patriotyzmu.

Reklama | 41/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

DYWERSYFIKUJEMY **DOSTAWY GAZU**

Dzięki dużemu doświadczeniu w tej gałęzi przemysłu oraz dywersyfikacji źródeł pozyskiwania surowca zapewniamy **stabilne** oraz **bezpieczne dostawy** gazu ziemnego dla naszych klientów.

Wydobywamy gaz u wybrzeży Norwegii, stale **zwiększając liczbę koncesji**. Importujemy LNG z Kataru i USA. Mamy kontrakty na Litwie oraz koncesje w Pakistanie, Emiratach Arabskich i na Ukrainie.

Już w 2022 roku planujemy **zwiększenie wydobycia gazu** z Norweskiego Szelfu Kontynentalnego do ok. 3 mld m^3 rocznie.

PGNiG

eprasa.pl 9c4e90eb77

Człowiek pośród ludzi

Środowiska intelektualne prof. Anny Pawełczyńskiej (1922–2014). W 100-lecie urodzin

TERESA BOCHWIC

„Uniwersytety" tak niezwykłej osoby, jaką była prof. Anna Pawełczyńska, socjolog kultury, autorka wielu książek naukowych, historycznych i esejów politycznych, to losowe sytuacje graniczne i niezwykli ludzie na jej drodze życia. Kogo stać na to, by swojej autobiografii nadać tytuł „Dary losu"?

Wybitnie zdolna naukowo, namiętnie zainteresowana kulturą polską, obserwatorka ludzi i ich zachowań w sytuacjach skrajnej opresji zawsze gotowa wyciągnąć pomocną dłoń potrzebującym, żyła wśród wyjątkowych ludzi, z którymi pracowała naukowo i od których uczyła się trudnej sztuki życia.

Patriotyzmem nasiąkła w rodzinie wygnanej niegdyś z Podola, „krainy gniazd"; jej lata chwały i upadek opisała w ostatnich dekadach życia w książce „Koniec kresowego świata". Odwagę i niezłomność ćwiczyła w konspiracji AK podczas II wojny światowej, wśród ludzi o wielkiej sile moralnej – byli to niby-wuj ppłk Edmund Krzywda-Rzewuski z Obroży i sąsiad Stanisław Boczyński.

Miała do czynienia z potworami i potwornościami XX w. W 1942 r. warszawski Pawiak, brutalność przesłuchań, wsparcie współwięźniarek, m.in. Zofii Praussowej (babki Zofii Romaszewskiej). Przeżyła trzy lata w obozach

eprasa.pl 9c4e90eb77

koncentracyjnych w Auschwitz i Flossenbürgu (1942–1945), poddawana eksperymentom pseudomedycznym; pracowała w 1945 r. w fabryce amunicji w Dreźnie podczas bombardowań przez aliantów.

W czerwcu 1945 r. powróciła do Polski już opanowanej przez ZSRS. Znalazła się na uniwersytecie wśród najlepiej wykształconych i otwartych ludzi, prawników, pedagogów, polonistów, socjologów i artystów. Ludzie ci, wyposażeni we wspaniałe umysły, przeżyli wojnę dotknięci przez straszliwe często doświadczenia. Wszyscy byli głęboko zaangażowani w życie społeczne i opozycję, w PRL wspierali się i dawali innym nadzieję.

* * *

Socjologię i prawo na UW studiowała u prof. Jana Bystronia (1892–1964), na sławne seminaria z socjologii uczęszczała do prof. Stanisława Ossowskiego (1897–1963). Byli to zarazem jej mentorzy i przyjaciele. Ossowski postawił przed uczestnikami seminarium wysokie wymagania naukowe i posłannictwo moralne prawdziwego naukowca. „Pracownik naukowy – to taki pracownik naukowy, do którego zawodowych obowiązków należy brak posłuszeństwa w myśleniu [...], ani synodowi, ani komitetowi, ani mistrzowi, ani cesarzowi, ani Panu Bogu. Jeżeli jest posłuszny, jeżeli poglądy swe zmienia na rozkaz, albo myśli jego nie są w zgodzie z jego słowami, sprzeniewierza się swoim obowiązkom".

Uczestnicy sławnego seminarium Ossowskiego i przyjaciele Pawełczyńskiej z innych kręgów to ludzie z poważnym bagażem doświadczeń z czasu wojny, mieli za sobą lata obozów koncentracyjnych, konspiracji, więzień stalinowskich, ukrywania się przed nową władzą. Na uniwersytecie nadrabiali stracone lata. Z biegiem czasu stawali się wybitni.

Najważniejszym chyba jej przyjacielem był Stefan Nowak (1925–1989), pochodzący z rodziny chłopskiej, najwybitniejszy wtedy po Ossowskim socjolog i metodolog polski. Również Witold Jedlicki (1929–1995), oryginalny umysł, socjolog z komunistycznego domu, „liberał i kosmopolita konsekwentny, nie czuł się ani Polakiem, ani Żydem, ani Europejczykiem" – jak pisała. W 1962 r. wyemigrował z Polski i – wszędzie źle widziany – osiadł w Izraelu. Opublikował w „Kulturze" paryskiej esej „Chamy i Żydy", czyli natolińczycy i puławianie; opisany przez niego schemat walczących o władzę w PRL „chamów" i „Żydów" Pawełczyńska stosowała do analizy przełomów w PRL aż po tzw. aferę Lwa Rywina.

Następny w gronie przyjaciół to socjolog Wacław Makarczyk (1928–1986), żołnierz Szarych Szeregów, powstaniec, współzałożyciel nielegalnej organizacji krakowskiej Personaliści, do której należeli kolejni przyjaciele Pawełczyńskiej: Andrzej Rażniewski, specjalista prognostyki społecznej, i Zygmunt Skórzyński, socjolog i działacz społeczny. Wśród nich także Czesław Czapów (1925–1980), żołnierz konspiracji AK, socjolog szkoły resocjalizacji i twórca polskiej teorii psychodramy, współautor ze Stanisławem Manturzewskim pracy o wykolejonej młodzieży lat 50. pt. „Niebezpieczne ulice". Czapów, prześladowany przez UB, upozorował w 1953 r. samobójstwo, co pozwoliło mu dotrwać do odwilży 1956 r.

Wśród przyjaciół Pawełczyńskiej był również – zbyt krótko – Andrzej Malewski (1929–1963), najmłodszy żołnierz batalionu Parasol AK, genialny socjolog i metodolog, oraz Adam Podgórecki (1925–1998), prawnik i socjolog, w wieku kilkunastu lat przyjęty do ZWZ i AK, partyzant. Jak także Jan Strzelecki (1919–1988), powstaniec warszawski, socjalista, taternik, człowiek o niesłychanym uroku i dowcipie. Strzelecki zginął w 1988 r., u progu transformacji Polski, zamordowany przez „nieznanych sprawców". Do bliskiego jej grona osób należeli filozof Paweł Beylin, Klemens Szaniawski (1925–1990), wybitny filozof, logik i metodolog, żołnierz AK, powstaniec warszawski, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, z żoną Marią, a także prawnik Jan Olszewski (1930–2018), obrońca w procesach politycznych lat 60., 70. i 80., późniejszy premier RP (1992).

Były to nazwiska złotymi zgłoskami zapisujące historię humanistyki polskiej XX w. Wielu z wymienionych doszło do tytułu profesora w swojej dziedzinie, a często do sławy międzynarodowej.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c4e90eb77

Pawełczyńska obroniła w 1950 r. pracę magisterską z mikrosocjologii pt. „Więź społeczna w osiedlu Młynów", a w 1960 r. – po latach doświadczeń w pracy jako kurator nieletnich – doktorat pt. „Grupy społeczne nieletnich przestępców w Polsce". Zgodnie z oczekiwaniami Ossowskiego wraz z kolegami wyruszała w Polskę na badania terenowe wśród Warmiaków, Mazurów czy Ślązaków.

Środowisko Pawełczyńskiej łączyło przede wszystkim koleżeństwo, zabawowy styl życia, charakterystyczny dla młodzieży nieco „przerośniętej", której wojna zabrała młode lata. Zawiązywały się i rozpadały przyjaźnie, były plotki, romanse i miłostki, zawierano małżeństwa. Życie obfitowało w zabawy, tańce i szaleńcze eskapady alkoholowe. Bywały i grzeczne spotkania. „Do domu Ossowskich byliśmy kilka razy do roku zapraszani na podwieczorki lub kolacje o charakterze towarzyskim" – wspominała socjolog Magdalena Jasińska.

Pierwsze seminarium Ossowskiego rozwiązano w roku akademickim 1951/1952, u szczytu stalinizmu, prof. Stanisława Ossowskiego, Marię Ossowską i Władysława Tatarkiewicza odsunięto od nauczania studentów. „Nurt szukania prawdy – pisała Pawełczyńska – został ostro zakłócony przez »bojówkę« zetempowską [...]. Należeli do niej Henryk Holland, Roman Zimand, Leszek Kołakowski, Stefan Morawski, a nieco później Zygmunt Bauman i Jerzy Wiatr. Skutki tego trwają w nauce polskiej do dziś".

„Drugim domem, który nas niejako łączył – pisze Pawełczyńska w autobiografii – był dom Joanny i Andrzeja Munków. Malutka, 27-metrowa kawalerka na Żoliborzu w kolonii WSM była dla nas, niemających jeszcze mieszkań, wielkim salonem [...], czuliśmy się tam jak w domu. Klucz leżał pod słomianką. [...] Andrzej Munk był wtedy skromnym dodatkiem do swojej wspaniałej żony". Było to środowisko autora (1921–1961) niezapomnianych filmów: „Eroica", „Zezowate szczęście", „Pasażerka" i licznych filmów dokumentalnych. To nadal okres intensywnej pracy naukowej przeplatanej szaleństwem i zabawą. „Tańczyliśmy wszędzie – opisuje Pawełczyńska – w domu Joanny i Andrzeja i na ich podwórku, na Nowym Świecie, Krakowskim i Koziej (...). W czasie ulewy maszerowaliśmy w slipach, majtkach i stanikach, my, tłum rozbierańców prowadzonych w majową noc przez Andrzeja, a roześmiani sąsiedzi bili nam z okien brawa".

Z czasem zamieszkała u Ady z Lepów Nowickiej, córki szewca komunisty, i zrozumiała postawę polskich komunistów, którzy walczyli o lepszy byt dla biedniejszych warstw społecznych.

> Uczestnicy sławnego seminarium Ossowskiego i przyjaciele Pawełczyńskiej z innych kręgów to ludzie z poważnym bagażem doświadczeń z czasu wojny, więzień stalinowskich, ukrywania się przed nową władzą. Na uniwersytecie nadrabiali stracone lata. Z biegiem czasu stawali się wybitni

* * *

W 1956 r. nastąpił przełomowy październik, zelżała cenzura, wydawano zakazane książki, wybuchły nowe nurty naukowe. Pawełczyńska weszła do środowiska intelektualistów i pisarzy skupionych w Klubie Krzywego Koła w jego niepodległym wobec inspiratorów z UB wydaniu. Działali tu m.in. Paweł Jasienica, Olszewski, prawnik Jerzy Jasiński, Podgórecki, Rażniewski, szczególnie aktywny polonista Jan Józef Lipski, Aleksander Małachowski, Manturzewski, oryginał i potem wybitny reżyser dokumentalista. W latach 50. Pawełczyńska podjęła studia z prawa u prof. Stanisława Batawii, napisała wraz z nim i Antonim Kępińskim artykuł „Przyczyny okrucieństwa i przestępczości", o postawach ludzi w sytuacjach ekstremalnych. W 1973 r. te zainteresowania zaowocowały jej pomnikową książką o Auschwitz pt. „Wartości a przemoc", napisaną z pozycji obserwacji uczestniczącej.

Została pierwszym dyrektorem Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych Polskiego Radia i Telewizji; wierząc w pragnienie zmian u ludzi z PZPR, zgodziła się wstąpić do partii. Pracowała tu z gronem wypróbowanych wcześniej przyjaciół socjologów. Wkrótce w Paryżu poznała warsztat naukowy i metodologię badań opinii publicznej. Zaowocowało to monografią „Studenci Warszawy. Studium długofalowych przemian postaw i wartości" pod kierunkiem Nowaka.

Po wznowieniu seminarium prof. Ossowskiego znalazł się tam narybek socjologii polskiej, nowi serdeczni przyjaciele Pawełczyńskiej: Krzysztof Kiciński, etyk; Andrzej Koźmiński, kuzyn Pawełczyńskiej, wybitny ekonomista i socjolog; Nina Frentzel, polonistka i socjolog, w wieku 12 lat łączniczka w powstaniu; Julia Sowa, zajmująca się pojęciem normalności w badaniach socjologicznych. Ossowski szukał teraz ludzi młodych, okaleczonych nie przez wojnę, ale przez stalinizm, radzących sobie z wieloletnim wykluczeniem, z peerelowską codziennością i własną psychiką. To okres nowych, intensywnych przyjaźni Pawełczyńskiej. Marcin Czerwiński (1924–2001), socjolog kultury i miasta, przyjaciel niezłomny, powstaniec warszawski. Bogdan Ofierski i jego siostra Maria Ofierska (ur. ok. 1931), najwyższej próby redaktorka wydawnictw naukowych, m.in. dziedzictwa prof. Marii Ossowskiej. Naukowcy Magdalena i Jerzy Jasińscy; geniusze statystyki Andrzej Szarkowski i Marek Styczeń. Z OBOP Pawełczyńska wyniosła przyjaźń m.in. z Janiną Kobel-Sobczak.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Po śmierci Ossowskiego jesienią 1963 r. seminarium socjologiczne kontynuował Stefan Nowak. Dla Pawełczyńskiej otworzyła się szansa kontaktu z młodzieżą akademicką. Wkrótce wystąpiła z PZPR i w 1965 r. podjęła pracę w PAN pod kierunkiem Stefana Żółkiewskiego, a potem Andrzeja Sicińskiego. Żółkiewskiego, choć był stalinistą, bardzo lubiła. Wypromowała czworo doktorantów: Jana Kelusa, Kazimierza Koraba, Jerzego Wertenstein-Żuławskiego i Teresę Wojtowicz.

Od tej pory matkowała młodym asystentom Zakładu Metodologii Nauk na UW, dziś znanym naukowcom, jak Mirosława Grabowska, Krzysztof Koseła, Krzysztof Nowak, Mirosława Marody, Antoni Sułek, Tadeusz Szawiel, Ireneusz Krzemiński, Hanna Giza i kilkanaściorgu innych. Socjologowie stanowili nadal ścisłe, zaprzyjaźnione środowisko: Aldona Jawłowska, socjolog kontrkultury, Joanna i Jacek Kurczewscy, Edmund Mokrzycki, Andrzej Mościskier, Krzysztof Zagórski, Michał Strzeszewski, Andrzej Tyszka, Piotr Gliński, obecny wicepremier i minister kultury, wkrótce doszedł Włodzimierz Wesołowski, a gdy wystąpił z partii – Jan Malanowski.

Podpisała w 1975 r. kilka zbiorowych listów w proteście przeciwko zmianom w konstytucji PRL. Pod koniec lat 70. Pawełczyńska z Nowakiem i Zygmuntem Żekońskim, ekonomistą, sporządzali obszerne ekspertyzy gospodarczo-społeczne dla papieża Jana Pawła II. Co parę miesięcy przesyłali je przez zaufane osoby za granicę. We wrześniu 1980 r. przeszła na emeryturę. A właśnie zaczęła się Solidarność – z prof. Anną Suchenin-Grabowską i Zofią Skórzyńską zostały współinicjatorkami jednego z nurtów warszawskiego ruchu oświaty.

* * *

W 1989 r. zmieniły się czasy, zmieniło się nieco grono otaczających Pawełczyńską osób. W latach 90. i 2000. do stałych gości u prof. Pawełczyńskiej zaliczali się socjolog Teresa Konwicka-Koprowska i jej mąż Marek; prof. dermatologii Edward Rudzki; psycholog Zofia Skórzyńska; prof. Anna Suchenin-Grabowska, prof. Zofia Zielińska i jej mąż Antoni, specjalista problematyki służb specjalnych; Krystyna Zonnowa, wdowa po sławnym astronomie; dr Jerzy Targalski. Przychodziły przybrane „córki" – Małgorzata Baranowska, Teresa Bochwic, Małgorzata Giżejewska, Brygida Lament, Małgorzata Twornicka, Marta Żekońska. I dwóch „synów": Tomasz Boczyński, syn Stanisława, i Ryszard Surmacz z Lublina. Sławne stały się wkrótce jej brydże. Partnerami byli prof. Jan Węgleński, Albin Kania, kiedyś też dyrektor OBOP, i wspaniała pani Kontkiewiczowa. Pawełczyńska nadawała ton intelektualnym rozmowom o najnowszych dziełach literatury politycznej i społecznej. Napisała wtedy swoje fundamentalne dzieła: „Głowy hydry", w których opisała relatywizm moralny jako źródło zła, „Ścieżki nadziei", genialny „Czas człowieka", kilkakrotnie przymierzała się do autobiografii. Otrzymała wyróżnienie w ramach Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za „Koniec kresowego świata".

W latach 1992–1996 na prośbę Olszewskiego i Jasińskiego została wiceprzewodniczącą rady nadzorczej Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie; szef fundacji Andrzej Szczypiorski po latach okazał się współpracownikiem SB; prof. Pawełczyńska pozostawała w nim w ciągłym sporze. W tym czasie znalazła się też w radzie programowej Radia dla Ciebie.

Tematyka moralności, prostolinijnego postępowania, życia w zgodzie z tradycją polską zaczęła dominować w jej zainteresowaniach. Niewierząca, doceniała rolę religii jako drogowskazu życia moralnego i źródło nadziei.

Obserwowała środowisko socjologów, ale uważała, że zdradziło ono ideały prawdy naukowej, nie znosiła też psychologów. Uważała obie nauki za narzędzia zniewolenia ludzi i społeczeństw za zgodą naukowców. Zawsze była ciekawa opinii tzw. zwykłych ludzi na istotne dla Polaków tematy bieżące: gosposi i sprzątaczek, sprzedawczyń w warzywniakach, fryzjerów, aptekarzy, studentów, uczniów, mieszkańców Węgrowa i Pruszkowa, gospodarzy w Zambskach Kościelnych nad Narwią.

W 2007 r. Pawełczyńska w liście otwartym wezwała środowisko naukowe do poparcia lustracji na wyższych uczelniach. Podpisali go z nią byli więźniowie polityczni w PRL: prof. Barbara Otwinowska, prof. Jacek Przygodzki i prof. Elżbieta Rekłajtis.

Do ostatnich chwil życia prof. Pawełczyńska otaczała się atmosferą dyskusji intelektualnej, zawsze ciekawa rozwoju psychologii, socjologii, sztuki, reklamy i nowego dla niej świata cyfrowego, o którego możliwościach kazała sobie opowiadać. Sama z pewną dumą przyznawała się, że nigdy nie nauczyła się nawet pisać na maszynie.

Pół roku przed śmiercią prof. Pawełczyńska udzieliła sensacyjnego wywiadu Jerzemu Szczęsnemu z dwumiesięcznika „Arcana". Podważyła w nim prawdomówność socjologa Zygmunta Baumana i skrytykowała jego postawę w okresie PRL.

Artykuł stanowi skrót tekstu, który ukaże się w najbliższym numerze dwumiesięcznika „Arcana" (Kraków).

„Drugim domem, który nas niejako łączył – pisze Pawełczyńska w autobiografii – był dom Joanny i Andrzeja Munków. Malutka, 27-metrowa kawalerka na Żoliborzu w kolonii WSM była dla nas, niemających jeszcze mieszkań, wielkim salonem [...], czuliśmy się tam jak w domu. Klucz leżał pod słomianką"

eprasa.pl 9c4e90eb77

Między wolnością a despotyzmem

„Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X–XXI w." to kolejna książka prof. Andrzeja Nowaka na temat Rosji, Polski, wspólnych losów i konfliktów. Bogato ilustrowana i przystępna gawęda o historii, poparta wielką wiedzą i erudycją. Andrzej Nowak z pasją i detalicznie odkrywa, segreguje linie sporów, różnice z polsko-rosyjskiej historii. Autor nie stroni też od historycznych polemik. Swoją książkę dedykuje pamięci odważnych Rosjan: Natalii Gorbaniewskiej, Władimira Bukowskiego i Gieorgija Władimowa

MACIEJ WALASZCZYK

Każdy zna słynny obraz Jana Matejki „Stańczyk" przedstawiający królewskiego błazna króla Zygmunta Starego. Jest 1514 r. Mądry błazen siedzi głęboko zamyślony. W tle królewscy dworzanie tańczą, świętują, a na stole leżą listy informujące o zdobyciu Smoleńska przez armię Wasyla III. Stańczyk rozumie, że w oddalonej o ponad tysiąc kilometrów od krakowskiego dworu bramie smoleńskiej dokonuje się fatalny przełom. Od dwóch lat trwa wojna z Moskwą, która po raz pierwszy wraz z zakonnymi Prusami i w sojuszu z Habsburgami chce dokonać rozbioru państwa polsko-litewskiego. Wtedy też łaciński cesarz Maksymilian Habsburg wiarołomnie

Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie

eprasa.pl 9c4e90eb77

uznaje tytuł cara, równego dawnym cesarzom bizantyjskim. Symbol Stańczyka jest do dziś wyrzutem wobec elit politycznych czasów zygmuntowskich, że nie rozumiała tego niebezpieczeństwa. Choć prof. Andrzej Nowak uważa, że to chybiony zarzut, to z drugiej strony pisze, że po utracie Smoleńska przyszły kolejne klęski i ustępstwa na rzecz napierającej Moskwy, które krok po kroku doprowadzą do ostatecznego rozbioru Rzeczypospolitej. W czasie wojny lat 1512–1522 projekt rosyjsko-niemieckiego rozbioru się nie udał, ale po raz pierwszy stroną inicjującą była strona rosyjska. „Sama sytuacja ujawniła geopolityczne zagrożenie, jakie tworzy ofensywna Moskwa w połączeniu z zachodnimi sąsiadami" – zwraca uwagę historyk.

* * *

„Polska i Rosja" to aktualne rozważania o polskiej tożsamości, kształtowanej między łacińskim Zachodem przez bezpośrednią (czasem niebezpieczną) bliskość z politycznym oddziaływaniem świata niemieckiego a słowiańskim Wschodem, w który jesteśmy włączeni pierwotnie przez kulturę języka, geografię, klimat. A nawet genotyp, bo – jak pisze autor – zamieszkujący w X w. dorzecze Oki i Moskwy Wiatycze już w kronice Nestora byli nazywani Lachami. Co ciekawe, nawet współczesne badania genetyczne ich pochówków wskazują na ich środkowoeuropejskie cechy. Ale to daleka historia sprzed tysiąclecia.

W Wołdze, Dnieprze i Wiśle upłynęło wiele wody w czasie, gdy oba światy kształtowały swoją kulturową i polityczną odrębność. Polska staje się częścią świata łacińskiego i rzymskiego obrządku chrześcijańskiego. Ruś częścią chrześcijańskiego Wschodu. Polska droga przez Czechy, Niemcy prowadzi nad Tybr. Ruś wybiera inaczej. Choć mogła być także islamska, mojżeszowa, a także łacińska. „Jakże wtedy inaczej wyglądałaby relacja sąsiedzka miedzy Słowianami zachodnimi i wschodnimi: jedno wyznanie, jedna kultura, bliskość językowa" – zwraca uwagę prof. Andrzej Nowak. W państwie Piastów językiem kultury wysokiej staje się łacina, która łączy nas z Europą. Ruś wybiera jednak obrządek wschodni, alfabet stworzony przez braci z Salonik, Cyryla i Metodego. W Ławrze Kijowsko-Peczerskiej będzie utrwalana silnie eksponowana obcość wobec tradycji łacińskiej. To święty klasztor ruskiego, potem rosyjskiego, a dziś putinowskiego prawosławia. Granica polsko-ruska staje się więc granicą państw i kultur duchowych i politycznych, granicą dwóch cywilizacji, katolickiej i prawosławnej, łacińskiej, potem renesansowej, oświeceniowej, i bizantyjskiej, w której w końcu znajduje grunt komunistyczna utopia. „Ruś jest jak inny świat", „Chrystusa tylko imieniem wyznaje, czynami zaś całkowicie się wyrzeka", „przesiąknięta zgoła heretycką przewrotnością" – pisał krakowski biskup Mateusz w swego rodzaju manifeście duchowego okcydentalizmu kierowanego do św. Bernarda z Clairvaux.

* * *

Nasza polityczna kultura rozwija się w kierunku przywilejów i wolności, jest republikańska czasem oligarchiczna, ale nie autokratyczna Na ziemiach ruskiego „ułusu" (terytorialna spuścizna spadkobierców Czyngis-chana) utrwaliła się z kolei postawa uległości wobec władzy absolutnej, chana, cara. Trwa wyścig niewolników po jarłyk – mongolski przywilej władzy i eksploatacji poddanych. Taki jest kniaź Iwan Kalita, który buduje swoją karierę księcia moskiewskiego w najściślejszej kolaboracji z mongolskimi nadzorcami Rusi. Kalita przeniósł siedzibę prawosławnej metropolii całej Rusi z Włodzimierza nad Klaźmą do Moskwy, czyniąc ją duchową stolicą prawosławia. W 2001 r. moskiewska Cerkiew uznała Kalitę za świętego. Świętego założyciela moskiewskiej potęgi. Jego dzieło będzie potem kontynuować Iwan III, przejmując ideowe dziedzictwo Bizancjum i kładąc podwaliny pod Trzeci Rzym. Choć po wielu wiekach dochodzi też do sytuacji paradoksalnych, gdy nasza wolność, a w zasadzie zepsucie i anarchia, brak politycznych cnót osłabiają państwo, a próby jego naprawy są torpedowane przez „republikanów", obrońców złotej wolności przed absolutyzmem. Wielokrotnie zwracają się oni o opiekę do rosyjskiego despoty. Tak jest u zarania XVIII w. i w kolejnych dziesięcioleciach. Gdy dochodzi do przejawów bezpośredniego podporządkowania Rzeczypospolitej polityce rosyjskiej jako „sojuszniczce" i „patronce". Wyrwać się z takiej zależności jest już potem trudno. Niezależnie od wcielenia cesarskiego, sowieckiego czy republikańskiego zasadą rosyjskiej polityki jest nierezygnowanie z żadnego atutu, nieoddawanie niczego za darmo, a jeśli można – zatrzymywanie wszystkiego. „Żadne kwestie moralne czy humanitarne nie mogą stać na przeszkodzie" – zwraca uwagę historyk.

Gdy nad Dnieprem powstawała Ruś Kijowska, terytorium dzisiejszej Polski nie jest zorganizowane w silne centrum państwowe. Więc kronika Jana Długosza snuje opowieść o Lechitach, którzy nie uznając władzy zwierzchniej, wybierają wolność. Tej jednak nadużywają, a oligarchiczne klany prowadzą wojnę domową. Nie zauważają, że natychmiast na wschodzie wyrasta im groźny sąsiad. To historyczne i aktualne ostrzeżenie. Także dzisiaj, gdy ważą się losy polityczne Europy Środkowo-Wschodniej. Również Wincenty Kadłubek akcentuje w swojej narracji antyimperialną tradycję polskiej państwowości, w której istotą jest obrona wolności. Rodzimy swoją państwowość z własnej dynastii, a nie w wyniku normańskiego, zewnętrznego najazdu, gdy niesłowiańska w istocie grupa plemienna kładzie fundament pod polityczną wspólnotę wschodnich Słowian. Nasze państwo nie jest nazywane wzorem koczowników euroazjatyckiego stepu kaganatem. Ruś od początku nieustanie konfrontuje się z Orientem – Awarami, Chazarami, Pieczyngami, a w końcu Mongołami. Zza Wołgi od Wielkiego Stepu nadchodziły fale niebezpiecznych agresorów, których okupacja i dominacja przez ponad 250 lat pozostawiły tam niezatarte piętno. Choć takie terminy, jak kajdany, dyby czy opały (niełaska), to i w naszym języku trwały ślad po mongolskich najazdach. W rosyjskiej tradycji dziedzictwo mongolskie zawiera też naukę imperialnego kontrolowania ogromnych eurazjatyckich przestrzeni. Jak słusznie wskazuje autor, właśnie reinterpretacja mongolskiego najazdu

eprasa.pl 9c4e90eb77

jako dobroczynnego dla przyszłej Rosji, bo zapewniającego tarczę azjatycką przed złym Zachodem, zatriumfowała pod rządami Putina. A euroazjatyckie teorie są powszechnie utrwalane w rosyjskiej narracji przez choćby historyka Lwa Gumilowa (syna poetki Anny Achmatowej) czy znanego ideologa współczesnego euroazjatyzmu Aleksandra Dugina.

* * *

Prof. Andrzej Nowak przyznaje, że mimo cywilizacyjnych różnic przy wzajemnym przenikaniu się kultur u zarania obu państwowości nic nie przesądzało o egzystencjalnych konfliktach między Polską a Rosją. Dopiero unia polsko-litewska – a konkretnie litewska rywalizacja o wschodnią Europę, ambicje rodu Giedyminów – wprowadziła wspólne państwo na kurs konfrontacji z Rusią. Bo ta rywalizowała z Litwą. Książę Witold prawosławno-mongolskiej Rusi nie mógł jednak zdominować. Polityka nie znosi próżni i dla Moskwy fakt ten stał się kamieniem milowym do roli wschodnioeuropejskiego imperium. Podporządkowując sobie kupieckie republiki Tweru, Pskowa i Nowogrodu Wielkiego, narzuca im zwierzchność prawosławia, kulturę polityczną despotyzmu, niszcząc kupiecki patrycjat i odbierając wolność. Co ciekawe, do dziś dnia w rosyjskich analizach historycznych i politologicznych jest wybita zasada, że republika kupiecka Nowogrodu Wielkiego nie mogła być nigdy ustrojową alternatywą w stosunku do autorytarnego sytemu Moskwy. Pisał o tym na początku lat 90. XX w. sam Aleksander Sołżenicyn, wyjaśniając, że była ona „zgniłą oligarchią, nieoferującą swoim poddanym ani odrobiny większej wolności od systemu moskiewskiego".

W tym samym duchu była i jest interpretowana wielka smuta, sprowadzona wyłącznie do „polskiej interwencji". W tej interpretacji Zachód, reprezentowany wtedy przez łacińską Polskę, próbował odebrać Rosji jej „prawosławną" duszę i cywilizacyjną odrębność. Prof. Nowak zwraca uwagę, że to już Borys Jelcyn (często jest wskazywany Putin) wprowadził w miejsce rocznicy rewolucji bolszewickiej nowe święto narodowe: rocznicę przepędzenia Polaków z Kremla.

> Prof. Nowak przyznaje, że mimo cywilizacyjnych różnic przy wzajemnym przenikaniu się kultur u zarania obu państwowości nic nie przesądzało o egzystencjalnych konfliktach między Polską a Rosją. Dopiero unia polsko-litewska wprowadziła wspólne państwo na kurs konfrontacji z Rusią

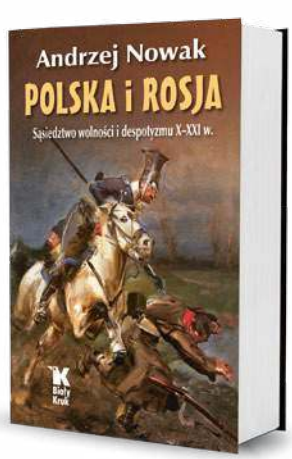

W dzisiejszej Rosji obowiązkowa nauka dziejów ma opierać się na historii zagrożeń, które przychodzą w postaci kolejnych najazdów z Zachodu.

Od XV w. prawosławna metropolia moskiewska zostaje podniesiona do rangi patriarchatu. A to po upadku Konstantynopola prowadzi ją do samookreślenia siebie jako Moskwy – Trzeciego Rzymu i drugiej Jerozolimy. W pełni idea ta zostanie wyrażona przez pskowskiego mnicha Filoteusza w liście do Wasyla III wzywającym go do misji wyzwalania zachodniego świata od „łacińskiego" jarzma. A więc uświęconego w ten sposób programu podboju ziem polsko-litewskich w pierwszej kolejności. Otwiera się rozdział wielowiekowej rywalizacji o dominację nad naszym regionem i o wolność od moskiewskiego despotyzmu, których finałem są rozbiory, powstania, wojny.

Ciekawym wątkiem, przez wielu do dziś słusznie roztrząsanym, jest porównywanie sowieckiego komunizmu z carskim samodzierżawiem. Ideologia komunistyczna i ruchy rewolucyjne kwitły przecież na zachodzie Europy, tam zrodził się marksizm. To przecież przeznaczeniem zindustrializowanej i kapitalistycznej Europy była rewolucja i zmiana stosunków społecznych, a nie chłopskiej, prowincjonalnej i feudalnej Rosji. Po zwycięskiej wojnie 1920 r., odparciu bolszewików i ich rewolucji spod Warszawy rosyjski teoretyk euroazjatyzmu Mikołaj Trubecki wyraził opinię, że paradoksalnie zatrzymanie pochodu rewolucji uratowało istnienie Rosji. W jego ocenie, gdyby Leninowi udało się zrealizować plan zrewolucjonizowania Niemiec, to one zbudowałyby, zgodny z zachodnimi źródłami, ideał państwa komunistycznego, który w Rosji wskutek jej odmienności kulturowej był nie do zrealizowania. To Niemcy stałyby się – jak pisał – „stolicą wszecheuropejskiej, a może nawet wszechświatowej republiki sowieckiej". Uważał, że dominującą pozycję sprawowaliby zachodni Europejczycy, a niewolnikami staliby się wszyscy pozostali z Rosjanami włącznie. Prof. Andrzej Nowak przyznaje słusznie, że Rosja i Rosjanie cierpieli pod panowaniem bolszewickim tak jak inne narody niewyobrażalne męki. Ale jednak pod koniec lat 30. za sprawą Stalina nastąpiło zdecydowane utożsamienie państwa sowieckiego z antyzachodnią tradycją rosyjską. Dziś także – jak pisze prof. Nowak – miliony Rosjan, które były ofiarami tamtego systemu, są poddawane wzmożonej indoktrynacji, wtłacza im się poczucie dumy z tego imperium, którego byli niewolnikami.

eprasa.pl 9c4e90eb77

„Io" – dźwięk, który wydaje osioł i zarazem imię głównego bohatera – to także tytuł filmu, który przyniósł Jerzemu Skolimowskiemu kolejne trofeum na festiwalu w Cannes

Rysopis artysty

Fot. Andrea Raffin/Shutterstock

eprasa.pl 9c4e90eb77

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

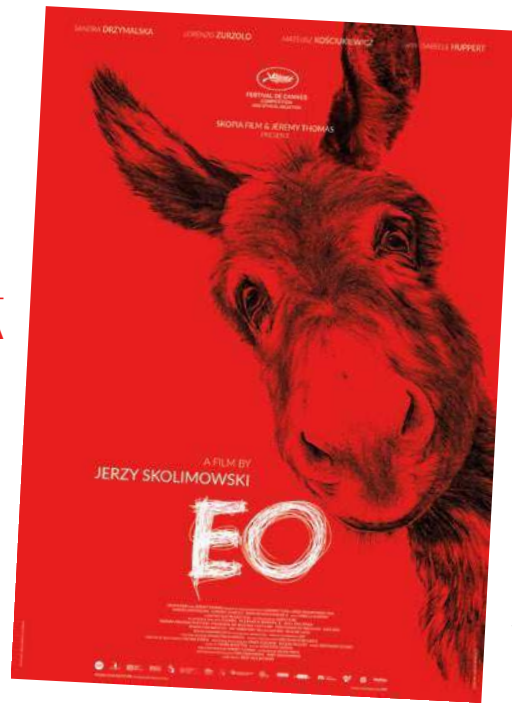

Odbierając Nagrodę Jury, 84-letni reżyser dziękował ze sceny... „swoim osiołkom... wszystkim sześciu". Wymieniał ich imiona: Marietta, Taco, Holla, Hettore, Rocco i Maya. Wspomniał też, że „Io" jest polsko-włoską koprodukcją.

NA LOS SZCZĘŚCIA, IO

O Złotą Palmę walczył już po raz szósty. Tyle razy jego filmy trafiały do konkursu. Wcześniej został doceniony Nagrodą Jury za „Wrzask" (1978) oraz za scenariusz do filmu „Fucha" (1982).

Z trofeum zdobytym na zakończonym tydzień temu 75. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes, Jerzy Skolimowski mocniej usadowił się w gronie polskich filmowców wyróżnionych na Lazurowym Wybrzeżu. A byli to Krzysztof Kieślowski, Wojciech Jerzy Has, Jerzy Kawalerowicz, Krzysztof Zanussi i Andrzej Wajda. To jednocześnie pierwsza od 34 lat Nagroda Jury dla naszego reżysera na tym festiwalu.

W ocenie krytyków „Io" jest filmowym eksperymentem. Sześć przedstawionych w nim części – różnorodnych gatunkowo i stylistycznie – połączonych przez tytułowego bohatera, angażuje emocjonalnie widza, prowokując go do refleksji na temat naszych relacji ze zwierzętami.

Przedstawiona na ekranie „historia osiołka, która rozpoczyna się w polskim cyrku, a kończy we włoskiej rzeźni" nie tylko wpisuje się w gorącą dyskusję o miejscu i roli człowieka w otaczającym go ekosystemie, ale też nawiązuje do kinowej klasyki – francuskiego obrazu Roberta Bressona z 1966 r. pt. „Na los szczęścia, Baltazarze!". To ponoć jedyny film, który wywołał u Skolimowskiego wzruszenie.

CZARODZIEJE I BOKS

Reżyser, scenarzysta, aktor, malarz i poeta... Do świata filmu Jerzy Skolimowski trafił z trochę innego wymiaru, niż zakładało siermiężne ludowe państwo początku lat 60. ub.w. Wejście miał mocne. To spod jego ręki wyszły scenariusze do takich filmów jak „Niewinni czarodzieje" Andrzeja Wajdy (zagrał tu też niewielką rolę boksera) czy „Nóż w wodzie" Romana Polańskiego.

Przy czym z kinem nie od początku było mu po drodze. Za sprawą matki, która tuż po wojnie została attaché kulturalnym w Pradze (ojca stracił w niemieckim obozie koncentracyjnym), ukończył ekskluzywną czeską szkołę. Uczył się w niej m.in. z Milošem Formanem i Václavem Havlem.

Jako nastolatek interesował się boksem i poezją, dramaturgią i jazzem. Zamiast do wymarzonej akademii sztuk pięknych trafił na studia etnograficzne. „Niewinni czarodzieje" otworzyli mu drogę do łódzkiej filmówki. Jeszcze w czasie trwania egzaminów powstał scenariusz do „Noża w wodzie".

Sztuka filmowa połączyła wszystkie jego wcześniejsze doświadczenia, odkrycia i pasje. Dała też przestrzeń jego temperamentowi i kreatywności. Młody Skolimowski od początku działał niekonwencjonalnie. Pełnometrażowy „Rysopis" (1964) zmontował z nagranych na taśmie w różnym czasie ćwiczeń inscenizacyjnych i operatorskich. Materiały zostały jednak połączone w sposób tak spójny fabularnie, kompozycyjnie i stylistycznie, że film wszedł na ekrany jako reżyserski debiut, w którym doceniono też brawurowo zagraną (przez samego reżysera) główną rolę.

CZWORO OCZU STALINA

Opowiadający o dalszych losach bohatera (Andrzeja Leszczyca) „Walkower" (1965) był realizowany tuż po premierze „Rysopisu". Niedługo potem na fali festiwalowych sukcesów powstała „Bariera" (1966), a następnie „Ręce do góry" (1967). I tu, decydując się na odważną konfrontację z istniejącymi realiami, młody reżyser zderzył się z systemem.

Nie do przełknięcia dla cenzorów okazała się zwłaszcza scena z gigantycznym portretem Stalina, który przez niedopatrzenie montażystów zyskał podwójną parę oczu. Film na wiele lat trafił na półki, a Skolimowski – wtedy 29-latek – na emigrację.

Niestety, autorskie podejście do kina i warsztatowa kreatywność – skonfrontowane z wymogami zachodnich producentów, zwłaszcza przy komercyjnych projektach – nie przynosiły oczekiwanych efektów. Reżyserska kariera w kolejnych europejskich krajach, a potem za oceanem charakteryzowała się naprzemiennymi sukcesami (to głównie przy mniejszych projektach, takich jak „Na samym dnie" z 1970 r. czy „Wrzask" z 1978 r.), i porażkami (szczególnie widocznymi przy większych budżetach).

Wciąż jednak Jerzy Skolimowski miał w sobie umiejętność szybkiego reagowania i nieschematycznego myślenia. W błyskawicznym tempie zareagował na wprowadzenie stanu wojennego, kręcąc „Moonlighting" („Fuchę", 1982) z Jeremym Ironsem. Potem bardzo przeżył – jak sam ocenił – największą swoją artystyczną porażkę, czyli „30 Door Key" (1991), autorską adaptację „Ferdydurke" Gombrowicza.

Na 17 lat zrezygnował z reżyserowania filmów. Zajął się malarstwem. Przyjmował też zadania aktorskie. O tamtym

Autopromocja

eprasa.pl 9c4e90eb77

Inni nagrodzeni w Cannes

Najważniejsze trofeum 75. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes, czyli **Złota Palma**, trafiło do **Rubena Östlunda** za „ostrą i szaloną" komedię pt. **„Triangle of Sadness"**.

Tytuł **najlepszego reżysera** przypadł koreańskiemu twórcy **Parkowi Chan-wook**. Jego film „Decision to Leave" do ostatniego dnia festiwalu zbierał najwyższe noty światowej krytyki i zajął pierwsze miejsce w prestiżowym rankingu Screen Daily.

Nagrodę specjalną z okazji jubileuszu festiwalu otrzymali **Jean-Pierre** i **Luc Dardenne** za film **„Tori i Lokita"** (to już siódma nagroda w konkursie głównym dla belgijskiego duetu reżyserów).

Najlepszą aktorką została **Zar Amir Ebrahimi** (wygnana z Iranu w 2016 r.). Doceniono jej rolę w **„Holy Spider"** irańsko-duńskiego reżysera Alego Abbasiego.

Fot. LOIC VENANCE/AFP/East News

okresie życia Skolima krążą różne anegdoty. Zaszył się w kalifornijskim Malibu i tworzył obrazy „bliskie tradycji abstrakcyjnego ekspresjonizmu". Otaczał się gronem wyjątkowych przyjaciół i znajomych. Wśród nich był Miloš Forman i Jack Nicholson (ten ostatni kupił kilka płócien malarza-reżysera).

NA POCZĄTEK NOCE Z ANNĄ

Miał 70 lat, gdy w 2008 r. nakręcił osobliwe połączenie melodramatu i thrillera, czyli „Cztery noce z Anną". Po tej realizacji deklarował: „Zasmakowałem w robieniu bardziej kameralnych filmów. A duży budżet jest obciążeniem, nie pozwala reżyserowi w pełni kontrolować filmu. »Cztery noce z Anną« jest tym, co chciałbym jeszcze w kinie zrobić".

Jednak jego kolejny film potwierdził przede wszystkim, że Jerzy Skolimowski jest jako twórca nieprzewidywalny. Mimo upływu lat wciąż jest gotowy na nowe i nieoczywiste tematy oraz rozwiązania. Nadal szuka i jeśli podąża, to bynajmniej nie utartymi ścieżkami, choć zdarza mu się inspirować powstałymi już dziełami.

„Essential Killing" – opowieść o afgańskim uciekinierze z tajnego amerykańskiego więzienia CIA umiejscowionego gdzieś w Europie Środkowej, w której bohater nie wypowiada ani jednego słowa – stała się w 2010 r. objawieniem Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Reżyser otrzymał nagrodę CinemAvvenire i Nagrodę Specjalną Jury, a Vincent Gallo nagrodę dla najlepszego aktora.

Powstałe pięć lat później „11 minut" – thriller złożony z równoległych opowieści (każdą z postaci oglądamy na ekranie przez tytułowe 11 minut) – trafiło do głównego konkursu 72. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji.

Po kolejnych pięciu latach czas pandemii złagodził reżyserowi pobyt na Sycylii, gdzie pracował nad najnowszym filmem. W krótkim metrażu, zrealizowanym na zaproszenie HBO do współtworzenia półtworzenia antologii filmowej „W domu", pokazał piękno opustoszałej włoskiej wyspy.

„Io", którym zachwycił jury w Cannes, dowodzi, że 84-letni Jerzy Skolimowski, wciąż działa niejako wbrew metryce. Niesztampowo. Niezmiennie poszukując nowych, własnych perspektyw i rozwiązań. Bez powtarzania się, podsumowywania czy tym bardziej czerpania z dotychczasowych osiągnięć. Nie sposób przewidzieć, w którą stronę pójdą kolejne jego projekty.

ORZEŁ ZA OSIĄGNIĘCIA ŻYCIA

Reżyser, który wydaje się unikać podsumowań, 6 czerwca odbierze nagrodę za osiągnięcia życia podczas tegorocznej ceremonii wręczenia Orłów – Polskich Nagród Filmowych.

Dariusz Jabłoński, prezydent Polskiej Akademii Filmowej, tak przedstawia laureata: „Akademia nagradza twórcę totalnego i niezłomnego, który za swoje kreatywne wybory często płacił jakością życia. Tak jak przy filmie »Ręce do góry«, który nie spodobał się stalinowskiej władzy i spowodował, że Skolimowski musiał opuścić Polskę. Niezależnie od tego, że każdy kolejny film realizował w innym kraju, był honorowany za nie nagrodami na najważniejszych festiwalach. W pewnym momencie wrócił do Polski, gdzie nakręcił swoje trzy ważne filmy: »Cztery noce z Anną«, »Essential Killing« i »11 minut«. Każdy z nich nowatorski i odważny w formie i treści".

KLIKASZ I CZYTASZ!

Czytaj wygodnie tygodnik SIECI

Sprawdź na stronie 55

eprasa.pl 9c4e90eb77

Za co został wyróżniony mały pies na filmowym festiwalu w Cannes? Do czego wojna potrzebuje zwierząt i jak instynkt łowczy może pomóc w obronności państwa?

Terier, wojna i festiwal w Cannes

Zło wojny staje się jeszcze bardziej przerażające w zestawieniu z niewinnością ofiar. Żeby zarysować tę dychotomię, wojenne opowieści referują historie, w których najbardziej łagodne i poczciwe istoty muszą mierzyć się ze złem. Tak było od zawsze. Tego wymaga wojenna mitologia. Bez tego szybko nastąpiłoby zobojętnienie obserwatorów wobec okrucieństwa wojny, a bestialstwo pozostawałoby czymś abstrakcyjnym.

Dlatego ważną rolę do odegrania ma niewielki piesek rasy Jack Russell terrier, który na Ukrainie broni swego narodu. Jego rola jest podwójna: pomaga rozminowywać kraj, a równocześnie jest ambasadorem sprawy ukraińskiej.

Pies domowy, *Canis familiaris*, przez dziesiątki tysięcy lat życia u boku człowieka nabył nieprawdopodobnych cech. Cech, o które nie podejrzewalibyśmy żadnego innego zwierzęcia. Kto ma psa, ten wie. Jest empatyczny, umie okazywać wdzięczność, lubi czuć się potrzebny, potrafi zastosować logiczne myślenie, świetnie odczytuje intencje człowieka – a to wszystko obok innych oczywistych cech, jak inteligencja, wierność czy poczucie przynależenia do stada. Takim właśnie wybitnym czworonogiem jest Patron – pies Państwowej Służby Ukrainy ds. Sytuacji Nadzwyczajnych (DSNS). Patron (po ukraińsku „nabój") rozminowuje okolice Czernihowa. Dzięki jego służbie zostało wykrytych kilkaset niewybuchów, min i niewypałów.

Kluczem do sukcesu Patrona jest, po pierwsze, masa jego ciała, a po drugie – jego behawior. Psy rasy Jack Russell terrier ważą maksymalnie 6 kg. To za mało, by wywołać detonację miny. Jack Russell terriery natura obdarzyła wyjątkowo silnym instynktem łowieckim. Jest on jedynym psim instynktem, którego nie da się wykorzenić. Norowiec, posokowiec, gończy itd. zawsze będzie norowcem, posokowcem, gończym. Jack Russell terriery są norowcami. Zostały wyhodowane tak, by wyszukiwać i wypłaszać zwierzynę. Nie mają jednak jej atakować. Muszą ją jedynie wskazać. Norowiec dobrze kopie, wchodzi do nor, potrafi świetnie wywęszyć to, co ukryte pod ziemią. Są to dobre cechy dla psa sapera. Jeśli dodać do tego, że psy tej rasy są wyjątkowo żywe, radosne i pełne temperamentu, to „maskotka" frontowa gotowa.

Patron urodził się w 2019 r. Jego naturalne skłonności, wzmocnione tresurą, mogły w pełni ujawnić się w tragicznych okolicznościach wybuchu wojny. Już od marca niewielki, wesoły piesek tropił niewypały u boku swojego pana Mychajły Iljewa, szefa grupy pirotechnicznej DSNS.

W wojnie wywołanej przez Rosję sfera informacyjna jest bardzo rozbudowana. Zaatakowana Ukraina mistrzowsko broni się orężem informacji, odwołując się do wydarzeń wzmacniających morale. Twitter i Instagram to kanały, na których bohaterski Jack Russell terrier jest obecny. Ma swoje konta i setki tysięcy polubień (na Instagramie niemal 300 tys. followersów). Bohaterskie czyny zaowocowały nie tylko sławą, lecz także uznaniem: 8 maja prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w obecności premiera Kanady Justina Trudeau wręczył Patronowi ukraińskie odznaczenie wojskowe – medal „Za nienaganną służbę". Odznaczony został także właściciel psa.

Jako że świat lubi takie historie, pies wkrótce zaistniał na salonach europejskich. Na festiwalu w Cannes od ponad 20 lat jest przyznawana nagroda Palm Dog. Otrzymują ją psy zasłużone w kinematografii, ale nie tylko. Tegoroczny festiwal nie mógł obejść się bez Patrona – gwiazdy światowych serwisów informacyjnych. Ukraiński czworonóg otrzymał psie wyróżnienie. O Patronie napisały wszystkie największe agencje prasowe, portale internetowe i europejska prasa, pokazały najważniejsze stacje telewizyjne. Odbierający nagrodę opiekun psa podkreślił, że Patrona nie ma na uroczystości, gdyż wykonuje swoje zadania dla Ukrainy.

Przemysław Barszcz

Fot. Twitter

eprasa.pl 9c4e90eb77

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Stulecie Winnych": egzamin z empatii

Czwarty sezon serialu „Stulecie Winnych", produktu TVP, za nami. Skończył się w 1989 r., wraz z upadkiem PRL. Powieść Ałbeny Grabowskiej to tytułowe 100 lat: 1914–2014. Było słychać, że telewizja nie chce wchodzić w kontrowersje dotyczące III RP. Zwłaszcza że najmłodsze generacje nie wydawały się aż tak ciekawe jak starzy Winni: Stach, 100-letni w ostatnim odcinku Władek, córki Stacha, które mają na końcu ostatniej serii po 75 lat (choć Urszula Grabowska i Magdalena Walach wyglądają dużo młodziej).

Jednak podobno piąty sezon ma powstać, co wynika z gigantycznej popularności serialu. Sprzyjałem tym nastrojom, bo kryła się za tym ciekawość historii Polski i losów zwykłych Polaków w nią uwikłanych. Oczywiście kryła się też za tym przyjemność podglądania życia rodzinnego. Saga daje możliwość zaspokojenia ciekawości w telegraficznym skrócie. Czytałem doniesienia zza kulis, że „Antek Winny wyszedł z dołka, ale jak sobie poradzi dalej", i sam bywałem ciekawy.

Choć byłem i krytyczny. Dwie pierwsze serie reżyserował Piotr Trzaskalski i były chyba najbardziej prawdziwe, bez mocnych tez ideowych, za to z odrobiną poezji. Ludziom ze wsi, nawet jeśli to podwarszawski Brwinów, ta poezja się należała. Potem przyszedł Michał Rogalski, a kończyli serial operator Piotr Śliskowski i doświadczony reżyser Krzysztof Łukaszewicz. Miałem wrażenie coraz bardziej ugrzecznionego scenariusza, deklaratywnych dialogów.

Ciężko jest pomieścić rozrastającą się rodzinę nawet w 50 odcinkach. Ale przecież sagi nie muszą być aż tak bardzo ilustracyjne w sytuacjach i dialogach. Przypomnijmy serial „Dom", tam też mieliśmy wielką panoramę postaci i jednak ciągle coś nas zaskakiwało, epatowało drapieżnością albo celną społeczną obserwacją, albo humorem. No ale scenariusz pisał mistrz Andrzej Mularczyk. On czuł zapach historii i zapach prawdy, którą niosą zwykli ludzie.

Tu miałem wrażenie unikania kontrowersji, jeśli się da. Dam przykład: pisałem niedawno, jaki był obraz Marca'68 w jednym z odcinków trzeciej serii. Rozumiem, że Michała Śniegockiego, wnuka Stacha Winnego (granego przez Marcina Franca), pobiła milicja, gdy był studentem. Ale ciężko uwierzyć, że żaden z Winnych nie uległ choćby przelotnie, częściowo, marcowej propagandzie. Ale nie, oni byli coraz bardziej zjednoczeni w oporze przeciw komunizmowi. Prawda o Polakach jest bardziej szara.

Błędy dotyczące realiów już opisywałem, a można ich było uniknąć. Jednak tradycyjnie zakończę hymnem. Przy brakach scenariusza, przy plakatowości przedstawianej rzeczywistości było w tym sporo życia. Mam wrażenie, że zawdzięczamy to przede wszystkim aktorom. Kiedy w ostatnim odcinku Mania Winna wspomina swoją babcię, która pierwsza nauczyła się czytać i nauczyła wnuczki miłości do książek, ja wspomniałem Kingę Preis. A piękne role Jana Wieczorkowskiego (Stach), Barbary Wypych (Andzia), wspomnianych już odtwórczyń ról córek Stacha (w młodszych wcieleniach Karolina Bacia i Weronika Humaj), Katarzyny Kwiatkowskiej (Kazia), Romana Gancarczyka (Antoni), Stefana Pawłowskiego (Michał senior)? Rekord pobił Arkadiusz Janiczek jako Władek Winny. Grał od pierwszego do ostatniego odcinka, bohatersko się starzał i nawet przy słabszych dialogach zdał egzamin z empatii celująco.

Czy upiększanie polskich portretów to błąd, czy przeciwnie, bardziej polubimy siebie? W czasach, gdy nasza samoocena jest wbrew stereotypom niska, a lud stał się w ostatnich latach przedmiotem uproszczeń negatywnych. Nie wiem. Cieszę się, że Michał junior (Marcin Franc – aktor też przeze mnie lubiany) został w ostatnim odcinku posłem OKP.

Piotr Zaremba

spraza.pl/9ce90eb77

3 MIŁOŚCI

Polska jest piękną kobietą

Jarosław Kaczyński jest hipisem. Ma niemodne spodnie? I o to chodzi. Nie udaje nikogo, mówi, co myśli, spokojnie wali prawdą między oczy. Robi swoje. Nie ma konta, prawa jazdy? Po co? To hipis, człowiek wewnętrznie wolny. Jak w 1981 r. świętej pamięci Paweł „Kelner" Rozwadowski w krakowskiej Rotundzie w żabocie, a nie w punkowym uniformie, osobny.

Rzeczy zewnętrzne, bzdety. Jest misja, służba, Polska. Zobaczyłem to, gdy na Powązkach przechodził obok urny z prochami Maryny Miklaszewskiej. Kochanej, pięknej, wewnętrznie wolnej kobiety. Zawsze z błyskiem w oku, pogodnej, mówiącej swoim życiem „nie" kłamstwu, karierze po trupach, działaniom pozbawionym smaku. Poznałem ją 33 lata temu, niedługo potem przyszła do kawiarni z pasją i fotosami ślicznych dziewczyn, prosząc, żebym dokonał stylizacji dialogów „Metra" na język potoczny. W końcu stanęło na czym innym, ale nie traciliśmy się z oczu.

W kościele na Bielanach jej duże, kolorowe zdjęcie. Taka właśnie była: uśmiech, podkasane policzki, dobre oczy, zero pretensji do świata. W listopadzie umówiliśmy się na ważną rozmowę. Popłakałem się, gdy usłyszałem, że nie żyje. Odeszło dobre serce, kruszy się kolejna wspólnota. Pokolenie wychowane przez profesorów przedwojennych gimnazjów. Kindersztubę wynosili z domów.

Obok rodziny i domu patriotyzm i wiara – dwie najważniejsze formy miłości formowały kolejne pokolenia powstańców, legionistów, andersowców, żołnierzy niezłomnych, pokolenie Solidarności. Ich świat odchodzi.

Bądź sobą, włóż te same co milion innych ludzi buty. Wyraź siebie, włóż uniform, idź do tej co wszyscy obskurnej sieciówki. PJK jest hipisem. Maryna była tą lepszą Polską. Wykształconą, z przedwojennym sznytem, niewynoszącą się nad nikogo. Młodą duchem, bez zadęcia, lekceważącą stadne odruchy. Bez cienia hipokryzji, udawania, ułożoną, normalną. Maryna jak Polska jest szlachetna. Gość w dom, Bóg w dom. Świat to dziś widzi.

Z pokolenia na pokolenie wierzące domy, wspólnoty. A dziś wokół świat przenicowany. Popkultura w służbie ojca świateł, przeinteligentnego demona. Dzieci giną, gubią się na niewidzianą dotąd skalę, czyżby zło miało dziś silniejsze narzędzia?

„Zobaczyłam u Agnieszki ślady po cięciach na brzuchu, potem już sama pokazała nadgarstki i uda, które wtedy jeszcze nie były aż tak poranione. Psychiatra jeden i drugi mówili, że nie ma się czym przejmować, że teraz 50 proc. dzieci się okalecza i w ten sposób rozładowują napięcie. Żadnej pomocy.

Kiedy dowiedziałam się, jak destrukcyjne działanie ma anime, poprosiłam córkę, by przestała oglądać. Nie udało się, ukradkiem oglądała, czasami wstawała w nocy, kiedy wszyscy spaliśmy. Zarwane noce, rozdrażnienia, jest w depresji, rysuje koszmarne postacie z anime i nie tylko, nie dba o siebie w ogóle, ani o odżywianie, ani o wygląd, podpisuje po japońsku swoje postacie i pisze krótkie teksty w tym języku, i nie bardzo chce mi powiedzieć, co one znaczą... Unika kontaktu z ludźmi, bardzo ją to męczy... Okalecza się coraz bardziej, wspomina o samobójstwie... Mam z córką bardzo dobry kontakt, dużo rozmawiamy, wiem o każdym jej cięciu, kiedy ma ochotę to zrobić, przychodzi do mnie i razem walczymy, ale ciągle przegrywamy. Mówiła mi, że czuje czasami, jakby miała dwie osobowości, tę, która namawia, by się ciąć, i tę, która tego nie chce...".

„Julka założyła swój profil w mediach społecznościowych, a jej zdjęcia profilowe to były makabryczne anime z atrybutem krwawego noża. Nie pomagały rozmowy. Pozbyła się z pokoju świętych obrazków i kolekcji swoich różańców. Po jakimś czasie odkryliśmy, że podcina czy też nacina sobie żyły i jest w grupie internetowej, która wspiera się w takich działaniach. Raz uciekła ze szkoły, by ratować rzekomą samobójczynię deklarującą skok z mostu. Nikt z mostu nie skoczył. Szukaliśmy córki z policją.

Przestała się uczyć. Barykadowała się w pokoju. Paliła jakieś papiery na podłodze. Gdy wychodziła ze swojego pokoju, to z takim napięciem i złością, że pies zaczynał szczekać".

Jak to możliwe, że człowiek robi rzeczy, których nie chce, które go kaleczą? Jak można uparcie, latami działać przeciwko sobie. Dlaczego dziewczyny z poprzednich pokoleń się nie cięły?

Oglądanie japońskich komiksów nie może być przecież główną przyczyną takiego cierpienia, ale czy anime jest całkowicie „niewinne"?

Słowo „manga" oznacza w języku japońskim komiks, rysunek, obraz lub szkic; słowo „anime" – film animowany; tym samym słowem są także określane seriale. Jest wiele odmian anime. Antharo, yokai, mecha; shojo dla nastolatków z fabułą wokół problemów zawirowań miłosnych, rozchwiania emocjonalnego, buntu, zawiści. Brutalna i krwawa, z brutalnym językiem i nagością jest odmiana seinen, mamy erotyczne ecchi oraz czysto hard pornograficzne hentai. Jest shonen, któ-

eprasa.pl 9c4e90eb77

rego głównymi odbiorcami są dzieci w przedziale wiekowym od 7 do 18 lat.

Anime to pomieszane uniwersum. Obok treści dla dziewięciolatek czysta pornografia, morderstwa, przemoc, sceny zbiorowego samobójstwa, przebieranki damsko-męskie. Twarze wykrzywione agresją, złością, nienawiścią i magia zakorzeniona w rytuałach japońskich religii. Świat duchowości, w której nie ma tak – tak, nie – nie, w którym dobro przenika się ze złem.

Seriale anime są dość popularne. To uniwersum silnie wiąże z sobą odbiorców. Podobnie jak cykl o Harrym Potterze jest to trafiony produkt dla dzieci wychowanych już całkowicie bez Boga, albo – jak w Polsce – dla dzieci wyrywanych popkulturą i modą ze świata kultury Karola Wojtyły, Ireny Sendlerowej i Maryny Miklaszewskiej.

Fundamentem kultury Japonii jest fatum. Obok antycznego Rzymu Japonia to najwykwintniejszy przejaw pogaństwa. Heroiczny Yukio Mishima jak Aecjusz, ostatni Rzymianin. Harry Potter jest wytworem kultury śmierci, manga i anime, kultury beznadziei.

Czy lektura takich książek i oglądanie tych seriali pomaga dzieciom przechodzić czas emocjonalnych dołów, czy podnosi dusze, by wyrwać je z depresji? Nie. Wręcz przeciwnie.

Japońskie komiksy nie robią widocznej krzywdy 99 dziewczynkom ze 100, ale uniwersum bez Boga nadziei to nie jest pokarm dla naszych dzieci. Tak, tną się te zaburzone, ale i te najwrażliwsze. Czarne ubrania, podarte rajstopy, „niebinarność", krążące z rąk do rąk mangi i książki o tolerancji. Kolejna subkultura, wspólnota w cierpieniu.

Jakie są głębsze przyczyny pochłaniającego cierpienia, które wzmacnia, a może tylko uruchamia anime?

Świat zabiera nasze dzieci, wyrywa je Bogu z rąk, kaleczą się światem dzieci z wierzących domów, kaleczą się dzieci ludzi ze wspólnot. Od lat poznaję porażające historie. Bóg w tym wszystkim jest, ale potrzebuje ludzkich rąk. I serc, i rozumu, wrażliwości, wytrwałości. Fundacja „Usłyszeć na czas", Tomek Zieliński i jego okienko dla samobójców:

„Zacznę od pewnego pytania – jak długo działa wypowiedziane: »Dobrze, że cię mam«, »Jesteś dla mnie ważna«, »Dobrze mi z tobą«, »Kocham«? Ile te słowa wytrzymują? Godzinę, dzień, miesiąc, a może kilka lat? Często gdy zadaję takie pytanie, z sali pada prześmiewcze: »Przecież wypowiedziałem 'kocham' przy ślubie, no i kilka miesięcy temu, dałem jej kwiaty na 14 lutego, to chyba wie«. A swojemu kochanemu dzieciakowi? »No, ostatnie 'kocham' było na święta, no i na urodziny«. Czy to, co wypowiedziałeś/-aś trwa w nich jeszcze? Czy też zaczęli szukać »doładowania tych słów« poza domem? Ponieważ świat częściej im je powtarza, więc dłużej, niż powinni, siedzą w pracy, dłużej, niż powinni, są poza domem lub przed komputerem. Szukając głasków od kogoś, kto ich zauważy, usłyszy, doceni.

Tylko absolutnie nie czuj się powyższymi słowami oskarżony/-a, nie taka jest tego intencja. Poczuj się proszę zachęcony/-a do tego, by częściej je wypowiadać. By ci, których kochamy, nie szukali tych słów w świecie, by zawsze wracali po te słowa do domu.

Ja sam kiedyś nie umiałem, nie wiedziałem jak, myślałem, że wiedzą, jak kocham...

Od czego zacząć?

Może od przytulasa i prostego: »Dziękuję, że tak o nas dbasz«, wypowiedzianego do żony lub męża, i »Cokolwiek by się działo, zawsze jestem po twojej stronie«, wypowiedziane do twojego kochanego dzieciaka. »Doładuj«, proszę, słowa co najmniej tak często, jak doładowujesz baterie w swoim telefonie. Dbajmy o utrzymanie pełnej mocy słów, dopinajmy nimi skrzydła tym, którzy w naszym życiu ważni.

PS Niech nasi bliscy wiedzą, że po najlepsze słowa wraca się zawsze do domu. Dbaj o siebie. T. Z.".

List z tamtego pięknego polskiego świata. Gdzie nie rozpycha się ironia, sarkazm, kpina. Gdzie nie ma miejsca na rechot i nikt nie wstydzi się słów pisanych wielką literą. Gdzie można było się wypłakać w fartuch, wygadać. Polska jak Maryna – jest piękną kobietą. Miłość, ludzka solidarność, wewnętrzne piękno, spokojna, najgłębsza radość.

Dobry Panie Boże, proszę cię o umiejętności i talent, by skutecznie uchylać twierdzenia ludzi niewierzących, którzy ukształtowali świat słów i obrazów będący powietrzem dla naszych dzieci. Daj moc zmierzenia się z kulturą tworzoną dziś przez ateistów, heretyków, ludzi nieświadomych prawdy, by wykazywać przystępnie i pociągająco, że Jezus jest Mesjaszem, nadzieją dla każdego człowieka.

Świat zabiera nasze dzieci. Kaleczą się życiem dzieci z wierzących domów, dzieci kobiet i mężczyzn starających się ze wszystkich sił iść za Jezusem. Bóg w tym wszystkim jest, ale potrzebuje rąk, umysłów i odważnych serc, by ratować, by rodzić na nowo do wiary, do nadziei, do miłości Boga. Świat nie wymyka się Ojcu z rąk, po prostu za mało dziś ludzi szalonych, pijanych miłością Syna, którzy walczą o pokój we własnym sercu i o nadprzyrodzoną radość w sercach wszystkich ludzi. O Radość nie do zmiażdżenia przez najpotworniejsze cierpienie. Bóg szuka człowieka. Skoncentrować się na Nim. Bezradność jest po coś. Być sercem domu, patrzeć w oczy córek.

Najpiękniejszy z aniołów, Lucyfer, to imię tłumaczy się tak: Komu Więcej Dano, od Tego Więcej się Wymaga.

Robert Tekieli

Polskie Radio, Poradnia duchowa <><

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9c4e90eb77

Wojciech Stanisławski

Żar katedry

W tych tekstach można usłyszeć echa słów nie tylko zgorzkniałego św. Augustyna i spalającego się św. Franciszka, ale także ojca Paneloux

Gdyby długość recenzji musiała odpowiadać uznaniu, które żywimy dla tytułu – pewnie nie zmieściłbym się z tekstem w tej kolumnie. Ale na szczęście tak nie jest, czasem książka pozostawia nas oniemiałych, z trudem klecących kilka zdań. Tak często dzieje się z tomikami poezji. Tak dzieje się z „Milczeniem katedry".

Wszystkie z ponad 100 felietonów, które znalazły się w książce Jana Maciejewskiego, podobnie jak 14 portretów (w tym Wenecji) i opowiadań, można było przeczytać przez ostatnich kilka lat na łamach dodatku „Plus Minus". Ale, jak bywa z ziołami, z kwiatami nie tak pełnymi ostentacji jak mięta, szałwia czy jaśmin – trzeba zebrać ich naręcze, żeby przez chwilę naprawdę poczuć zapach.

Tak i tu. Te skondensowane do dwóch, trzech stron teksty (oto fortunny rygor ukazywania się gazety drukiem: wymusza zwięzłość!) zarówno redakcja „Rzeczpospolitej", jak i wydawcy książki uparli się nazywać felietonami. Ale to nie są felietony, na pewno nie w sensie, który nadali temu słowu przekonani o swojej racji publicyści, opowiadacze podstarzałych anegdot, snajperzy wpatrzeni przez okular w okopy przeciwnika, wreszcie gatunek najgorszy – entuzjaści wbijania gwoździ możliwie równo obok siebie i w dużych ilościach, którym niestety odebrano młotki i dano w zamian etat felietonisty.

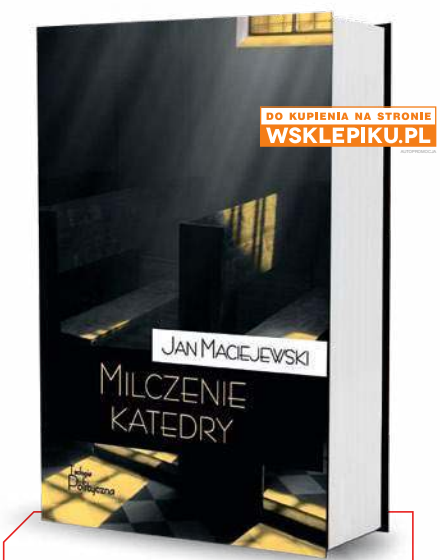

Jan Maciejewski, „Milczenie katedry. Felietony i portrety", Teologia Polityczna, 2022

To nie są felietony i w ogóle nie mam pojęcia, jak je nazwać. Są olśniewającym ciągiem refleksji i opisów, prowokowanych przez koncert, rocznicę czyjejś śmierci, uchwałę radnego, debiut, wspomnienie. Są pełne sprzeczności jak z barokowego konceptu, w którym coś jest zarazem śnieżne i wrzące, zrujnowane i niezmienne. Zdania autora „Milczenia katedry" są wolne od przewidywalności, od nudnej pewności, z którą przeciągają się tłuste koty publicystyki, a jednocześnie są stanowcze, orzekające o porządku świata z pewnością, jaka dana bywa tylko poetom i kosmografom. „Kłamstwo malarstwa jest błogosławioną winą tego gatunku sztuki". „Kiedy Kościół zaczyna się skupiać na swoim przetrwaniu...". „Jeśli nie ma sensu przysięgać, to i żyć nie ma po co". Kto dał Maciejewskiemu prawo do wypowiadania się z tak irytującym przekonaniem, jakby pisał nową encyklopedię albo przynajmniej sięgał po płaszcz Kundery (nieraz przezeń przywoływanego), też używającego fabuł jako wypełniacza do opowieści o (nie)ładzie świata? Skąd tyle może o tym wiedzieć 32-latek?

A zarazem – ta katedra, z której przemawia, staje się co chwila huśtawką lecącą gdzieś w dół, w granatową głębię smutku. A zarazem w tych zdaniach pobrzmiewa niemal bezustannie rozczarowanie zachowaniami naszych współczesnych, rozczarowanie na granicy mizantropii, drwina z podrygów cywilizacji, niechęć do jej obłudy lub bezczelności, przekonanie o daremności wielu działań.

Tyle że ta huśtawka staje się trapezem zataczającym krąg, lecącym wysoko, aż patrzącym zapiera dech – bo z tego mroku, smutku i zgrozy wybija się ku pewności tak wielkiej, że należałoby ją pisać z wielkiej litery. Pewności wiary, paradoksalnej, bo nieopartej na niczym prócz zawierzenia i świadomej tego paradoksu. „Gestami stwarzałem niewidzialny sznur. / I wspinałem się po nim, i trzymał mnie".

Tak, teksty Maciejewskiego to w moim przekonaniu nie „felietony", nie „refleksje", ale rodzaj kazań. To kazania oczyszczone – w wielu ogniach i w lodzie rozpaczy – nie tylko z banału i przesłodzenia, które są najpospolitszą przywarą niedzielnych homilii, ale i z mieszczańskiego spokoju, ciężkiego jak tłuste nadzienie świątecznej kremówki i równie otępiającego. Kaza-

eprasa.pl 9c4e90eb77

nia, których jedynym fundamentem jest wiedza, że o fundamencie, który pozwoliłby osiąść w miejscu, nie ma mowy; że chrześcijanin jest *homo viator*, więc „jeżeli fotel, to niezbyt wygodny / tak aby nie było przykro podnieść się i odejść". To kazania, w których da się usłyszeć echa słów nie tylko zgorzkniałego św. Augustyna i spalającego się św. Franciszka, ale także ojca Paneloux.

Nieraz zastanawiamy się, jaki będzie Kościół nadchodzących dekad, Kościół w pełni zanurzony w XXI w.: Kościół otoczony wrogością i niezrozumieniem, Kościół słabnący, a także Kościół, który ma kłopot z uporaniem się ze swoimi winami i skłonnością do zamykania się w sielskim ogródku, w parafiańszczyźnie. Wielu twierdzi, że będzie to Kościół rozproszony, tworzony przez małe grupy wiernych – wiernych w pełnym znaczeniu tego słowa, Kościół ubogi i żarliwy. Jeśli tak się stanie, sądzę, że dzięki „Milczeniu katedry" znam już przedsmak tonu, którym może przemawiać.

Poleski los

Czytelnicy, którzy pamiętają jeszcze „Małą apokalipsę" Konwickiego – a szczególnie ci, którym zdarzyło się ją czytać w młodości, w dodatku jako samizdatowy owoc zakazany, a nie lekturę szkolną – z pewnością zapamiętali dokonaną przez pana Tadeusza pochwałę piersi jednej z bohaterek – „takich piersi, jakich się już na zachód od Wisły nie nosi". Otóż na zachód od Wisły nie pisze się już również takich powieści jak „Stulecie Jakowa" – powolnych, opisujących czyjeś życie niczym wielką rzekę, toczącą się po równinie, dopływającą już do ujścia, spokojną, parującą po dramatycznych przełomach i powodziach. Wiek temu na Zachodzie pisało się niemal tylko tak, na kartach bildungsromanów bohaterowie doświadczali zmian pieluch i piastunek, epifanii, miłości i kokluszu, rodzicielstwa, wojen i rozstania. Na różnych działo się to piętrach, komu „Przeminęło z wiatrem", komu „Noce i dnie", czasem wędrował przez życie Jan Krzysztof, czasem Martin Eden. Ludzki los jak na dłoni, od dziecięcych zabaw motylkami po chłodną relację z agonii: „Starzec bredził, że za plecami ma roje motyli".

Tak było. A teraz na zachód od Wisły już takich powieści się nie pisze, a na Ukrainie – owszem. Jaszko, Jasyk, Jakiw, Jakow Mech w fabule meandrującej jak potoki Polesia pojawia się po kolei jako urwis, chłopaczysko, rekrut, kochanek, ułan, mąż, jeniec, buntownik, starzec. Czy nie jest tak, że za opisywaniem człowieka w podobny sposób stać muszą pewne (być może nawet nieuświadamiane, niewyrażone wprost) założenia filozoficzne, garść przekonań? Albo po prostu zaufanie, że przeszłość można opisać, a życie – jakkolwiek kapryśne, raniące i pełne rozczarowań – ma sens, który potrafimy dostrzec?

Może tak właśnie jest. A może to tylko anachronizm ukraińskich szkół creative writingu, które nie przyswoiły jeszcze nowszych mód.

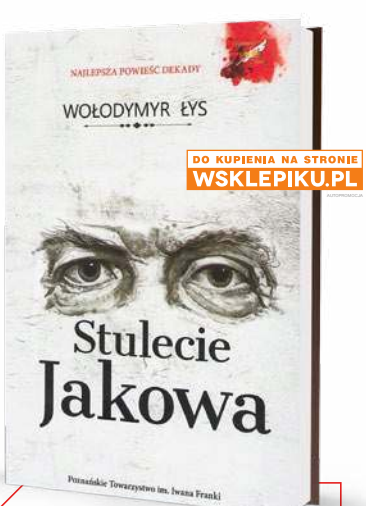

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Wołodymyr Łys, Stulecie Jakowa, tłum. Anna Korzeniowska-Bihun, Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki, 2021

Ta staroświeckość wyszła im jednak, co tu kryć, na dobre, skoro „Stulecie Jakowa" wiernie ukazało los jednego z miliona mieszkańców ziem nad Bugiem, Dunajcem i Dniestrem, którzy jak w anegdocie: urodzili się za cara, dzieciństwo spędzili w II RP, lata wojny – pod butem III Rzeszy, dorosłość w Sowietach i starość na transformacyjnej Ukrainie, tej z czasów rekietu, oligarchów i porzuconych wsi. O losie kochliwego i nieuczonego Jakowa przesądzały przede wszystkim kolejne miłości (jest porzucany i wielbiony, zdradza i ślubuje wierność), co niebezpiecznie zbliża „Stulecie..." do romansu; ale ostatecznie, co innego wprawia w ruch słońce i gwiazdy?

Równie bezradny jest Jakow wobec drugiego żywiołu: historii. Polityka ma dla niego twarz sołtysa, rotmistrza, politruka; wyżej nie sięga, chłopski syn, choć do twarzy mu było w mundurze polskiego ułana (gdzieś tylko w ojcowskim wspomnieniu majaczy melancholijny profil Symona Petlury z 1920 r.). I tu kolejna osobliwość tej powieści, dla nas znacząca: II RP, choć żyło się w niej ubogo, jest we wspomnieniu Jakowa miejscem rządnym i sprawiedliwym; szaleństwo rzezi wołyńskiej, owszem, ogarnia ludzi wokół niego, ale dla samego Jakowa pozostaje właśnie tym: szaleństwem, któremu stara się zapobiec, a najważniejszą kobietą w jego życiu okazuje się Polka...

Gdyby „Stulecie..." z taką wizją relacji polsko-ukraińskich zostało napisane w ostatnich miesiącach – uznałbym je za rodzaj literackiej laurki, rozczulający, lecz trochę niezgrabny gest wdzięczności, może rodzaj kontrybucji czy cukrowania rzeczywistości. Ale jego ukraiński oryginał ukazał się (i zyskał status bestsellera) 12 lat temu. Może więc naprawdę zaświadcza o powolnej zmianie postrzegania Polski na Ukrainie, którą dziś można dostrzec w każdym sondażu, zaświadczającym, że jesteśmy uważani za jeden z „najbliższych narodów"? A może nawet do zmiany tej się przyczyniło?

eprasa.pl 9c4e90eb77

Czy jest możliwa beatyfikacja Edmunda Wojtyły?

Z jakiego powodu współcześni określali dr. Wojtyłę nieprzeciętnym, wartościowym człowiekiem, lekarzem zasłużonym dla ludzkości? Dlaczego przyjął on w szpitalu pracę jako „zakaźnik", na najniebezpieczniejszym oddziale, w czasach, gdy nie było jeszcze antybiotyków, a więc ze świadomością narażania własnego życia? Czy był szaleńcem?

MILENA KINDZIUK

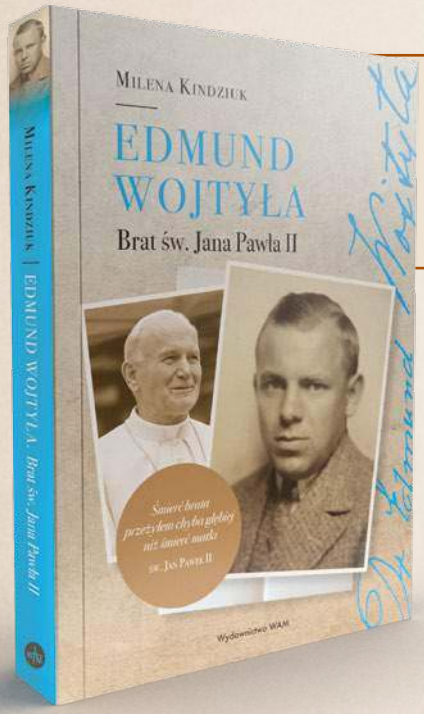

Publikujemy fragment najnowszej książki Mileny Kindziuk pt. „Edmund Wojtyła. Brat św. Jana Pawła II", która ukazała się nakładem Wydawnictwa WAM. To po biografiach rodziców papieża kolejna pozycja, w której autorka przybliża Polakom rodzinę Wojtyłów

„Miał wszelkie dane na znakomitego lekarza, od którego ludzkość mogła się wiele, bardzo wiele spodziewać" – pisano w prasie zaraz po jego pogrzebie w grudniu 1932 r.

Wymowny był także napis na klepsydrze: „Umarł jako ofiara swego zawodu, poświęcając swe młode życie cierpiącej ludzkości".

DLACZEGO WŁAŚNIE JA?

Gdy Edmund Wojtyła ukończył Wydział Lekarski na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie jako doktor wszech nauk lekarskich, najbardziej pragnął leczyć dzieci. Dlatego praktyki po studiach miał właśnie na oddziale pediatrii. Sam też chciał mieć kiedyś dom pełen maluchów. „Gdy się ożenię, będę miał dużo dzieci" – często mawiał do swej narzeczonej Jadwigi Urban. Jednak pierwszą pracę etatową, w maju 1931 r., podjął na oddziale zakaźnym w szpitalu miejskim w Bielsku (dziś Bielsko-Biała). I tam wszystko się wydarzyło.

W drugiej połowie listopada 1932 r. do szpitala trafiła chora 20-latka. Doktor Wojtyła rozpoznał u niej szkarlatynę i zalecił pozostanie na oddziale zakaźnym. Mimo że szanse były znikome, postanowił za wszelką cenę ratować jej młode życie. Mijały dni, a objawy u chorej nasiliły się, dołączyły powikłania. Wzrastało ryzyko zakażenia kolejnych osób, zarówno wśród pacjentów, jak i personelu szpitala. I to właśnie była ta chwila, w której dr Wojtyła zdecydował, że osobiście podejmie się dalszego leczenia, a także stałej opieki pielęgnacyjnej nad chorą. Jako jedyny z całego personelu szpitala czuwał przy swojej pacjentce w izolatce, podawał płyny, lekarstwa, uśmierzał gorączkę. Zachowywał się jak prawdziwy lekarz, wspominali medycy, którzy z nim się zetknęli. Raczej odda życie, niż przestanie leczyć.

Nie opuścił chorej także w czasie agonii. Spędził przy niej całą noc z 24 na 25 listopada. Nad ranem, w jego obecności, dziewczyna umarła.

Dramat wkraczał w kolejną fazę. Dzień po śmierci Rozalii objawy szkarlatyny zaczął mieć dr Wojtyła. Wyraźnie zaraził się od chorej. Błyskawicznie tracił siły. Miał gorączkę dochodzącą do 40 stopni, do tego drgawki. Ciało i twarz pokrywały coraz bardziej rozległe czerwone plamy, które przemieniały się w rany. Nudności, bóle głowy, zapalone gardło, biały język. Paradoksalnie Edmund stał się teraz pacjentem szpitala, w którym pracował jako lekarz. Trafił do tej samej izolatki na parterze, w której leżała jego pacjentka.

Szkarlatynę znosił wyjątkowo źle. Musiał boleśnie zmagać się z żywiołem tej groźnej choroby zakaźnej. O niczym nie wiedzieli ani jego ojciec, ani 12-letni brat Lolek (przyszły papież), ani też narzeczona Jadwiga. Ale Edmund nie został w cierpieniu sam. Opiekę nad nim, z ogromnym oddaniem i troską, sprawowały ewangelickie pielęgniarki

eprasa.pl 9c4e90eb77

– diakonisy. To do jednej z nich przed śmiercią Edmund powiedział cichutko: „Dlaczego właśnie ja?”. Jako lekarz nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że zbliża się koniec. Poprosił o spowiedź i komunię. Diakonisy przyprowadziły księdza – wikariusza z parafii św. Mikołaja. Udzielił choremu sakramentu namaszczenia chorych.

Zmarł w niedzielę, 4 grudnia 1932 r., ok. godz. 19.00.

Miał 26 lat.

JESTEŚ BOHATEREM, JESTEŚ MĘCZENNIKIEM

Dwa dni później, 6 grudnia, w kościele pw. św. Mikołaja w Bielsku, tym samym, do którego Edmund przychodził każdej niedzieli na mszę świętą, stanęła trumna z jego ciałem. Bezpośrednio za nią siedzieli: brat, ojciec i najbliższa ciotka Stefania Wojtyła, która mieszkała i pracowała w Bielsku. Dalej, w ławkach, diakonisy, które do końca trwały przy umierającym.

Można powiedzieć, że do tej pory wszystko było przewidywalne. To jednak, co nastąpiło później, przeszło wszelkie oczekiwania. W wypełnionej po brzegi świątyni zjawił się cały personel szpitala: dyrekcja, lekarze, sanitariusze pogotowia ratunkowego, kierowcy karetek. Nadto aż kilkunastu duchownych w stallach wokół ołtarza. Przedstawiciele urzędu miasta. I pacjenci. Wielu pacjentów. Przybyli również bielszczanie, którzy Edmunda nie znali, ale słyszeli o jego heroicznej postawie. I chcieli mu oddać hołd. Koledzy lekarze wygłosili mowy pożegnalne. Najmocniej chyba wybrzmiały słowa dr. Stanisława Brucknera: „Odszedłeś! Poszedłeś, Ty, drogi Mundku... Jesteś bohaterem, jesteś męczennikiem swego młodego życia, boś poległ ofiarnie właśnie w walce z tą śmiercią. Przemogła Cię, przytuliła do swego łona, gdyż Ty, drogi Kolego, odważyłeś się próbować wyrwać życie młodej dziewczyny z jej szponów! Widzę ciągle Twą znękaną boleścią twarz, słyszę Twe gorzkie słowa skargi, szeptane do ostatniej chwili spalonymi gorączką wargami: »Dlaczego właśnie ja«?”.

Takiego drugiego pogrzebu Bielsko dotąd nie przeżyło, mówili starsi mieszkańcy miasta.

– To było wydarzenie na tyle głośne, że wszyscy o nim wiedzieli. Dużo i długo się o tym mówiło – wspomina aktorka Danuta Rybicka. – Moja mama opowiadała, że pogrzeb młodego, zdolnego lekarza, jakim był dr Wojtyła, stanowił wstrząsający moment dla całej społeczności Bielska.

W pogrzebie Edmunda nie uczestniczyła narzeczona. O jego śmierci zawiadomili ją rodzice. – Ojciec Edmunda przysłał do nich później w liście klepsydrę – opowiada Barbara Kłosińska-Gębarzewski, chrześnica Jadwigi Urban. Sama Jadwiga zaś wspominała: „Byłam wtedy w Kutnie. Klepsydrę znalazłam potem w książeczce do nabożeństwa mojej matki. Sczerniała, skropiona łzami. Jest dla mnie wielką pamiątką”.

Pierwsza biografia Edmunda Wojtyły, autorstwa Mileny Kindziuk, zawiera nowe fakty o bracie św. Jana Pawła II. Kreśląc portret tego wyjątkowego człowieka, autorka odwiedziła polskie i zagraniczne archiwa, dotarła do świadków tamtejszych wydarzeń

PAMIĘĆ PRZETRWAŁA DO DZIŚ

Śmierć dr. Wojtyły odbiła się głośnym echem nie tylko w całym Bielsku, ale też znalazła odzwierciedlenie w ówczesnej prasie, np. w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym”, tygodniku „Polska Zachodnia”, dzienniku „Zjednoczenie”, w „Gazecie Lekarskiej”. Ukazywały się nekrologi, artykuły, sprawozdania z pogrzebu. Wszędzie akcentowano, że młody dr Wojtyła „poświęcił swe życie świadomie w imię realizacji swego powołania”, że „z zapałem i oddaniem jął się powierzonej mu pracy, aż zwaliła go zdradziecka choroba. Znakomite wykształcenie pogłębiał przez ciągłe dalsze studja i starał się zawsze swoim chorym nieść pomoc nie tylko swą głęboką wiedzą i umiejętnością, ale także okazać współczujące serce, co wszyscy cenili i uznawali”; że „zginął jak żołnierz na posterunku”.

Pamięć o nim w Bielsku-Białej przetrwała do dziś. Trudno jest znaleźć w tym mieście kogoś, kto nie słyszał o jego pełnej poświęcenia pracy, dramatycznej śmierci i niezwykłym pogrzebie. Mimo że pracował tam zaledwie półtora roku, a od jego śmierci w 1932 r. upłynęło 90 lat.

Postać młodego lekarza noszą w pamięci duchowni i wierni z parafii ewangelicko-augsburskiej przy pl. Lutra. Całą historię zna miejscowy proboszcz ks. Krzysztof Cienciała, a jego parafianie zbierali od świadków wspomnienia na temat dr. Wojtyły. Chętnie o Edmundzie opowiada też bp senior Paweł Anweiler: – Słyszałem od starszego parafianina, lekarza, który jeszcze zetknął się z dr. Wojtyłą, że był to specjalista wysokiej klasy, wyjątkowo oddany chorym.

Pamięć ta jest też żywa na terenie katolickiej diecezji bielsko-żywieckiej. Ks. dr Marek Studenski, wikariusz generalny, przyznaje: – W duszpasterstwie Edmund obecny jest może sporadycznie, ale poszczególni duchowni wspominają tę postać w kazaniach.

Duchowni, którzy pracują w Bielsku-Białej, zwracają uwagę, że Edmund stał się bardziej znany po 16 październiku 1978 r.

– Niewątpliwie wybór kard. Wojtyły na papieża mocno odświeżył pamięć o jego bracie – podkreśla ks. dr Czesław Chrząszcz, notariusz i archiwista w kurii bielsko-żywieckiej.

Podobne spostrzeżenia czyni ks. Antoni Młoczek, proboszcz katedry św. Mikołaja: – Do 1978 r. jedynie pojedyncze osoby z naszej parafii zdawały sobie sprawę, że na jej terenie mieszkał i pracował dr Wojtyła, potem szukano o nim dokładniejszych wiadomości, także na temat jego związków z naszym kościołem.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Edmund Wojtyła wraz z narzeczoną Jadwigą Urban, jej siostrą Janiną oraz ich ojcem Jakubem Urbanem podczas wycieczki na Babią Górę, 1924 r.

Fot. Archiwum rodzinne Barbary Kłosińskiej-Gębarzewski i rodziny Kłosińskich

SPONTANICZNY KULT

Przy grobowcu Wojtyłów na cmentarzu Rakowickim w Krakowie zawsze są świeże kwiaty, zawsze są też ludzie: jedni stoją w zadumie, drudzy klęczą i się modlą, inni kładą kartki z intencjami na grobowcu. To z szacunku do św. Jana Pawła II, a także do jego rodziców, Emilii i Karola, obecnie kandydatów na ołtarze, wreszcie ze względu na brata Edmunda. Są tacy, zwłaszcza chorzy, którzy jego proszą o pomoc, o wstawiennictwo u Boga.

Takie jest wyczucie wiernych, *sensus fidelium*, by użyć języka teologicznego. Ofiarna praca Edmunda i jego niezwykłe poświęcenie dla zarażonej szkarlatyną pacjentki nie wynikały jedynie z czystej, ludzkiej szlachetności, ale miały podłoże religijne, były zakorzenione w wierze, i to nadawało jego czynom dodatkową wartość duchową.

Aby zrozumieć postawę Edmunda – „samarytańską", jak określił to kiedyś Jan Paweł II – należy mieć przed oczyma jego rodziców, o których życiu religijnym wiadomo więcej. Jego postawa miała ścisły związek z systemem wartości, który oni przekazali swoim obydwu synom.

– W pierwszej kolejności to właśnie w domu usłyszał on o chrześcijańskim obowiązku miłości bliźniego. On tę miłość zrealizował do końca, oddając życie za swoją pacjentkę – twierdzi Jan Wojtyła, kuzyn Edmunda z Czańca.

Pojawiały się już inicjatywy wyniesienia Edmunda na ołtarze. We Włoszech w 1997 r. zawiązał się nawet komitet do spraw beatyfikacji dr. Edmunda Wojtyły. Rzymski dziennik „Il Tempo" poinformował, że grupa osób skupionych wokół wydawnictwa katolickiego w Padwie dąży do otwarcia jak najszybciej procesu beatyfikacyjnego.

Podobne starania o rozpoczęcie procesu Edmunda podjął mieszkający w Austrii Józef Urbańczyk, sztygar Kopalni Węgla Kamiennego „Piast", który w latach 80. razem z żoną i trójką dzieci wyemigrował z Polski. Propaguje życie i działalność brata papieża. Gdzie tylko ma okazję, rozpowszechnia jego kult. Postarał się również o modlitwę w intencji beatyfikacji Edmunda – z imprimatur bp. pomocniczego w Krakowie Albina Małysiaka. Powielił ją w tysiącach egzemplarzy i rozdawał w środowisku ludzi związanych z Kościołem w Austrii i w Polsce. Teraz rozdaje ją podczas pielgrzymek, które organizuje w ramach Polskiej Misji Katolickiej w Austrii. – Opowiadam o dr. Wojtyle i zachęcam do modlitwy za jego pośrednictwem. Sam też codziennie odmawiam tę modlitwę. I doświadczam pomocy Edmunda, jestem przekonany, że on działa. Dla mnie Edmund to człowiek święty, nie mam co do tego wątpliwości. Proszę zauważyć: miał on tylko 26 lat i całe życie przed sobą, był uznanym lekarzem, planował ślub z narzeczoną, a mimo to nie zawahał się, aby ratować drugiego człowieka. To szlachetna, samarytańska postawa, która wypływa z inspiracji chrześcijańskiej. Wiem też, że wielu ludzi z różnych państw na świecie też jest o tym przekonanych. Również tych, którzy otrzymali ode mnie tekst z modlitwą o jego beatyfikację.

Oto treść tej modlitwy:

„Boże, po trzykroć święty, Ty jesteś źródłem wszelkiej świętości.

Dziękujemy Ci za życie, służbę i świadectwo ewangeliczne lekarza, Edmunda Wojtyły. Jego śmierć w młodym wieku potwierdziła duchową dojrzałość tego syna wadowickiej ziemi. Prosimy Cię, dozwól, by został wyniesiony przez Kościół do grona błogosławionych. Jeśli taka jest Twoja wola, spraw, by przez Jego modlitwę została wysłuchana moja prośba zanoszona w intencji... (N.N.).

Pragniemy naśladować Edmunda w Jego oddaniu Chrystusowi w bliźnich.

Niech Jego przykład i wstawiennictwo wyprosi nam miłosierdzie Boże i nauczy nas pełnić czyny miłosierdzia".

JAK BÓG DA!

Jeżeli brat Jana Pawła II miałby kiedyś zostać wyniesiony na ołtarze, to z racji dobrowolnego oddania życia „dla".

– Można oddać życie „za" kogoś, umrzeć jakby w jego zastępstwie, jak o. Kolbe, ale można też oddać życie „dla" kogoś, także w imię miłości tak wielkiej, że zapomina się o sobie i o swoim bezpieczeństwie, byle tylko pomóc drugiemu. Taki właśnie był czyn Edmunda Wojtyły – podkreśla ks. Józef Naumowicz, notariusz w procesie beatyfikacyjnym bł. ks. Popiełuszki.

Ks. Stanisław Urbański, profesor teologii duchowości, dodaje: – Edmund w ciszy swego wnętrza żył miłością Boga, z której wypływała cała hierarchia jego życia chrześcijańskiego. Kochał Boga i dlatego realizował miłość bliźniego. Z miłości Boga wypływa bowiem miłość bliźniego. Na tym polega świętość.

Beatyfikację z tego powodu dopuszcza watykański dokument, według którego obok męczeństwa i heroiczności cnót powodem do beatyfikacji i kanonizacji może być heroiczne ofiarowanie życia. – Jest to trzecia procedura kanonizacyjna, zatwierdzona przez papieża Franciszka – tłumaczy o. Szczepan Praśkiewicz, karmelita bosy, relator watykańskiej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych.

Czy zatem Edmund Wojtyła zostanie wyniesiony na ołtarze z racji oddania życia?

Można jedynie odpowiedzieć słowami, jakie przy różnych okazjach lubił powtarzać św. Jan Paweł: „Jak Bóg da!".

***Dr Milena Kindziuk** jest adiunktem na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, autorką biografii m.in. „Emilia i Karol Wojtyłowie. Rodzice św. Jana Pawła II", „Matka papieża. Poruszająca opowieść o Emilii Wojtyłowej"*

eprasa.pl 9c4e90eb77

Czerpiemy z tego źródła

Szerokim echem rozeszła się informacja o śmierci Marii Mireckiej-Loryś. W mediach pisano, że „zmarła wielka Polka", „odeszła kobieta heros", straciliśmy ostatnią „komendantkę główną Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet". A prof. Jan Żaryn słusznie stwierdził, że „Pani Maria uosabiała swoim życiem cały dorobek II RP"

Miałem zaszczyt znać i wiele razy gościć panią Marię na Festiwalu NNW w Gdyni. Po raz ostatni widzieliśmy się 2 maja w Święto Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, czyli zaledwie na trzy tygodnie przed jej śmiercią. Pojechaliśmy do niej z artystą rzeźbiarzem Markiem Zalewskim, by pobrać odcisk dłoni, który umieścimy w powstającym panteonie polskich bohaterów. Zdążyliśmy. Wcześniej, mimo swoich 106 lat, była zawsze zabiegana i rozchwytywana przez młodzież. Pani Maria była jak zwykle pogodna, choć choroba dawała jej się we znaki. Jej przepełniony rodzinnymi fotografiami pokój był miejscem spotkań, podczas których raczyła swoich gości długimi, pasjonującymi opowieściami i... słodyczami, które zawsze czekały na stole.

Zdjęcie wykonane podczas ostatniego spotkania z Marią Mirecką-Loryś po wzięciu od niej odcisku dłoni

Gdy zaczynam snuć refleksje o jej długim ziemskim życiu, to niewątpliwie na pierwszy plan wyłania się ogromna potrzeba pomagania innym. W sercu najgłębiej miała potrzebujących na polskich kresach, z których wywodził się ród Mireckich. O tym opowiada film dokumentalny Ewy Szkalickiej „Przemytniczka Boża". Reżyserka zaprezentowała go podczas ostatniej edycji Festiwalu NNW w Gdyni. To bardzo trafny tytuł, ona naprawdę przemycała przedmioty i wydawnictwa związane z wiarą, gdy tam było to zakazane, a księżom zabraniano pełnienia posługi.

Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wspominała, że po ucieczce z Polski w grudniu 1945 r. namawiano ją, by wyjechała do Ameryki Południowej. Ona jednak, poznawszy swojego przyszłego męża Henryka Lorysia, oficera rezerwy z armii gen. Andersa, postanowiła większość życia spędzić w USA. Zamieszkali w Chicago, gdzie natychmiast zaangażowała się w życie i działalność środowisk polonijnych. Przez 32 lata redagowała „Głos Polek", działała w ZG Związku Polek w Ameryce, współkierowała pracami Kongresu Polonii Amerykańskiej, ale to, co dawało jej najwięcej radości, to nieustająca pomoc Polakom na Kresach Wschodnich.

Od ziem II Rzeczypospolitej dzielił ją ocean i ta pomoc nie byłaby zapewne tak skuteczna, gdyby nie jeden z jej braci. Bronisław Mirecki po cudownym ocaleniu z bitwy pod Zadwórzem w 1920 r. został kapłanem i wbrew zakazowi odprawiania mszy św. trwał na Kresach Wschodnich, będąc oparciem dla tysięcy wiernych. To właśnie za jego pośrednictwem pani Maria przemycała nie tylko pomoc finansową, ale i prasę katolicką, egzemplarze Biblii czy dewocjonalia. Dlaczego mówię o tej potrzebie pomocy? Bo to coś, co zostało z nią niemal do końca życia. We wspomnianym filmie widzimy bowiem panią Marię, wówczas 100-letnią kobietę, która jedzie z darami na teren obecnej Ukrainy.

Kiedy zastanawiam się, gdzie upatrywać siły w dzianiu pani Marii, to trzeba szerszej spojrzeć na całą rodzinę Mireckich. Każde z jej rodzeństwa (było ich ośmioro) zasługuje na odrębny film. Ks. Bronisław – niezłomny kapłan, brat Adam – żołnierz wyklęty, zamordowany na Rakowieckiej i szczęśliwie odnaleziony przez zespół prof. Szwagrzyka, czy brat Leon, który jako jedyny zdecydował się pozostać w kraju. Ceną było wieloletnie więzienie, ostatecznie stał się legendą ruchu narodowego w kraju.

Jesienią ubiegłego roku podczas festiwalu uhonorowaliśmy panią Marię nagrodą Źródło. To statuetka wręczana osobom albo – lepiej powiedzieć – osobowościom, które swoją postawą potrafią innych zainspirować do działania, tworzenia, dzielenia się dobrem z innymi. Ona potrafiła jak mało kto. Wszyscy z tego źródła przez lata korzystaliśmy i jestem pewien, że będziemy korzystać nadal.

Po pobraniu odcisku dłoni i nagraniu przez moją córkę Polę krótkiego filmiku (być może to ostatnie nagranie pani Marii) przyszło nam się pożegnać. Dzielna kobieta na koniec zaśpiewała nam harcerską piosenkę, której refren, patrząc na jej życie, na pewno nie był przypadkowy. Ona nam po prostu wskazała, jak mamy żyć.

Ramię pręż, słabość krusz!
Ducha tęż, Ojczyźnie miłej służ!

Arkadiusz Gołębiewski

Autor jest dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Niepokorni Niezłomni Wyklęci w Gdyni

Fot. Arkadiusz Gołębiewski

eprasa.pl 9c4e90eb77

Wiatr od morza impulsem dla gospodarki

Inwestycje w morskie farmy wiatrowe na Bałtyku umożliwią transformację polskiej energetyki. Stwarzają także szanse rozwoju lokalnych firm i całej gospodarki. To główne wnioski z debaty zorganizowanej w ramach Forum wGospodarce.pl, a zatytułowanej „Odnawialne źródła energii w obliczu wyzwań bezpieczeństwa energetycznego – perspektywy rozwoju energetyki wiatrowej i offshore w Polsce i Unii Europejskiej"

eprasa.pl 9c4e90eb77

W debacie zorganizowanej przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria rząd reprezentowali wiceminister klimatu i środowiska Ireneusz Zyska i Grzegorz Witkowski, wiceminister infrastruktury. W debacie uczestniczyli także przedstawiciele firm przygotowujących inwestycje na Bałtyku: Anna Łukaszewska-Trzeciakowska, prezes Baltic Power i dyrektor Biura Morskich Farm Wiatrowych PKN Orlen, Michał Kołodziejczyk, prezes Equinor Polska, oraz Paweł Śliwa, wiceprezes ds. innowacji PGE Polskiej Grupy Energetycznej, a także eksperci: Ryszard Gburek – dyrektor zarządzający Pionem Klientów Strategicznych BOŚ oraz Arkadiusz Krasnodębski – partner zarządzający Dentons.

Fot. Andrzej Wiktor

Wszyscy byli zgodni co do tego, że obecna sytuacja geopolityczna – wojna na Ukrainie i program RePowerEU – spowoduje przyspieszenie zielonej rewolucji w Europie, czyli odejście od paliw kopalnych. Podkreślali konieczność sprawnej realizacji projektów budowy polskich farm wiatrowych na Bałtyku ze względu na ich znaczenie dla bezpieczeństwa energetycznego kraju.

STRATEGIA ADEKWATNA DO SYTUACJI

Wiceminister Ireneusz Zyska zapowiedział w czasie debaty, że rząd przygotuje aktualizację dokumentu „Polityka energetyczna Polski do 2040 r." i trwają nad nią właśnie prace.

– Najważniejszym filarem tej krajowej strategii jest suwerenność energetyczna, a ta oznacza zapewnienie odbiorcom stabilnych dostaw energii po akceptowalnej cenie. Dlatego jak najwięcej energii musimy wytwarzać na miejscu – w kraju, by nie być w żaden sposób uzależnionymi od importu – mówił wiceminister Zyska. – Bardzo duże znaczenie będą mieć źródła odnawialne, nie tylko słońce i wiatr, ale także energetyka oparta na biogazie i biometanie, które mamy na miejscu.

Dyrektor Ryszard Gburek z Banku Ochrony Środowiska podkreślał w czasie debaty znaczenie inwestycji w odnawialne źródła, i to w jak najszerszym zakresie. – Różnorodność źródeł energii jest konieczna, dzięki niej cały system uzyska odporność na kryzysy i takie sytuacje jak obecnie – dodał.

Aktualizacja PEP 2040 będzie uwzględniać nową sytuację na rynku surowcowym i wnioski z doświadczeń z ubiegłych lat, gdy Polska była uzależniona od dostaw z Rosji, zwłaszcza gazu ziemnego. Ministerstwo Klimatu i Środowiska zwraca uwagę, że zarówno gaz, jak i węgiel będą paliwem przejściowym w polskim miksie energetycznym.

Prezes Anna Łukaszewska-Trzeciakowska podkreśliła, że nowe bloki gazowe są polskiej energetyce potrzebne, by stabilizować odnawialne źródła energii.

– Cała Europa rozumie konieczność stabilizowania OZE energetyką konwencjonalną, a dla PKN Orlen, jako koncernu multienergetycznego, ważny jest zrównoważony bilans, czyli miks, w którym jest miejsce dla źródeł odnawialnych, w tym przede wszystkim morskich farm wiatrowych stabilizowanych blokami gazowymi – mówiła w czasie debaty.

Wiceminister klimatu i środowiska Ireneusz Zyska mówił o „ekonomicznym i racjonalnym przygotowaniu do zmian w energetyce" i zapowiedział, że zwiększając istotnie potencjał OZE, Polska będzie potrzebować zarówno bloków gazowych, jak i węglowych – do czasu zastąpienia węgla energetyką jądrową. W związku z tym wiceminister klimatu zapowiedział, że polski rząd zamierza wystąpić do Komisji Europejskiej o zgodę na dłuższy okres wykorzystywania węgla kamiennego i brunatnego w produkcji energii i tzw. programu Bloki 200+.

Chodzi o plan modernizacji i wydłużenie czasu pracy starszych bloków węglowych o mniejszej mocy – 200 MW (stąd nazwa) tak, by mogły stabilizować bezpieczeństwo energetyczne kraju, gdy OZE trudno sterować. (Zmodernizowane bloki mają lepszą sprawność wytwarzania energii elektrycznej, i to nawet gdy pracują z niskim obciążeniem).

Wiceprezes PGE Paweł Śliwa mówił w czasie debaty, że wydłużenie czasu pracy bloków o mocy 200 MW jest bardzo ważne dla całego krajowego systemu.

– Jednak gdyby okazało się, że unijna polityka dotycząca handlu emisjami – EU ETS – wprowadzi rozwiązania niekorzystne dla istnienia bloków węglowych, a koszty zakupu pozwoleń będą jeszcze rosnąć, to ich modernizacja i dalsze wykorzystywanie w Polsce nie będzie miało sensu – stwierdził.

Wiceminister Zyska uważa, że transformacja energetyczna przyspiesza w Europie, a więc i w Polsce to konieczność cywilizacyjna, tym bardziej że chodzi także o poprawę konkurencyjności polskiej gospodarki. Udział odnawialnych źródeł energii w miksie energetycznym kraju będzie i musi rosnąć w kolejnych latach.

Polska ma obecnie w planach inwestycje, dzięki którym za trzy lata moce wytwórcze OZE osiągną poziom 28 GW, a w 2030 r. – 50 GW. Zdaniem prezesa

eprasa.pl 9c4e90eb77

Equinor Polska zapisany w „Polityce energetycznej Polski do 2040 r." cel osiągnięcia 11 GW mocy z morskich farm wiatrowych powinien zostać zmodyfikowany i zwiększony. – Obecne plany zakładają wykorzystanie tylko niewielkiej części potencjału, jaki daje nam Bałtyk. I można to zmienić w ramach aktualizacji planu zagospodarowania obszarów morskich – wskazywał Michał Kołodziejczyk.

BĘDZIE WIĘCEJ?

Szczególne znaczenie dla rozwoju źródeł odnawialnych ma budowa farm wiatrowych na Bałtyku ze względu na ich skalę. Obecnie krajowe firmy przygotowują się do budowy systemu o mocy 11 GW. Ale Ministerstwo Infrastruktury analizuje potencjał inwestycyjny i może się okazać znacznie większy – nawet 20 GW.

Wiceminister Grzegorz Witkowski uważa, że nasz kraj musi dostosować się do wyzwań, które z jednej strony stwarza nowa sytuacja geopolityczna, a z drugiej – przyspieszenie transformacji energetycznej. – Polska musi wykorzystać swoje położenie i fakt, że jesteśmy krajem nadmorskim – mówił w czasie debaty. – Są duże możliwości i potencjał rozwoju morskich farm wiatrowych, bo mamy do dyspozycji 1000 kmkw. naszych wód.

Zdaniem wiceministra Witkowskiego w nowej sytuacji geopolitycznej Polska zmienia kierunek zainteresowania i współpracy.

– Przez lata kolejne rządy patrzyły i na oś wschód–zachód i na niej były skoncentrowane, ostatnio jednak dostrzegamy znaczenie współpracy z północą i południem kontynentu i w tym kontekście zapoczątkowana przez śp. prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego idea Trójmorza okazała się wyjątkowo trafna i nieoceniona – mówił w czasie debaty wiceminister infrastruktury. – Wojna na Ukrainie tylko przyspieszyła kluczowe decyzje związane z tym projektem.

Wiceminister Witkowski porównał program budowy farm wiatrowych na Bałtyku do realizowanych ze wsparciem państwa takich przedsięwzięć jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego lub przekop Mierzei Wiślanej. – To wielkoskalowe inwestycje, które zmieniają gospodarkę, i polski rząd na pewno nie będzie szczędził na te cele pieniędzy – dodał Grzegorz Witkowski.

Partner zarządzający kancelarii Dentons Arkadiusz Krasnodębski uważa, że realizacja inwestycji MFW to wielka szansa na „prawdziwy skok w transformacji energetycznej Polski". Jego zdaniem wraz z postępem technologicznym wzrasta sprawność i przewidywalność pracy morskich wiatraków. A to może oznaczać, że staną się istotnym elementem pracy systemu elektroenergetycznego w paśmie podstawowym.

> Budowa farm wiatrowych na Bałtyku ze względu na ich skalę ma ogromne znaczenie dla rozwoju OZE. Obecnie krajowe firmy przygotowują się do budowy systemu o mocy 11 GW. Ale Ministerstwo Infrastruktury analizuje potencjał inwestycyjny – nawet do 20 GW

LOCAL CONTENT, CZYLI SZANSA DLA POLSKICH FIRM

Uczestnicy debaty omówili także główne uwarunkowania realizacji inwestycji i wyzwania z tym związane, a także szanse dla krajowej gospodarki, które stwarza realizacja tak ogromnych przedsięwzięć.

Zdaniem wiceministra infrastruktury Grzegorza Witkowskiego, podejmując kierunkowe decyzje o budowie farm na Bałtyku, rząd oczekuje, że umożliwią zaangażowanie polskich przedsiębiorstw na każdym etapie prac i dadzą impuls rozwojowy także lokalnym firmom.

– Zależy nam na jak największym wykorzystaniu rodzimego potencjału, chcemy, by porty instalacyjne były na polskim wybrzeżu – w Łebie, Trójmieście czy Świnoujściu, nie zaś na Bornholmie, a punktem odbioru stało się Choczewo – mówił Grzegorz Witkowski. – Mamy także stocznie i państwowe spółki, jak choćby Lotos Petrobaltic, które powinny pokusić się o posiadanie statków serwisowych.

Obecni na debacie przedstawiciele firm PKN Orlen, PGE i Equinor, które przygotowują się do budowy morskich farm wiatrowych, zapewnili, że wykorzystanie rodzimych firm w całym procesie inwestycyjnym jest niezwykle istotne.

– Budowa farm na Bałtyku to projekt długofalowy, zatem i zaangażowanie krajowych firm na różnych etapach, nie tylko budowy, ale i eksploatacji, będzie trwało wiele – nawet 30 lat – mówił wiceprezes PGE Paweł Śliwa. – Wprawdzie nasi duńscy partnerzy oferują nam własne rozwiązania, ale jako firma także staramy się zdobywać innych partnerów i np. zawieramy bezpośrednie umowy na budowę statków.

Jego zdaniem w pierwszej fazie realizacji morskich farm wiatrowych na Bałtyku trudno będzie osiągnąć bardzo wysoki poziom – np. 60 proc. – udziału krajowych firm, ale w drugiej fazie jest osiągalny. – Jako inwestor mamy oczywiście wiele celów, ale do kluczowych zaliczamy terminowe uruchomienie farm i wykorzystanie potencjału rodzimych firm – dodał wiceprezes PGE.

Arkadiusz Krasnodębski porównał firmy inwestujące w MFW do Champions League.

– To na świecie ledwie kilkunastu graczy z ogromnym know-how i wielkimi pieniędzmi, tym bardziej więc udział polskich firm w takich projektach należy do polskiej racji stanu – dodał.

Prezes Baltic Power z Grupy Orlen Anna Łukaszewska-Trzeciakowska uważa, że potencjał, jaki dają inwestycje w offshore, zmieni trwale polską energetykę i krajową gospodarkę.

– Inwestycje na Bałtyku znacznie przyczynią się do transferu technologii, a tym samym rozwoju polskich firm oraz regionów nadmorskich – mówiła. – Mamy umowę o współpracy z GE, której jednym z warunków realizacji jest zaangażowanie w rozwój polskich przedsiębiorstw.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Wiadomo już, że w Łebie powstanie port serwisowy na potrzeby naszej pierwszej morskiej farmy wiatrowej.

Prezes Baltic Power zapowiedziała, że PKN Orlen przygląda się rozwojowi energetyki wiatrowej również w innych krajach, np. bałtyckich. – Potencjał Litwy czy Łotwy jest znaczący, dlatego dla nas to naturalne kierunki przyszłych projektów offshore – dodała.

Anna Łukaszewska-Trzeciakowska wskazała także na wyzwania, które stoją przed inwestorami, jak choćby złożoność procedur i wysokie wymagania wobec niezbędnych pozwoleń na realizację inwestycji. Do wyzwań zaliczyła terminowe wykonanie kolejnych etapów prac.

– Istotne jest, aby porty instalacyjne powstały na czas. Równolegle realizowanych jest kilka inwestycji. Może okazać się, że opóźnienia u jednego dewelopera spowodują też opóźnienia u innych – dodała prezes.

Jej zdaniem sukces pierwszej fazy zależeć będzie od tego, jak ostatecznie projekty „zepną się finansowo". W obecnej sytuacji rynkowej i makroekonomicznej zawarte kontrakty długoterminowe (CfD) obarczone są coraz większym ryzykiem. Uważnie obserwujemy również łańcuchy dostaw – mówiła Anna Łukaszewska-Trzeciakowska.

Partner zarządzający Dentons Arkadiusz Krasnodębski pozytywnie ocenił dotychczasowe przygotowania do realizacji pierwszej fazy inwestycji, szczególnie w kontekście długoterminowych kontraktów różnicowych, czyli dozwolonej pomocy publicznej, która była warunkiem uruchomienia tych inwestycji. – Sukces pierwszej fazy projektu spowoduje, że będzie można przejść do kolejnych i systemu aukcji koniecznego do zapewniania równowagi odbiorców energii i inwestorów MFW – dodał.

Dyrektor Ryszard Gburek wskazał na złożoność projektów, takich jak morskie farmy wiatrowe. – Najprostsze do sfinansowania są małe lokalne projekty OZE, zwłaszcza jeśli inwestorzy mają umowy na przyłączenie do sieci, wtedy i ryzyko inwestycyjne jest niższe – mówił. I przypomniał, że Bank Ochrony Środowiska specjalizuje się w finansowaniu projektów ekologicznych. Powołał także specjalny zespół ekologów, by móc trafniej oceniać i rozumieć ewentualne ryzyka związane z inwestycjami w OZE.

– W naszym portfelu kredytowym mamy blisko 40 proc. zielonych aktywów, a ambicją banku jest wzrost do 50 proc. – mówił dyrektor Ryszard Gburek. – Pod koniec 2021 r. BOŚ zdecydował się też na udział w programie emisji zielonych obligacji firmy Famur, w przeszłości pracującej przede wszystkim na potrzeby górnictwa. Przykład nowej strategii tej spółki to realny dowód na postępującą zieloną transformację polskiej gospodarki – dodał.

CZERPIĄC Z DOŚWIADCZEŃ POTENTATÓW

Goście debaty uznali, że polskie firmy powinny wyciągnąć wnioski z doświadczeń innych krajów w inwestycjach offshore i skorzystać z najlepszych wzorców.

– Uruchamiając te procesy nieco później niż inne kraje, możemy czerpać z ich najlepszych doświadczeń i uniknąć wielu błędów – mówił Arkadiusz Krasnodębski. – Dotyczy to chociażby przygotowywania systemu regulacji, który w Polsce inwestorzy oceniają pozytywnie. Mamy dobrą agendę i pomysł, ale warto czerpać z doświadczeń innych. By osiągnąć sukces, istotne są wykorzystanie najlepszych praktyk, sprawne regulacje i dobre przygotowanie inwestycji. Kluczowe będzie teraz uzyskanie finansowania dla projektów MFW i warto działać szybko, bo mamy do czynienia z wieloma czynnikami zewnętrznymi, od rosyjskiej agresji na Ukrainie do rosnącej właściwie globalnie inflacji, które przez podmioty finansujące są postrzegane jako czynniki ryzyka, podrażające koszt pieniądza. Ta niepewność nie zniknie szybko – dodał.

Zdaniem wiceprezesa PGE Pawła Śliwy polskie firmy z sektora energetyki na razie nie mają doświadczeń w budowie morskich farm wiatrowych. Dlatego w przypadku pierwszej fazy rozwoju morskich farm wiatrowych naturalnym i rozsądnym podejściem było zaproszenie do współpracy zagranicznego partnera o bogatym doświadczeniu.

– PGE ma najlepszy serwis w dziedzinie budowy parków wiatrowych na lądzie i chcemy taki sam uzyskać jako inwestor morskich farm – mówił w czasie debaty. – Do współpracy przy realizowanym największym projekcie morskich farm wiatrowych w polskiej części Morza Bałtyckiego wybraliśmy duński Orsted jako partnera. To sprawdzony sposób pozyskiwania kompetencji na przyszłość, przy czym odpowiedzialność i decyzyjność rozkładają się po równo między partnerami JV. Pod wieloma względami wykorzystamy synergie płynące ze współpracy: wspólny zespół projektowy, wspólne aplikowanie o dane obszary, wspólne przygotowanie przetargów, wspólne wydarzenia dla dostawców i podwykonawców.

Paweł Śliwa zapowiedział, że PGE, mając długofalowy plan inwestycji w MFW, w kolejnych jego etapach będzie podejmować współpracę z polskimi podmiotami państwowymi.

JAK TO ROBIĄ INNI

Prezes Equinor Polska wskazał na rosnące zainteresowanie w Europie budową wiatraków i plany ogłaszane przez kolejne państwa.

– Dania, Holandia, Belgia i Niemcy porozumiały się w sprawie wspólnych inwestycji na Morzu Północnym – o mocy 150 GW w perspektywie do 2050 r., Norwegia ma w planach budowę 30 GW mocy do 2040 r., a w Wielkiej Brytanii na ukończeniu jest nasz projekt Dogger Bank – 3,6 GW, który będzie największą budowaną obecnie morską farmą wiatrową na świecie – mówił prezes Michał Kołodziejczyk.

I przypomniał, że lista projektów MFW w Europie wydłuża się i w tym kontekście powstaje pytanie, czy nasz rynek będzie konkurencyjny wobec innych inwestycji za granicą.

Prezes Kołodziejczyk wskazał na fakt, że ze względu na znaczenie projektów offshore dla zielonej transformacji w Europie Zachodniej inwestorzy mogą liczyć na pewne ułatwienia. Podał przykład Wielkiej Brytanii, gdzie zwiększono cel inwestycji do 50 GW mocy, ale równocześnie skrócono procedury związane z uzyskiwaniem niezbędnych pozwoleń – z czterech lat do roku.

– W Polsce regulacji jest zbyt wiele, ich uproszczenie jest konieczne, by dotrzymać harmonogramu prac – dodał prezes Equinor Polska.

Oprac. ***Agnieszka Łakoma***

68/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

Davos: czyli wojna kosztuje, ale ekologia również, a o nowe miejsce Polski w logistyce trzeba walczyć

W Davos mogliśmy usłyszeć również bezpośrednio od wicepremiera, ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, że w sensie logistycznym, jesteśmy przygotowani, by stać się centrum produkcyjnym i przejąć rolę, którą odgrywały do tej pory inne kraje, przede wszystkim Chiny. Mamy również znakomitych fachowców, którzy w tym procesie mogą uczestniczyć. Wystąpienie wicepremiera Sasina w Domu Polskim w Davos było wprowadzeniem do spotkania pod tytułem „Rola Europy Środkowo-Wschodniej w globalnych łańcuchach dostaw i na mapie centrów kompetencyjnych". Wnioski z tego panelu? Wiele firm z całego świata szuka partnerów handlowych właśnie w Europie Centralnej i jest to ogromna szansa dla polskich przedsiębiorców, a także podmiotów inwestujących w Polsce. W debacie wzięli udział przedstawiciele największych firm na świecie, m.in. Google Cloud, Honeywell, IBM czy polskich liderów rynku, jak Bank Pekao, Asseco, KGHM czy Pesa.

– W pandemii widzieliśmy zaburzenia globalnych łańcuchów dostaw. Patrzymy na to jednak jako na szansę. Dostrzegamy jasne strony tego procesu, ponieważ dla polskich małych i średnich firm to również możliwość wzmocnienia relacji z zachodnimi partnerami. Oni szukają partnerów u nas, ponieważ wiedzą, jak ważne jest mieć bezpieczne i nieodległe łańcuchy dostaw. To szansa dla polskiej gospodarki. Oferta Polski dla Zachodu to kompetencje, wykształceni menedżerowie, wiele ciekawych start-upów i polscy pracownicy, którzy są kompetentni i otwarci na świat – mówił w wystąpieniu w Domu Polskim w Davos prezes Skiba.

Rok 2022 to czas, w którym obserwujemy punkt zwrotny dla całego regionu Europy Centralnej, także dla Polski. Pandemia wyhamowała, a przynajmniej taką mamy nadzieję. Rozpoczęła się wojna na Ukrainie, ale niezależnie od tego to ciągle czas transformacji cyfrowej, energetycznej i ekonomicznej, co determinuje przyszłość Europy Centralnej. Ten proces ma związek z globalnymi łańcuchami dostaw. To do nas, do Polski i naszego regionu, przesuwają się centra kompetencyjne. To motor naszego wzrostu – mówił podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos Leszek Skiba, prezes Banku Pekao

Jak zauważył prezes Banku Pekao, z jednej strony można zaobserwować wzrost popytu na polskie i środkowoeuropejskie produkty, a z drugiej strony – wysoką inflację, wynikającą przede wszystkim ze wzrostu cen energii. Ale przede wszystkim widać, że wojna na Ukrainie, zaraz po pandemii, to kolejny czynnik, który sprawia, że wiele firm szuka partnerów handlowych w naszej części kontynentu.

– Przedstawiciele globalnych gigantów, takich jak Google czy IBM, mówili, że można w Polsce znaleźć osoby o znakomitych kompetencjach. Z tego powodu, wiele firm poszukuje możliwości, by otworzyć tutaj swoje centra kompetencyjne – dodał prezes Banku Pekao. Ale wskazał też na pewne zagrożenia. – Z drugiej strony dostrzegamy ryzyka: związane z agresją Rosji na Ukrainę, czyli postrzeganie Polski jako kraju potencjalnie zagrożonego wojną. To jest niezmiernie ważne, żebyśmy walczyli z tego typu percepcją, bo przecież jesteśmy bezpieczni. Wojna jest daleko od Warszawy – mówił Leszek Skiba.

Według niego żyjemy w świecie, w którym widać ogromne szanse na dalszy wzrost gospodarczy Polski.

Ale wyzwań jest więcej. Eksperci Banku Pekao wyliczają, że aby sprostać wymogom zielonej transformacji polski sektor energetyczny potrzebuje 1,3–1,7 bln zł inwestycji do 2030 r.

– To wysiłek porównywalny z odbudową Polski po II wojnie światowej – uważa Paweł Strączyński, wiceprezes Banku Pekao ds. finansowych, który wziął udział w panelu „Dywersyfikacja energetyczna w Europie: jak alternatywne źródła i czyste technologie mogą zwiększyć bezpieczeństwo energetyczne". Według niego projekty nisko- i zeroemisyjne stanowią przy-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 49/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

szłość polskiej energetyki. – Nikt nie jest dziś gotowy do inwestowania w stare technologie, bo nie wpisują się one w światowe projekty energetyczne – mówił prezes Strączyński.

Potrzebne są inwestycje w infrastrukturę energetyczną, budowę nowych źródeł energii, a także w sieci dystrybucyjne, zarówno prądu, gazu, jak i wodoru. Jak ocenia Paweł Strączyński, powinna powstać infrastruktura związana z transportem i przetwórstwem paliw oraz magazynowaniem energii. Nie będą to jednak wyłącznie inwestycje spółek Skarbu Państwa czy podmiotów państwowych. Przedstawiciel Banku Pekao wskazuje tu np. obecne procesy dziejące się wokół morskich farm wiatrowych w Polsce.

– Kolejka prywatnych inwestorów jest bardzo długa – mówił prezes Strączyński. Zaznaczył, że inwestycje w nowoczesny sektor energetyczny są atrakcyjne dla firm czy banków pod wieloma aspektami, choćby ze względu na wpisywanie się w trend promowania działań ESG. – W Polsce polityka ESG zaczyna dopiero funkcjonować, ale dostajemy już wyraźne sygnały, jeśli chodzi o instytucje finansujące z Europy czy ze świata, że bez względu na atrakcyjność ekonomiczną Polski nie będą angażowały się w lokalne inwestycje, które nie wpisują się w ich polityki ESG – mówił. Jak dodał, z symulacji banku wynika, że nawet w sytuacjach skrajnych projekty rozwiązań nisko- i zeroemisyjnych przynoszą bardzo zadowalające stopy zwrotu zarówno dla inwestorów, jak i dla sektora bankowego.

Nie zmienia to faktu, że zieloną transformację będą musiały sfinansować przede wszystkim banki. Jak zgodnie przyznali paneliści debaty pt. „Rola instytucji finansowych w transformacji energetycznej", zielona transformacja jest szczególnie ważna m.in. przez konieczność natychmiastowego uniezależnienia się od surowców z Rosji. To największe wyzwanie, ale zarazem szansa. Rynki kapitałowe ostrzegają, że zagraniczny kapitał będzie omijać nieekologiczne projekty, za to coraz chętniej fundusze inwestycyjne będą dołączać do zielonych inwestycji. To też ważne choćby dlatego, że sam sektor bankowy nie udźwignie wszystkich zielonych inwestycji w Polsce.

– W skali globalnej w ciągu dwóch dekad wydatki na inwestycje w zeroemisyjne źródła energii zwiększą się z obecnych 300 do 800 mld dol. rocznie. Sama Unia Europejska ma jeszcze bardziej ambitne cele, ponieważ chce zredukować emisję CO_2 o 55 proc. do 2030 r., a następnie osiągnąć pełną zeroemisyjność. Żeby to zrealizować, będzie musiała inwestować w transformację energetyczną nawet do 350 mld euro rocznie – zauważył Jerzy Kwieciński, wiceprezes zarządu Banku Pekao, nadzorujący Pion Bankowości Korporacyjnej, Rynków i Bankowości Inwestycyjnej.

W nowej, zielonej układance Polska jest bardzo ważna. Zwłaszcza że jest w pierwszej piątce państw członkowskich UE pod względem liczby ludności i jedynym krajem w tym gronie, który był za „żelazną kurtyną" i wciąż musi nadrabiać dystans dzielący go od krajów zachodnioeuropejskich. Jerzy Kwieciński szacuje, że inwestycje na rzecz unijnych celów klimatycznych nad Wisłą wyniosą rocznie ok. 100 mld zł. To olbrzymia kwota. Cały polski sektor bankowy generuje ok. 150 mld zł na potrzeby kredytowe firm, z czego jedna trzecia to kredyty inwestycyjne.

– To pokazuje, jak olbrzymią rolę będzie odgrywać sektor bankowy we wspieraniu procesu transformacji energetycznej – powiedział Jerzy Kwieciński. – W Banku Pekao dostrzegamy potencjał branży energii odnawialnej, perspektywy jej dynamicznego wzrostu i atrakcyjność dla inwestorów. Dlatego chcemy wziąć aktywny udział w finansowaniu transformacji energetycznej w Polsce. W naszej strategii do 2024 r. zadeklarowaliśmy wzrost udziału zielonego finansowania, obejmującego m.in. farmy wiatrowe, instalacje fotowoltaiczne, niskoemisyjny transport czy ekologiczne budownictwo do ponad 4 proc. portfela bilansowego banku – dodał.

Kwieciński podkreślił, że Bank Pekao od dłuższego czasu jest zaangażowany w realizację projektów zwiększających udział zeroemisyjnych źródeł w polskim miksie energetycznym, jak choćby przy umowie kredytowej na finansowanie największej w Polsce farmy fotowoltaicznej o mocy 70 MWp z PAK-PCE Fotowoltaika czy emisję zielonych obligacji PKN Orlen, pozwalających koncernowi zrealizować wiele inwestycji w zeroemisyjność. Bank Pekao planuje osiągnąć własną neutralność klimatyczną do 2030 r.

Maksymilian Wysocki

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9c4e90eb77

Polska atrakcyjna dla biznesu mimo wojny za miedzą

Pośród wielu bardzo różnych wyzwań, które naświetlono podczas tegorocznego Światowego Forum Ekonomicznego, liderzy biznesu zmierzyli się również z zagadnieniem przyciągania inwestycji do naszego regionu. Poświęcono temu panel pt. „Czego potrzeba, by przyciągać nowych inwestorów do Europy Środkowo-Wschodniej?", zorganizowany w Domu Polskim w Davos

Jak wskazywał premier Mateusz Morawiecki, otwierając panelową dyskusję, polski PKB wzrósł o niemal 860 proc. między 1990 a 2020 r. To drugi najlepszy taki wynik na świecie, zaraz po Chinach. – Jednocześnie wraz z takim wzrostem gospodarczym udaje nam się w Polsce niwelować różnice między najbogatszymi a najbiedniejszymi, a to właśnie jest jednym z głównych współczesnych wyzwań, o którym dyskutuje się w Davos. Według ostatnich badań od 2004 r. różnice w dochodach w Polsce zmalały i ta dysproporcja była u nas w 2018 r. mniejsza niż w Niemczech czy we Francji – podkreślał premier Morawiecki. – Jesteśmy dziś już dojrzałą gospodarką, ale nadal z dużym apetytem na dalszy szybki wzrost. Google zainwestował w Polsce ostatnio 1 mld dol. Światowi liderzy technologii widzą, że Polska ma jednych z najlepiej wykwalifikowanych specjalistów na świecie. W 1989 r. zaczynaliśmy z kieszeniami pełnymi tylko marzeń, a dziś mamy Wiedźmina, Igę Świątek i Roberta Lewandowskiego – to właśnie jest opowieść o polskiej ambicji, również tej ekonomicznej – mówił premier.

NA PRZEKÓR PANDEMII

Słowa Mateusza Morawieckiego potwierdzają dane o rekordowym w 2021 r. napływie do Polski bezpośrednich inwestycji zagranicznych. Ich poziom przewyższył znacznie nawet ten sprzed pandemii. Maciej Rapkiewicz, członek zarządu PZU odpowiedzialny za zarządzanie ryzykiem, wyjaśnia, że inwestorzy, podejmując decyzję o tym, gdzie ulokować kapitał, szukają m.in. stabilnego środowiska ekonomicznego, zwłaszcza w sytuacji, gdy ostatnio globalna gospodarka jest poddawana tylu niespodziewanym wstrząsom. – Polska wraz z innymi krajami regionu spełnia to wymaganie. Jeśli porównamy PKB państw UE z IV kw. 2019 r., a więc ostatniego okresu przed pandemią, z I kw. tego roku, to na pierwszy rzut oka widać, że w europejskiej czołówce lokują się kraje z naszego regionu – mówi członek zarządu PZU.

Jak dodaje, sama wielkość polskiego rynku często jest postrzegana jako przewaga w ściąganiu inwestycji. Oprócz tego ostatnie dziesięciolecia to niebywały rozwój infrastruktury drogowej i lotniczej oraz modernizacja sieci kolejowej, a to właśnie logistyka jest oczkiem w głowie wielu inwestorów. Do tego dochodzi stabilny i nieprzerwany wzrost gospodarczy względem krajów starej Unii, a także naszych sąsiadów, który pokazuje potencjalnym inwestorom, że lokując pieniądze w Polsce, mogą liczyć na zyski. – Atutem, który nie sposób pominąć, jest też prężne działanie agencji rządowych, ułatwiających zakładanie i prowadzenie biznesu przez obcokrajowców – mówi Maciej Rapkiewicz.

SZANSA W DEGLOBALIZACJI ŁAŃCUCHÓW PRODUKCJI I DOSTAW

Uczestnicy dyskusji w Davos zastanawiali się nad tym, czy i jak na postrzeganie dziś Polski i naszego regionu przez inwestorów może wpłynąć wojna na Ukrainie.

Jak wskazuje członek zarządu PZU, inwestorzy przed podjęciem decyzji analizują różne ryzyka, mogą być wśród nich również czynniki geopolityczne. Niektórzy mogą sądzić, że w obliczu wojny na Ukrainie nasz region cechuje się deficytem bezpieczeństwa. – Jednak w mojej ocenie przynależność Polski i innych państw regionu do NATO jest czynnikiem mitygującym potencjalne zagrożenia na tym polu. Artykuł 5 traktatu północnoatlantyckiego w połączeniu z coraz silniejszą obecnością wojsk sojuszu w regionie dają nam realne gwarancje bezpieczeństwa – tłumaczy Maciej Rapkiewicz.

Jego zdaniem ostatnie lata zaburzeń i niepewności mogą wręcz sprzyjać wzrostowi atrakcyjności naszego regionu. – Sytuacja na świecie może sprzyjać zmianie podejścia do mitygacji ryzyka związanego z naruszeniem łańcucha dostaw. Dzięki temu kolejne duże firmy mogą otwierać się coraz częściej na możliwości przenoszenia działalności np. z Azji właśnie do naszego regionu. Dodatkowo mogą w ten sposób ograniczać ryzyka związane z pozaeuropejską logistyką i sytuacjami takimi jak np. blokada Kanału Sueskiego przez kontenerowiec Ever Given. Pamiętajmy też, że tania siła robocza, do tej pory będąca jedną z głównych azjatyckich przewag konkurencyjnych, odgrywa coraz mniejszą rolę. Inwestorów coraz częściej interesuje dostępność do wykwalifikowanej kadry pracowników, a państwa naszego regionu taką zapewniają – przekonuje członek zarządu PZU.

Maksymilian Wysocki

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 30/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

Jak sektor finansowy powinien wspierać transformację energetyczną

Jak można stwierdzić po panelu pt. „Definiowanie roli instytucji finansowych w transformacji energetycznej", który odbył się w Domu Polskim podczas Światowego Forum Ekonomicznego, przeprowadzenie procesu proklimatycznej przemiany polskiej gospodarki będzie wymagało bilionów złotych

Tomasz Kulik, członek zarządu i CFO Grupy PZU

Proces transformacji w przemyśle wydobywczym, energetyce i innych sektorach nie będzie więc możliwy bez poważnego zaangażowania instytucji, które zapewnią finansowanie niezbędnych inwestycji. O tym, w jakiej formie najlepiej udzielać tego wsparcia, jakie warunki są do tego potrzebne i czy Polska może stać się regionalnym liderem „zielonej" zmiany, dyskutowali w Davos przedstawiciele największych polskich banków, największego ubezpieczyciela, a także Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju oraz Funduszu Trójmorza.

– Mówiąc o transformacji energetycznej, myślimy nie tylko o ogromnych kwotach potrzebnych inwestycji, ale też o tym, co my sami jako firma powinniśmy robić w tym kierunku. Mamy na tym polu wiele osiągnięć w ostatnich dwóch latach. To przede wszystkim znaczące redukcje naszych emisji i zużywanej przez Grupę PZU energii oraz zmiana struktury jej źródeł na OZE. Zachęcamy również naszych partnerów do udziału w tym procesie, oferując im ciekawe produkty ubezpieczeniowe, które wspierają transformację. Zależy nam również na tym, by wszyscy nasi kontrahenci jak najszybciej stali się neutralni, jeśli chodzi o emisje CO_2, dlatego współpracujemy już z wieloma podmiotami nad podniesieniem ich wrażliwości dotyczącej tych elementów ich działalności, które wpływają na tworzenie śladu węglowego – mówił podczas panelu Tomasz Kulik, członek zarządu i dyrektor finansowy Grupy PZU.

Ostatnio PZU wprowadził np. unikatowe na rynku ubezpieczenia PZU Energia Wiatru i PZU Energia Słońca przeznaczone dla klientów korporacyjnych, posiadających farmy wiatrowe lub słoneczne, oraz PZU Eko Energia dla klientów indywidualnych, gospodarstw rolnych czy małych i średnich firm, korzystających m.in. z fotowoltaiki.

– Wyobrażając sobie, gdzie będziemy za pięć lat, jestem pewien, że jako Grupa PZU zrealizujemy nasz strategiczny cel osiągnięcia zerowego poziomu emisji netto. Na pewno pomożemy też znaczącej części naszych partnerów biznesowych nie tylko rozpocząć, ale też osiągnąć duży stopień zaawansowania w transformacji energetycznej. Będziemy również jeszcze mocniej zaangażowani w finansowanie przedsięwzięć transformacyjnych, dostosowawszy proces inwestycyjny do znacznie większej skali tych działań – deklarował Tomasz Kulik.

W ciągu ostatnich 12 miesięcy Grupa PZU zaangażowała 420 mln zł w finansowanie projektów budowy lub rozbudowy kilku dużych elektrowni wiatrowych. Kolejnych 300 mln zł ulokowała w obligacjach ESG. Największy polski ubezpieczyciel zapewnia, że to początek jego wsparcia dla transformacji energetycznej polskiej gospodarki.

Jak podkreślił dyrektor finansowy Grupy PZU, jest ona aktywna inwestycyjnie nie tylko w ramach własnego bilansu, ale także przez fundusze, którymi zarządza dla swoich klientów. Udostępnia im tego rodzaju instrumenty finansowe, przez które mogą oni pośrednio uczestniczyć w inwestycjach w zielone sektory. W ten sposób zarówno sama Grupa PZU, jak i kooperanci oraz klienci biznesowi stają się uczestnikami transformacji.

Czy da się usprawnić ten proces? Tomasz Kulik wskazywał, że różne instytucje mogą wybierać różne rozwiązania i ścieżki w procesie transformacji energetycznej ze względu na swoją strukturę, a także reżim regulacyjny, w którym działają. Jak ocenił, ubezpieczyciele będą dziś bardziej zainteresowani finansowaniem inwestycji transformacyjnych przez instrumenty dłużne niż przez bezpośrednie zaangażowanie kapitałowe, obciążone dodatkowym regulacyjnym wymogiem kapitałowym. – Dlatego istotne dla powodzenia i tempa transformacji energetycznej są zarówno określone instrumenty finansowe, jak i odpowiednie zmiany legislacyjne, tworzące przyjazne i zachęcające do zielonych inwestycji otoczenie – wskazywał.

Przedstawiciel PZU podkreślał jednak, że transformacja energetyczna powinna być procesem stopniowym, a jej wymuszanie przez odcinanie przez banki lub ubezpieczycieli węglowych sektorów gospodarki od dostępu do finansowania nie jest rozwiązaniem. – Nie możemy pomijać aspektu społecznego transformacji, która dotyczy milionów zatrudnionych – zaznaczył Tomasz Kulik.

Maksymilian Wysocki

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9c4e90eb77

Ruszył program Mój Prąd 4.0. Ile dofinansowania można otrzymać?

W połowie kwietnia ruszyła kolejna odsłona rządowego programu Mój Prąd. Jednym z jego nadrzędnych celów, podobnie jak w poprzednich edycjach, jest zwiększenie produkcji energii elektrycznej z mikroinstalacji fotowoltaicznych. W programie pojawiło się też kilka istotnych zmian

JAKIE SĄ GŁÓWNE ZAŁOŻENIA PROGRAMU MÓJ PRĄD 4.0?

Ubiegłoroczny program Mój Prąd 3.0 zakończył się dużym sukcesem – z uwagi na znaczne zainteresowanie dofinansowaniem pula środków została w całości wyczerpana. Kolejna edycja programu będzie musiała funkcjonować na nowych zasadach z uwagi na konieczność dostosowania przepisów krajowych do unijnego prawa, jak i ze względu na ograniczone możliwości sieci przesyłowych.

Priorytetem programu Mój Prąd 4.0 jest nie tylko wzrost produkcji z instalacji fotowoltaicznych, lecz także poprawa dotycząca autokonsumpcji wytworzonej energii oraz efektywniejsze nią zarządzanie.

CO SIĘ ZMIENIŁO W PORÓWNANIU Z POPRZEDNIĄ EDYCJĄ PROGRAMU?

Od 1 lipca br. będzie obowiązywał nowy system rozliczeń energii produkowanej w mikroinstalacjach fotowoltaicznych zwany net-billingiem, który zastąpi dotychczas obowiązujący system opustów (net-metering). Dotyczy on nowych prosumentów (wytwarzających energię elektryczną w instalacji odnawialnego źródła energii, której przyłączenie do sieci elektroenergetycznej i wprowadzenie z niej energii elektrycznej do sieci dystrybucyjnej elektroenergetycznej po raz pierwszy nastąpiło po 31 marca 2022 r.) oraz tych, którzy dobrowolnie zdecydują się na zmianę sposobu rozliczeń. W net-billingu nadwyżki energii wprowadzane do sieci będą rozliczane według średniej ceny rynkowej, a za energię pobraną prosument zapłaci zgodnie z posiadaną umową.

W przestrzeni publicznej pojawiają się pytania, czy net-billing może być mniej korzystny niż obowiązujący wcześniej system opustów, w którym rozliczenia nadwyżek wytworzonej energii elektrycznej następowały w proporcji 1 : 0,7 albo 1 : 0,8 – w zależności od mocy instalacji. Przewaga systemu opustów nie jest jednak oczywista, ponieważ trudno przewidzieć, jak w przyszłości będą kształtowały się ceny energii. Program Mój Prąd 4.0 obejmuje wsparciem zarówno instalacje fotowoltaiczne, jak i inne urządzenia. Wiele więc zależy od szczegółów inwestycji i od tego, na jakie konkretne rozwiązanie zdecyduje się prosument.

– W programie Mój Prąd 4.0 można otrzymać dotację nie tylko na instalacje fotowoltaiczne o mocy od 2 do 10 kW, lecz także na magazyny energii i ciepła oraz inteligentne systemy zarządzania energią (HEMS/EMS). Powinno się to przełożyć na wzrost autokonsumpcji energii wytworzonej przez mikroinstalację fotowoltaiczną dzięki jej magazynowaniu, a także precyzyjnemu sterowaniu produkcją i zużyciem. W efekcie mniej prądu ma trafić do sieci przesyłowej – mówi Remigiusz Markizański, kierownik Wydziału Sprzedaży Paneli Fotowoltaicznych Energa Obrót SA.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 78/0522/F

eprasa.pl 9c4e90eb77

KOMU PRZYSŁUGUJE DOTACJA I W JAKIEJ KWOCIE?

Tak jak w poprzednich edycjach o dotację mogą się starać osoby fizyczne wytwarzające energię na własne potrzeby, które mają zawartą umowę kompleksową (są stroną tej umowy) regulującą kwestie związane z wprowadzeniem do sieci energii elektrycznej wytworzonej w mikroinstalacji.

Dofinansowanie nie może przekroczyć 50 proc. kosztów kwalifikowanych. – Na samą instalację fotowoltaiczną można otrzymać do 4 tys. zł lub do 5 tys. zł, jeśli zostanie dokupiony magazyn energii lub ciepła albo system zarządzania energią HEMS/EMS. Z kolei na zakup magazynu energii elektrycznej maksymalna dotacja wynosi do 7,5 tys. zł, a na magazyn ciepła do 5 tys. zł na jedno przedsięwzięcie. Dodatkowo prosument może jeszcze dostać do 3 tys. zł na inteligentny system zarządzania energią HEMS/EMS. W sumie łączna kwota dotacji z programu Mój Prąd 4.0 może wynieść nawet do 20,5 tys. zł na jedno przedsięwzięcie – dodaje Remigiusz Markizański.

Na takie samo wsparcie mogą liczyć prosumenci, którzy zrealizowali inwestycję między 1 lutego 2020 r. a 31 marca 2022 r. i do tej pory nie otrzymali dotacji z programu Mój Prąd. Warunkiem przyznania dofinansowania jest przejście z systemu rozliczania wyprodukowanej energii net-metering na net-billing.

Co więcej, o dotację mogą również wnioskować prosumenci, którzy otrzymali już dotację w poprzednich edycjach programu i teraz przejdą na net-billing. W takim przypadku mogą liczyć na grant na instalację fotowoltaiczną w wysokości do 2 tys. zł, a także środki na magazyn energii, ciepła i system zarządzania HEMS/EMS.

Na realizację czwartej edycji programu Mój Prąd zaplanowano do 855 mln zł.

JAKIE WARUNKI NALEŻY SPEŁNIĆ?

Nabór wniosków trwa od 15 kwietnia 2022 r. do 22 grudnia 2022 r. z możliwością przedłużenia tego terminu lub do wyczerpania środków przeznaczonych na ten cel. Wsparcie jest udzielane na inwestycje już zakończone, przy czym zainstalowane urządzenia muszą być nowe, tzn. wyprodukowane w ciągu dwóch lat przed ich montażem. Dofinansowaniem są objęte koszty kwalifikowane poniesione w okresie od 1 lutego 2020 r. do 31 grudnia 2023 r. Program Mój Prąd można łączyć z ulgą termomodernizacyjną, ale nie z programem Czyste Powietrze.

Wniosek o dotację można złożyć tylko elektronicznie za pomocą generatora wniosków o dofinansowanie (GWD) dostępnego na stronie internetowej NFOŚiGW. Wysyłając wniosek, trzeba pamiętać o dołączeniu odpowiednich dokumentów, w tym m.in.: potwierdzenia przyłączenia mikroinstalacji do sieci, zaświadczenia/oświadczenia o rozliczaniu energii w systemie net-billing, faktury sprzedaży czy pełnomocnictwa (pod warunkiem, że zostało udzielone). – Gdy klient zawrze z nami umowę na dostawę i montaż instalacji fotowoltaicznych, nasz doradca może zająć się wszystkimi formalnościami i pomoże uzyskać dofinansowanie – mówi Remigiusz Markizański.

eprasa.pl 9c4e90eb77

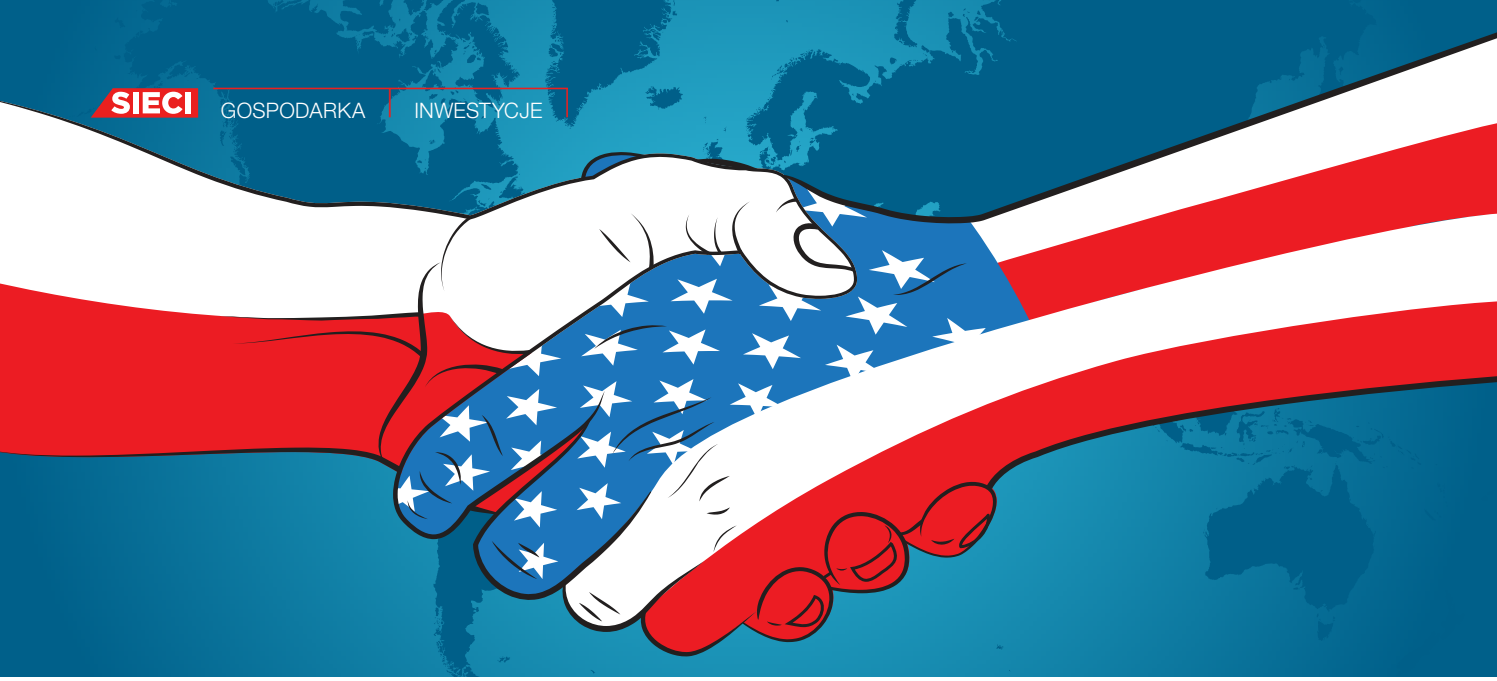

Biznes na wagę bezpieczeństwa

Zaangażowanie wielkich amerykańskich firm w Polsce to jeden z twardych dowodów na strategiczny zwrot dokonywany przez Stany Zjednoczone w ostatnich miesiącach. Wielkie inwestycje już zapowiedziało Google, do nowych projektów w Polsce szykuje się też Amazon

PIOTR FILIPCZYK

Napaść Rosji na Ukrainę zmienia światowy porządek. W przypadku zwycięstwa Ukraińców i poważnego osłabienia imperium zła – ten porządek będzie dla Polski lepszy niż dotychczasowy. Trudno dziś przewidzieć, co zmieni bardzo, a co tylko trochę, ale wiadomo, kto na razie najwięcej traci. Poza krwawiącą Ukrainą i kompromitującą się Rosją są to Niemcy przez swoje uwikłanie w relacje z Putinem i wyczekiwanie na upadek Kijowa, pozbawione (przynajmniej chwilowo) pozycji „moralnego mocarstwa" oraz – co równie ważne – przyczółku amerykańskiej polityki bezpieczeństwa w Europie.

– Ameryka w rywalizacji z Chinami musi stać mocno na dwóch nogach: dalekowschodniej i europejskiej. I to jest zmiana wobec tego, co Ameryka Demokratów, Ameryka Bidena myślała i robiła. Wydawało jej się, że Rosja groźna nie jest, a jakąś tam formę tej nogi europejskiej zapewnią Stanom Zjednoczonym Niemcy. Niemcy jednak poszli w tak silny sojusz z Rosją, że zagroziło to pozycji USA – mówi nam Józef Orzeł, komentator polityczny, szef Klubu Ronina i przewodniczący Rady ds. Cyfryzacji przy kancelarii premiera.

– Pytanie, na jak długo Niemcy skompromitowały się w oczach Ameryki. Według mnie miękka pozycja Niemiec wobec Rosji, a będzie ona coraz bardziej miękka, będzie sprzyjała mocniejszemu angażowaniu się USA w Europie – dodaje Orzeł, który jako jeden z pierwszych na kilka tygodni przed wybuchem wojny postawił tezę o trwałym przeorientowaniu polityki obecnej administracji amerykańskiej wobec Polski. W opublikowanej na łamach tygodnika „Sieci" rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim mówił on wówczas tak:

„Ta zmiana wygląda na strategiczną, więc powinna być szybko przez nas wykorzystana na kilku kierunkach – większe zaangażowanie po stronie Ukrainy, zbliżenie do Wielkiej Brytanii, wzmocnienie Trójmorza i antyrosyjskiego frontu w UE. Polska może teraz wymusić na USA wzmocnienie Trójmorza, zwłaszcza w obliczu niemieckich prób pogrzebania tego projektu".

Dziś nie sposób już udawać, że między wschodem a zachodem Europy nie ma pewnej sprzeczności interesów. Nam zależy na pokonaniu Rosji, wyeliminowaniu jej z politycznej i gospodarczej rozgrywki na dekady. Niemcy, Francja czy Holandia zdają się marzyć, by szybko ugasić ten płomień i wrócić do interesów z Putinem. Polska, Czechy i Rumunia chcą sojuszu z silną, rozwijającą się Ukrainą i Ameryką, Niemcy i Francja – rywalizacji z USA, zwłaszcza w obszarze gospodarczym.

– Nie zabija to oczywiście idei współpracy europejskiej, ale pozwala na mniej ortodoksyjne podejście do tej kwestii – przekonuje dr Dawid Piekarz, ekspert ds. strategii i bezpieczeństwa ekonomicznego, wiceprezes Instytutu Staszica.

TRZECH PREZYDENTÓW

Mniej ważą słowa politycy obozu rządzącego. Stawiane od lat przez środowisko Jarosława Kaczyńskiego diagnozy doty-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9c4e90eb77

czące rzeczywistych zamiarów Rosji i jej europejskich partnerów znalazły pełne potwierdzenie.

– Wyszły egoizm i brak jakiejkolwiek solidarności Niemiec czy Francji – mówi nam Gabriela Masłowska (PiS), przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu ds. Trójmorza. – Teraz znacznie trudniej będzie nas szantażować w imię „jedności", która dla krajów starej Unii okazała się tylko pustym słowem. My dziś nie możemy się na nich oglądać, musimy wzmacniać naszą pozycję. I będziemy to robić w ramach Trójmorza.

Ideę aliansu polityczno-gospodarczego państw Europy Centralnej przedstawił prezydent Lech Kaczyński, wrócił do niej prezydent Andrzej Duda, a wsparł prezydent USA Donald Trump.

– Wydawało się, że wraz z Trumpem koncepcja wspierania przez Amerykanów Trójmorza odeszła. Dziś jednak widać reorientację polityki amerykańskiej. Kiedy wybuchła wojna, okazało się, że Trójmorze jest realnym bytem i że przy wsparciu amerykańskim może zyskać nowy rozpęd. Skończyło się bowiem gdybanie, a zaczęła twarda polityka. Gdzie indziej sytuuje swoje interesy stara Unia, a gdzie indziej Polska, kraje bałtyckie czy Czechy, a więc kraje Trójmorza. Trójmorze jest wyrazicielem naszego interesu politycznego, strategicznego i gospodarczego. I jest duża szansa, że Amerykanie to wesprą choćby po to, by trzymać Rosję z dala od swojej europejskiej strefy wpływów – mówi dr Dawid Piekarz.

NOWY START

Nowy start projektu Trójmorza, teraz już uwzględniającego obecność Ukrainy, akcentują nasi liderzy. Nieprzypadkowo prezydent Andrzej Duda przyznał właśnie Order Orła Białego byłej prezydent Chorwacji Kolindzie Grabar-Kitarović, która w 2016 r. inaugurowała wraz z nim nowy format współpracy. Nie przez przypadek podczas forum w Davos obok Domu Polskiego stanął Dom Trójmorza, w którym trwały dyskusje na temat postpandemicznego odtwarzania łańcuchów dostaw w ten sposób, by produkcja wracała do Europy, najlepiej zaś – do krajów Trójmorza.

– My absolutnie jesteśmy tu w centrum uwagi ze względu na nasze położenie geograficzne, pozycję gospodarki, potencjał naszych ludzi. Mamy wszystkie karty w ręku – mówił po powrocie z Davos w rozmowie z telewizją wPolsce.pl Paweł Gruza, wiceminister Skarbu Państwa w rządzie Beaty Szydło, a dziś wiceprezes KGHM.

– Musimy za wszelką cenę wykorzystać sprzyjającą koniunkturę i sprawić, by zwrot Amerykanów ku Polsce był trwały. Trójmorze znowu stało się dla nich atrakcyjnym formatem, dlatego go dzisiaj wykorzystujemy. Współpraca wojskowa to jedno, wszyscy widzimy, ile sprzętu kupuje minister Mariusz Błaszczak. Energetyka, czyli gaz skroplony, a w przyszłości ropa i atom, też mocno idzie do przodu. Trzecim filarem musi tu być prawdziwe zaangażowanie Amerykanów w naszą gospodarkę. Działanie największych firm jest zawsze pewną emanacją polityki państwa. Oczekujemy więc na sygnały realnego partnerstwa, potwierdzenie, że bezpieczna Polska jest dla amerykańskiego biznesu bardzo ważna – mówi nam jeden z ważnych doradców premiera Mateusza Morawieckiego.

GIGANCI INWESTUJĄ

W ten sposób, rzecz jasna, zostało odczytane na początku marca – a więc w pierwszej fazie wojny – ogłoszenie decyzji Google o zakupie i rozbudowie kompleksu biurowego The Warsaw Hub, w którym mieści się siedziba firmy.

Google mówił o „wzmacnianiu zaangażowania w Polsce", a premier Mateusz Morawiecki nazywał decyzję cyfrowego giganta „wyrazem wiary w polski rynek i współpracę polsko-amerykańską". Z szefami Google Cloud International spotkał się także podczas forum w Davos wicepremier Jacek Sasin.

– Mówimy Amerykanom: OK, chętnie z wami współpracujemy, chętnie kupujemy wasze produkty i technologie, ale chcemy też poważnych inwestycji – mówi dr Dawid Piekarz. Chodzi tu szczególnie o technologie podwójnego zastosowania (a więc takie, które można wykorzystywać zarówno w czasie pokoju, jak i wojny) oraz o energetykę.

Skokowo zwiększa swoją obecność w Polsce Amazon. Wbrew obiegowej opinii wcale nie najważniejszym elementem układanki jest tu uruchomienie polskojęzycznej platformy sprzedażowej. Amerykanie bardzo intensywnie rozwijają w naszym kraju obszary nowych technologii, rozwiązania chmurowe, globalne ośrodki badań i rozwoju – np. przetwarzenia i rozpoznawania mowy za pomocą sztucznej inteligencji. W minionym tygodniu firma zapowiedziała zatrudnienie kolejnych 200 specjalistów branży high-tech w centrach rozwoju technologii, działających w Warszawie, Gdańsku i Krakowie. Amerykanie są też zainteresowani obszarem logistyki i w związku z tym bardzo zależy im na rozwijaniu współpracy z Pocztą Polską, PKP Cargo czy coraz ważniejszymi w światowych rachubach polskimi portami morskimi. Amazon rozgląda się też za możliwością wspólnych działań z największymi spółkami Skarbu Państwa i liderami rynku prywatnego w obszarze gospodarki cyfrowej.

– Oczywiście nie zaprzeczam tym informacjom, choć jeśli chodzi o niektóre projekty czy plany, jest jeszcze za wcześnie na szczegóły – mówi Mariusz Mielczarek z Amazona. – Dostrzegamy i szanujemy pozycję Polski jako lidera regionu, relacje z Polską są dla nas ważne ze względów strategicznych. Jako firma globalna, z określonymi możliwościami, jesteśmy rzecz jasna otwarci na współpracę w ramach projektu Trójmorza, którego Polska jest motorem. Uczestniczymy w rozmaitych przedsięwzięciach mających na celu wzmocnienie tego projektu. Niewątpliwie mamy w tym miejscu Europy wspólne interesy i możemy wszyscy wiele zyskać – dodaje.

WYSTĄPIENIA I KONKRETY

Trudno na koniec nie zauważyć, że uszu na to, co dziś dzieje się wokół Trójmorza, powinni nadstawiać nasi przedsiębiorcy, także ci średni i mali.

– Ten projekt to ogromna szansa dla polskich firm, które mogą zaoferować to, co mają najlepszego, a także nawiązać współpracę technologiczną z partnerami z regionu oraz właśnie z Amerykanami – mówi nam Gabriela Masłowska, dodając, że trzeba tu także brać pod uwagę firmy polonijne.

Posłanka PiS z Lublina angażuje się w II Samorządowy Kongres Trójmorza, który 6 i 7 czerwca odbywa się w jej mieście. – Mogę zapewnić, że w obszarze gospodarczym możemy spodziewać się bardzo ciekawych wystąpień – mówi Masłowska.

Oby tych rozmów, zapowiedzi i deklaracji było jak najwięcej. A przede wszystkim: niech szybko zamienią się one w cenne dla Polski konkrety.

eprasa.pl 9c4e90eb77

BEATA ZAWADZKA PRZEWODNICZĄCA KOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH W RYCHARCICACH

Nie ma jak sodziaki-słodziaki

W kategorii zup ich rosół z bażanta zajął pierwsze miejsce, gulasz z kopytkami znalazł się na trzecim (wśród dań z dziczyzny), a sodziaki-słodziaki wywalczyły drugie miejsce, rywalizując z innymi potrawami jarskimi.

W konkursie kulinarnym na najsmaczniejszą potrawę mazowiecką, zorganizowanym w Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu w ramach imprezy plenerowej „Myśliwskie gotowanie na polanie", ekipa z Rycharcic zaprezentowała się znakomicie.

Wieś Rycharcice – gmina Gozdowo, powiat sierpecki, województwo mazowieckie – leży w połowie drogi między Płockiem a Sierpcem. Nic dziwnego, że tamtejsze Koło Gospodyń Wiejskich jest częstym gościem w skansenie. Jego działania na bieżąco można śledzić na profilu na Facebooku.

Gospodynie z Rycharcic (wespół z miejscową Ochotniczą Strażą Pożarną) brały udział w wielu wydarzeniach – wyjazdowych, a także organizowanych u siebie. – W Rycharcicach było już, i to dwukrotnie, „Lato z radiem", byli Telewizja Narew i Piotr Zgorzelski... – wymienia Beata Zawadzka.

Jaki jest ich przepis na kolejne sukcesy w kulinarnych konkursach? Każda z gospodyń ma swoją popisową potrawę – a to galantyna z grzybkami lub cytryną, a to jajka faszerowane, a to czernina... – Kiedyś podałyśmy dziczyznę z haluszkami, czyli zacierkami z wody i mąki krupczatki – wspomina pani Beata. – Nazwa wzięła się z wyprawy jednej z mieszkanek Rycharcic do Czech – dodaje.

Nasza rozmówczyni podkreśla, że na Mazowszu można odnaleźć pełną paletę dań typowej kuchni polskiej, ale pierwsze skrzypce grają tu czernina („Choć skłamałabym, że choć raz tę zupę ugotowałam" – przyznaje), pieczone gęsi i kaczki, pasztety... – Kiedyś zdobyłyśmy nagrodę za pasztet Dzika Rozkosz – zdradza.

Szefowa Koła Gospodyń Wiejskich w Rycharcicach od lat wspólnie z mężem zajmuje się hodowlą gęsi. Można powiedzieć, że to z ich powodu mąż został myśliwym. – Lisy nie dawały nam żyć – wspomina. Dzięki jego pasji łatwiej było zaprezentować się podczas konkursu w Sierpcu. W menu pojawiła się dziczyzna w sosie własnym z kopytkami oraz rosół z bażanta (tym razem z hodowli) z kluseczkami z jajek bażancich. – Wyglądają jak przepiórcze, choć są bardziej kolorowe. A smak mają identyczny jak kurze – ocenia pani Beata.

Większość potraw, które gospodynie z Rycharcic przygotowują przy okazji konkursów, z reguły występuje też w innych regionach, ale jest też coś lokalnego – placki na sodzie, nazywane „sodziakami-słodziakami". – Lubią je wszystkie dzieciaki. I dorośli też. To danie bardzo proste, które znały nasze babcie i ich babcie również – podkreśla nasza rozmówczyni. – Z tym że kiedyś robiło się je duże, na całą patelnię. Były grube, długo musiały być na ogniu, więc się nieraz przypalały. Teraz króluje wersja zmodyfikowana. Jako współczesne babcie i mamy wybrałyśmy coś podzielnego, łatwego do podania, oczywiście smacznego, czyli malutkie placuszki – sumuje.

Przepis na sodziaki z Rycharcic poszedł już w świat. Trafił m.in. do książki „Wyjątkowe miejsca, wyjątkowe smaki, wyjątkowi ludzie", która ukazała się w ubiegłym roku.

– Smakują jak ciepłe bułeczki – opisuje pani Beata. – Smażymy je, kiedy zabraknie chleba. Można je jeść na ciepło i jak przestygną. Na drugi dzień też są dobre, chociaż nie przetrwają tak długo – śmieje się. – Pasują do wędliny (do tego kiszony ogórek lub grzybki) i własnej konfitury lub miodu... Jak przyjdą niespodziewani goście, można ich sodziakami uraczyć. Często pada wtedy pytanie, czy to pączki. Ale bliżej sodziakom do bułki. Najważniejsze: sprawdzają się w każdej wersji.

Jolanta Gajda-Zadworna

Sodziaki-słodziaki

Na 1 kg maki pszennej: łyżka soli, łyżeczka sody, dwa kubki (jak opakowania po dużych jogurtach) zsiadłego mleka (można zastąpić je kefirem lub jogurtem), trochę śmietany (18-proc., mały pojemnik), wtedy sodziaki są bardziej kruche. Łączymy wszystkie składniki (pamiętamy, żeby ciasto nie było zbyt twarde), formujemy małe placuszki i smażymy na głębokim tłuszczu z każdej strony.
Filmik o robieniu sodziaków można znaleźć na profilu KGW w Rycharcicach na FB.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 9c4e90eb77

SŁODKO-SŁONY

Pieczone morele

ANNA MONICKA

Jedne z najpyszniejszych i najzdrowszych owoców – morele. Niby można je kupić przez cały rok, ale dopiero teraz zaczynają mieć smak, zapach i nasycony słońcem kolor. Oczywiście jeszcze nie są nasze, ale trudno się opanować, żeby nie kupić kilku sztuk i nie nacieszyć się ich słodyczą.

U nas rosną świetnie, najlepiej chyba pod Sandomierzem, gdzie najbardziej sprzyja im klimat. Morelom bardzo szkodzą wiosenne przymrozki, które tam rzadko dają w kość ogrodnikom. Dziadkowie mojej koleżanki ze studiów latem spraszali wszystkich jej kolegów, żeby pomagali zbierać owoce – to była prawdziwa orgia kulinarna, bo jedliśmy je w ciastach, kompotach, sałatkach, musach, sosach, grillowane na patyku i smażone na patelniach. Dziewczyny robiły sobie maseczki, po których twarze i dłonie nabierały aksamitnego połysku. Zapamiętałam szczególnie smażenie, bo owoce były tak soczyste i słodkie, że nie potrzebowały żadnego dosładzania. Zimą te słoiki ratowały nas przed smutkiem i depresją.

Tak więc kiedy tylko się pojawią, polecam kupować i zajadać, ile się da. Na surowo najlepiej. Świetnie smakują w sałatkach z miodowo-cytrynowym sosem doprawionym odrobiną chili albo pokrojone w plastry i ułożone na świeżo ściętej rukoli, skropione klasycznym winegretem.

Doskonale zachowują się w pieczeniu, wszystko jedno, czy na patelni, grillu, czy blaszce. Układamy połówki owalną częścią do dołu, na nich kładziemy plastry sera – mozzarelli, fety lub koziego – i zapiekamy kilka minut, żeby ser się rozpłynął, podajemy z kropelką octu balsamicznego. Pyszne!

Możemy też podsmażone z czerwoną papryką morelowe ćwiartki wysypać na kolorowe sałaty, dodać grzanki czosnkowe i kostki fety, a całość polać olejem dyniowym i posypać podprażonymi pestkami. Porcja takiej sałatki z powodzeniem zastąpi w upalne dni ciężkie danie obiadowe, a jeśli komuś brakuje mięsa, może sobie upiec dzwono łososia albo plaster z piersi indyka.

Z morelami fajnie się eksperymentuje. Można je dodać do tarty serowej albo sernika na zimno i ciepło, można zmiksować na rewelacyjne smoothie z odrobiną cynamonu. Smacznej zabawy.

Fot. Shutterstock x2

WILCZYM OKIEM

Macierzanka i dziurawiec

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż nigdy nie byłem zielarzem, mam zestaw ziół, który lubię nie tyle ze względu na właściwości, ile przede wszystkim dlatego, że kojarzy mi się ze słońcem, z latem i wakacjami.

Na pierwszym miejscu listy umieściłbym macierzankę *Thymus* sp., niedużą roślinkę o drobnych listeczkach i niewielkich, różowych kwiatuszkach. Macierzanki porastają miejsca słoneczne, ciepłe, suche, często piaszczyste. Jeżeli ich piękny zapach kojarzy się nam egzotycznie, mamy rację. Do tego rodzaju należy śródziemnomorski tymianek, którym tak upojnie pachnie portugalska czy hiszpańska prowincja.

Jeżeli chodzi o zapach, spośród surowców zielarskich z macierzanką może konkurować chyba jedynie kwiat lipy; znawcy doceniają przeciwzapalne, przeciwgorączkowe i napotne działanie naparu lipowego, ja – podobnie jak pszczoły – w lipie cenię najbardziej jej zapach. Szczególną sympatią darzę lipę drobnolistną, jeden z dwóch naszych rodzimych gatunków lip, wyróżniający się rudawymi kępkami włosków w kątach nerwów od spodu liści (u lipy szerokolistnej są one białe).

Śródpolne miedze to siedlisko, w którym możemy znaleźć rumianek *Matricaria chamomilla* oraz żółto kwitnący dziurawiec *Hypericum* sp. Kwiat rumianku jest stosowany przeciwzapalnie i rozkurczowo; może przy tym zwiększać wrażliwość na uczulenia i poparzenie słoneczne. Dziurawiec z kolei może poprawiać trawienie i działać uspokajająco.

Występujący na łąkach i wśród pól wrotycz *Tanacetum vulgare* jest wykorzystywany do sporządzania maści gojących. Znam zdeklarowanych zwolenników maści z wrotyczu (sam, przyznam, jeszcze nie stosowałem), którzy zaklinają się, że przyspiesza gojenie nawet najgorszej rany.

Do zestawu letnich ziół trzeba dorzucić jeszcze borówkę czarną *Vaccinium myrtillus*. Jej owoce po ususzeniu mogą łagodzić sensacje żołądkowe i przeciwdziałać biegunkom.

Oczywiście zioła, jeżeli chce się wykorzystać je w lecznictwie, suszy się w cieniu i w przewiewie, tylko wówczas można zachować ich właściwości i tylko tak uchronić je przed pleśnią.

W przypadku ziół – tak jak i grzybów – trzeba też pamiętać, że zbierać je mogą tylko osoby doświadczone, nie brak bowiem w polskiej florze trujących roślin.

eprasa.pl 9c4e90eb77

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Dziś będzie inaczej

Rzeczywiście, dziś będzie inaczej niż zwykle. Moją rubrykę wypełnią teksty indologa i filologa indyjskiego, związanego z Uniwersytetem Warszawskim od 1965 r., na którym wykładał w Katedrze Azji Południowej. Artur Karp prowadził zajęcia z języka (sanskrytu i pali), historii Indii, ze wstępu do kultury i cywilizacji tego obszaru. Był autorem wielu artykułów naukowych dotyczących kultury starożytnych i współczesnych Indii, historii buddyzmu. Napisał przekrojowe hasła (o religiach i mitologii Indii) w encyklopedii „Religia. Encyklopedia PWN" (t. I–X, Warszawa 2001–2003). Przez wiele lat zasiadał w Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych przy Głównym Geodecie Kraju. W Collegium Civitas prowadził wykłady „Cywilizacja indyjska" i „Buddyzm w świecie władzy i polityki".

Sześć lat spędził w Indiach. W latach 1974–1978 na Uniwersytecie w Delhi wykładał język polski na Wydziale Współczesnych Języków Europejskich. Pisał także do szuflady opowiadania. Dziś dwa z nich przytoczę. Pierwsze powstało w czasie pobytu w Delhi. Drugie przywołuje czasy dzieciństwa. Indolog-dziwoląg – jak żartował z siebie – już nic więcej nie napisze. 24 maja 2022 r. o godz. 21.00 odszedł od nas. Na biurku zostały notesy, notatki, zapiski, pojedyncze zdania... Rabindranath Tagore pisał: „Gdy pieśń twojego serca zaczyna cichnąć i umierać / zamiera z nią całego świata muzyczna harmonia" (tłum. J. Makowiecka)... To prawda, tamtej ciężkiej majowej nocy muzyczna harmonia świata na chwilę zamarła...

Artur Karp

W GĘSTWIE STAREGO DEHLI

Swoje ćarpai ustawiałem na letnie noce w wąskim korytarzyku między ustępem i kuchnią, nogami na balkonik wychodzący na ulicę, głową ku tarasowi na tyłach domu, ku zaułkowi bez światła, jego ciemnym ścianom pokrytym pleśnią zacieków, rur kanalizacyjnych, spuchniętych tynków. Przeciąg nadbiegał powiewami od tarasu. Torował sobie drogę wśród bielizny, którą rozwieszałem wieczorami na pogiętych drutach stalowych, przeżeranych rdzą jak liszajem. Każdy podmuch unosił kolejne koszule, nadymał je, jedną po drugiej, a potem pozbawiał gwałtownie oddechu te wiszące na ramiączkach kształty mego ciała; noc w noc białe rękawy wznosiły się i opadały w histerii bezsilnych gestów. Bałem się, wciąż jeszcze się bałem samotności wypełnionej obcymi przedmiotami i obcą ciszą, nieznanym sobą. Za dnia, w gęstwie ulic starego Delhi, łatwo wyzbywałem się lęku, odsuwałem go niecierpliwie na bok: twarze nabierały powoli cech normalności, wychodziłem im naprzeciw, ciesząc się przygodnymi konwersa-

Fot. Archiwum Hanny Karp

eprasa.pl 9c4e90eb77

cjami; krzątanina tłumu dawała się już odczytać jako ład, w którym pragnąłem uczestniczyć, porządek dający nadzieję zrozumienia. Noc zmieniała to miasto, pozbawiając je ludzi, odbierała mu wymiary, spłaszczała ciemne domy w fasady z kartonu, fantastycznie ukształtowane płaty materii, poza którymi nie może być życia, pozostawiała mnie samego sobie wśród porzuconych niedbale dekoracji do sztuki, w której tolerowano mnie jako statystę, niezobowiązanego do znajomości języka gry, jej treści, jej początku i dalszego ciągu.

Już od tygodnia nie miałem na uniwersytecie nic do roboty. Zaczęły się wakacje. Nie wyjechałem z Wiwekiem na planowany od dawna objazd zabytków Widźajanagaru na południu Indii, wymówiłem się chorobą, którą przeszedłem w trakcie sesji egzaminacyjnej. Resztki świetności starej architektury indyjskiej nie przyciągały mnie absurdem swego trwania, należały do innej epoki, do innych ludzi. Te, które dotychczas widziałem, były piękne pięknem upadku, rażone martwicą starożytności skręcały się w udręce kamienia wchłanianego cierpliwie przez ziemię, bezludne i nierzeczywiste nie wyrażały już niczego, były już poza znaczeniem i dlatego bez znaczenia.

Upały przeciągały leniwie ponad miastem, słońce płonęło sinym blaskiem w powietrzu pełnym pyłu. Stada drapieżnych ptaków zataczały wysokie koła nad wysypiskami śmieci. Zapuszczałem się coraz dalej w głąb miasta, przez Malka Gańdź do Sadr Bazaru, stamtąd bezimiennymi ulicami aż po Karol Bagh, chodziłem pomiędzy ulicą Rani Dźhansi a Darija Gańdź, przecinając pod coraz innym kątem labirynt Śahdźahabandu. Wracając późnym popołudniem do domu, wysiadałem w rykszy na targowisku warzywnym Sabzi Mandi. Szedłem do domu wśród długich cieni, brnąc w stosach rozkładających się odpadków, dawałem się unieść fali woni i krzyku, lawirowałem między barwami rozłożonych na mokrych workach owoców i warzyw, między wiązkami gałązek do czyszczenia zębów i blokami twarogu, wymijałem pokryte delikatnym pyłem kałuże zwierzęcego moczu.

Usypiałem po tych wielokilometrowych wyprawach przykryty mokrym prześcieradłem, z głową w parzącej wilgoci własnego potu. W kuchni szeleściły karaluchy, szorstka plecionka napięta na ramę ćarpai skrzypiała przy każdym ruchu. Ściana przed moimi oczyma połyskiwała ruchomymi plamami mętnego światła, ziarna żwiru wystające z betonowej powierzchni rzucały nikłe cienie, układały się w migotliwe obrazy drewnianych kół pełznących po rozmiękłej nawierzchni, ścięgnistych łydek tragarzy, napiętych jak struny końskich grzbietów, otwartych w niemym krzyku ust poganiaczy wołów; poza mną wiedziałem o tym, koszule poruszały się w karykaturze życia, rękawy maszerowały, odliczały pieniądze, ocierały pot z pustki nad kołnierzykami, pytały o drogę, o kierunek.

Delhi, 1974.

SZCZĘŚCIE W BARDO

Nie pamiętam momentu, kiedy poszedłem do szkoły. Miałem siedem i pół roku. Jedyne, co utkwiło mi w pamięci, to nauczycielka bijąca mnie linijką po lewej ręce – żebym wreszcie zaczął pisać prawą. Rozmazane kleksy na stronicach zeszytu. I dwójki. Łapczywe czytanie w domu, w szkole, wszędzie. Pierwsza przeczytana książka: „O rycerzu gwiazdy wigilijnej". Zachwyt i przerażenie po „Kichusiu majstra Lepigliny". „Pinokio" i smutne „Serce" Amicisa.

I pierwsza zapamiętana zima. Sanki i miejski tor saneczkowy, i wielkie ognisko rozpalone przez przyjaźnie wyglądającego żołnierza radzieckiego, podsycane starymi niemieckimi książkami, wywleczonymi z jakiegoś klasztoru i teraz leniwie ciskanymi w ogień. I ja – już teraz rozpoznający z łatwością niedbale zamazane napisy na szyldach, na ścianach domów jako niemieckie.

Pod koniec kwietnia ojciec zabrał mnie i braci do Barda Śląskiego, do prewentorium, przeciwgruźliczego sanatorium dla dzieci prowadzonego przez siostry. Miasteczko było całe, nienaruszone przez wojnę; piękne, pastelowe tynki, czyste dachówki. Przejmująca barokowa kalwaria i cudowne, rzeźbione w drewnie, ruchome jasełka. Pierwsze zetknięcie z przyrodą, czystą, nieprzemieszaną ze śladami wojny. Biegałem wąskimi ścieżkami, pod świeżo zazielenionymi bukami i klonami, przez pas zieleni widziałem połyskujący, czysty nurt Nysy. Próbowałem wraz z innymi chłopcami zbudować tamę z kamieni na rzece, ale prąd był za bystry, patrzyliśmy zafascynowani, jak woda najpierw wspina się, potem przelewa ponad naszą konstrukcją, a potem jednym uderzeniem ją roztrąca.

Klasztor, w którym mieściło się prewentorium, miał własną kaplicę, z gotyckim ołtarzem. I znów po raz pierwszy – zetknięcie z widomą przeszłością, nie ze słowami o niej, lecz z jej barwnymi obrazami. Msza – i nie w pełni rozumiane kazanie, i poezja łacińskiego słowa.

Było mi tam dobrze. Chłonąłem niekłamaną miłość, którą otaczały nas siostry, smakowało mi to, co gotowały. Pewnego dnia poprosiły, żebyśmy otrząśli z chrabąszczy klony, które otaczały klasztorny ogród, a same chrabąszcze – żebyśmy zebrali do wiader. Dostałem też wiadro. Po kilku godzinach było pełne, owady gramoliły się jeden przez drugiego, niezdarnie przewracały, pokazywały czarno-granatowe podbrzusza, machały grzebykowatymi łapkami.

Kiedy podałem wiadro siostrze, postawiła je na ziemi, koło żelaznego, buzującego ogniem pieca. Sięgnęła czerpakiem do kotła z gotującą się wodą i zalała rzeczowo owady wrzątkiem. Powiedziała: musimy tak robić, żeby kurki miały co jeść, a kurki musimy potem zabić, żebyście dzieci miały na obiad rosołek i troszkę mięska, żebyście nie były chore. Uciekłem stamtąd, od tego pieca. I od tego momentu niczego już z Barda nie pamiętam. A przecież – było jeszcze lato.

Kamienna Góra, Bardo Śląskie, 1949–1950.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl 9c4e90eb77

Pytania nadal aktualne

Alina Czerniakowska

Czyja będzie Polska? – to pytanie pierwszy głośno i stanowczo zadał premier Jan Olszewski pamiętnego 4 czerwca 1992 r. w czasie „nocnej zmiany", „nocy teczek". To wtedy wrogie ubeckie gremia obaliły jego rząd. Jan Olszewski mówił wyraźnie, że przeprowadzenie lustracji jest absolutnie konieczne, jeśli chcemy odzyskać elementarne warunki do samodzielności i suwerenności. Podkreślał, że naród polski powinien mieć poczucie, że wśród rządzących nie ma ludzi, którzy pomagali UB i SB utrzymywać Polaków w zniewoleniu, uważał, że tacy ludzie są zagrożeniem dla wolnej Polski. Tak czytelnego i jasnego postawienia sprawy budowy wolnej Polski wystraszyli się nawet ci, których mecenas Olszewski bronił w procesach politycznych w PRL. Możemy zobaczyć na zachowanych nagraniach filmowych, w jaką furię wpadli wówczas Jacek Kuroń i reszta jego kolegów, niby zwolenników niepodległej Polski.

Jan Olszewski zachował odporność na komunizm i wszystkie jego ułudy, jasność widzenia, umiejętność odróżniania prawdy od kłamstwa, tak rozpasanego w całym PRL i niestety, nadal wszechobecnego pod różnymi postaciami.

Warto przypomnieć, że Jan Olszewski był współautorem głośnego tekstu „Na spotkanie ludziom z AK", domagającego się przywrócenia czci żołnierzom Armii Krajowej. Jako adwokat w najgłośniejszych procesach politycznych od lat 60. ub.w. bronił m.in. Melchiora Wańkowicza, Karola Modzelewskiego, Janusza Szpotańskiego, Wojciecha Ziembińskiego. Był też autorem jednej z najważniejszych publikacji drugiego obiegu wydawniczego – poradnika „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa", przeznaczonego – jak czytamy we wstępie – „dla każdego, kto żyje w państwie totalitarnej dyktatury, jakim jest PRL". Występował jako oskarżyciel posiłkowy w procesie morderców ks. Jerzego Popiełuszki. Po latach wciąż uświadamiał, że „środowisko związane z komunistycznym aparatem terroru policyjnego obejmowało dziesiątki tysięcy ludzi, znakomicie przetrwało do czasów współczesnych. Co więcej – przetrwało jako środowisko zorganizowane, miękko przeszło, zachowując swój status ludzi urządzonych już w tamtym systemie, w system następny". Jan Olszewski opowiadał się przeciwko dążeniu do porozumienia z komunistami i ich następcami, zmutowanymi różnymi partiami, wrogo nastawionymi do lustracji, dekomunizacji, biorących udział w złodziejskim rozgrabianiu majątku narodowego.

Antoni Macierewicz, ówczesny minister MSW, realizując uchwałę lustracyjną przyjętą przez Sejm 28 maja 1992 r., ujawnił listę agentów SB i UB w najwyższych władzach Polski. 64 osoby z Lechem Wałęsą na czele.

Ówczesny prezydent Lech Wałęsa wpadł w panikę, szukał pomocy u mocodawców na Kremlu. Złożył wniosek o odwołanie rządu premiera Jana Olszewskiego zaraz po powrocie z Moskwy i podpisaniu tam 22 maja 1992 r. traktatu polsko-rosyjskiego – szkodliwego dla Polski – o przejęciu polskich terenów, na których były rosyjskie bazy wojskowe, przez spółki rosyjskie o statusie eksterytorialnym. Premier Jan Olszewski zdążył jeszcze zablokować to zdradzieckie porozumienie, wysyłając telegram na dwie godziny przed ratyfikowaniem umowy w czasie wizyty prezydenta Wałęsy w Moskwie.

Minister Piotr Naimski, wówczas szef UOP, uważa, że „rząd Jana Olszewskiego upadł, bo zanegował ustalenia okrągłego stołu, naruszył wszystkie tamte trzy porozumienia, to znaczy – milczenie w sprawie agentury i wszelkich służb ubeckich, przyzwolenie dla dzikiego uwłaszczenia nomenklatury i agentury, a także utrzymanie Polski w strefie szarości bezpieczeństwa i podległości politycznej. Była to zemsta Moskwy za ograniczenie jej wpływów w Polsce, a narzędziem tego odwetu był Lech Wałęsa, być może szantażowany przez rosyjską agenturę. To jeszcze gorsze niż sprawa »Bolka«".

Od tamtego czasu minęło 30 lat, dzisiaj rząd Prawa i Sprawiedliwości toczy nadal walkę o silną, praworządną Polskę. Zadajemy sobie pytania, dlaczego wszystko idzie tak opornie, co należało zrobić zaraz na początku 1989 r., by odrzucić całe zło PRL i ich obecnych następców, dlaczego tak długo czekaliśmy na wolne wybory, by naród mógł stać się suwerenem, wybierać swoich przedstawicieli i im ufać. Teraz widzimy, jakie zjawiska nałożyły się na dawną mentalność peerelowską i spowodowały, że **pieniądz stał się jedynym miernikiem wartości**. Trzeba było walczyć z korupcją, bo ówczesna prywatyzacja była po prostu kradzieżą majątku narodowego. Wtedy Jan Olszewski powiedział znamienne słowa: „Niewidzialna, anonimowa ręka w prywatyzacji jest ręką aferzysty".

Czy były wówczas szanse na porządną lustrację? W wolnej Polsce nie doszło do rozliczenia PRL, prawie pół wieku rządów pod kuratelą Moskwy nigdy nie zostało odkryte ani osądzone. Dlaczego nie przeprowadzono lustracji, deubekizacji, wyraźnej cezury między PRL a nową, wolną Polską? Na te i tym podobne pytania należy sobie teraz odpowiedzieć, by zrozumieć obecną sytuację i walkę o władzę takich ludzi jak Donald Tusk, Radosław Sikorski i wspólnicy. Wówczas należało przede wszystkim zabezpieczyć nasz majątek narodowy, by nie doszło do niekontrolowanej wyprzedaży, prywatyzacji, defraudacji oraz ich przejęcia przez ludzi mających swoje umocowania w dawnych strukturach agenturalnych szkodzących Polsce.

Czego się nauczyliśmy? Tego, że przyszłość Polski zależy od mądrości i czujności narodu polskiego.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 9c4e90eb77

PRZEZ ŚWIETLIK

Bismarczki po polsku

Wiktor Świetlik

Kolejni realiści polityczni i inne imienne i bezimienne podmioty publicystyczne z głupoty lub dla pieniędzy – już mi to obojętne – pomagają Rosji. W imię „realizmu" rzecz jasna. Co prawda w logice polskich współczesnych Bismarcków jakikolwiek realizm raczej trudno znaleźć, za to sporo wariactwa, dogmatyzmu lub tchórzostwa i koniunkturalizmu, a one przecież też bywają ciekawe, szczególnie z perspektywy felietonisty.

Warto przy tym zauważyć, że spora część owych naszych współczesnych zimnogłowych strategów wywodzi się ze środowisk dawnego UPR, dla których wielką deklarowaną świętością, zasadą świata, najwyższą emanacją – jak zwał, tak zwał – była własność.

Znamy to od lat. Każdy normalny człowiek ceni sobie owoce ciężkiej pracy i własność, ale u nich to bywało trochę dalej posunięte. Nawet momentami mocno daleko. Atakiem na własność prywatną był każdy podatek, regulacja, park krajobrazowy, a nawet planowany przebieg autostrady. Po prostu wszystko to uderzało w same podstawy. W przypadku niektórych chyba nawet podstawy czaszki.

I cóż mamy teraz? Wielki festiwal kultu owej własności. Ci sami faceci, dla których miejski plan zagospodarowania przestrzennego był zbrodnią na żywym ciele ludzkiej przedsiębiorczości i moralności, mówią, że po prostu trzeba oddać kawał jednego państwa drugiemu. W dodatku to drugie wyspecjalizowało się w kradzieży i niszczeniu mienia na masową skalę. I naprawdę nie chodzi tylko o pralki przywiązane do czołgów, lecz o ogólnie złodziejski charakter rosyjskiej inwazji. Dwa pierwsze przykłady z ostatniego tygodnia. Do portu w Latakii w Syrii wpłynął kolejny rosyjski kontenerowiec ze zbożem skradzionym z Ukrainy. Z kolei ukraiński wywiad wymienił 101 poszukiwanych listami gończymi kryminalistów walczących w prorosyjskich czeczeńskich oddziałach Ramzana Kadyrowa. Większość za rozboje, mordy i – oczywiście – rabunki.

I co? I nic. Realiści sobie i z tym poradzą jak z wszystkim innym. Przede wszystkim z własnym brakiem konsekwencji. Zawsze można go zrównoważyć odpowiednio rozdętym ego.

Józef Wissarionowicz Stalin mawiał, że milion zabitych to statystyka, a jeden to tragedia. Zdaje się, że Stalin zresztą wcale tego nie powiedział, mam wątpliwości, czy przypisywanie tych słów akurat tej postaci jest słuszne, uwzględniając np. to, na ile Stalin potrafił się osobiście „troszczyć", to, ile rodzin jego przeciwników wykończono. Na pewno żaden z mordów nie był dla Stalina tragedią, tak jak nie była nią nawet śmierć syna w niemieckiej niewoli, a do tego nie były one beznamiętną statystyką. Były przyjemnością.

Za co warto umrzeć?

Lech Makowiecki

„Dla czego warto żyć?" – na tak postawione w ulicznej sondzie pytanie otrzymalibyśmy całe mnóstwo odpowiedzi. Dla wielu ludzi wartością nadrzędną jest miłość (do partnera, dzieci, rodziców). Są tacy, którzy wielce sobie cenią stabilizację i dostatnie życie. Niektórzy realizują się w pracy, sporcie, sztuce, nauce... Ktoś tam oddałby wszystko za podróże i możliwość poznawanie świata.

Zwykle nasze zainteresowania, hobby i pasje zmieniają się wraz z upływem czasu. W starszym wieku wartością nadrzędną staje się zdrowie, stawiane wyżej niż uroda czy pieniądze.

Ale znacznie trudniej jest odpowiedzieć na pytanie: „Za co gotów byłbyś umrzeć?". Bo czy jest coś cenniejszego od życia? Istnieje kanon pewnych odwiecznych pojęć (wolność, ojczyzna, rodzina, wiara, honor itd.), które determinowały naszych przodków do heroicznych zachowań. I to się właśnie zmienia! Odradzający się marksizm wykonał ogromną pracę (na niwie edukacji, wychowania, popkultury), by sformatować całe społeczeństwa na podobieństwo stad bezmyślnych, egoistycznych i bezideowych konsumentów. I tak dla „ciepłej wody w kranie" wyrzekamy się swojej wolności. Gubiąc sens życia, zwijamy się demograficznie. Uwodzi nas idea swobód wszelakich (vide: „róbta, co chceta"). System wciąż podsuwa nam gotowe odpowiedzi „na wszystko", inwigilując nas przy tym bezustannie. I dyscyplinując, gdy trzeba. Resztki naszego wolnego czasu wypełnia prymitywna rozrywka. Chuć wyparła już rozum i wrażliwość!

Czy w tej sytuacji byłbyś gotów poświęcić życie w obronie tego nowego, wspaniałego świata? Polec za 56 płci, skrobanki na życzenie, udział w wyścigu szczurów? Za kornika drukarza, zaprzaństwo „totalsów", za demoralizację i głupotę, która aż boli? Za najjaśniejszą Unię Europejską, w której chciwość ściga się z wyrachowaniem, a zepsucie jest wynoszone na piedestał? I w której rządzą zblazowani potomkowie sprawców światowej hekatomby, pouczający ofiary tejże w sprawach praworządności.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Trzask-prask i się rozeszło

Piotr Cywiński

„Ciasno we łbie, przestronno w gębie" – mawiała moja babcia o takich, których w świecie nie brakuje. Nie da się ukryć, także szczyty głupoty i zakłamania mają słynnych zdobywców. Niejaki Bart/Bartosz Staszewski, jak traktują o nim życzliwe mu media, „aktywista" w chwili wolnej od wrzucania na Twittera zdjęć ze swoim kochankiem, poskarżył się Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji na program „Jedziemy" Michy/Michała Rachonia, że ten pokazał, jak „celebryta" Jaro/Jarosław Jakimowicz zerwał tęczową flagę umieszczoną obok polskiej. To „dramatyczny zamach" – zagrzmiał „aktywista" Bart na to, co dla niego (gwoli ścisłości napisał o sobie w liczbie mnogiej: „nas") „jest ważne", czyli na tęczową „flagę", którą Jaro ośmielił się nazwać „gównem". Urażony tymże żąda „decyzji nakładającej odpowiednią karę pieniężną" i ostrzega, że będzie/będą „także zawiadamiać Komisję Europejską, jeżeli uprawniony organ, czyli przewodniczący KRRiT, nie będzie odpowiednio reagował na takie sytuacje". Nie wiem, co na to „organ" w osobie Wita/Witolda Kołodziejskiego, bo sprawa świeża.

Gdyby ktoś nie skojarzył, to ten sam Bart, który przyczepiał pod tablicami z nazwami miast żółte, różnojęzyczne szyldy: „strefy wolne od LGBT". I rozeszło się po świecie, jakimiż to my, Polacy, homofobami jesteśmy. Gdy miliony wierzą w jakiś idiotyzm, to nie przestaje on być idiotyzmem, niestety, uwierzyli, opisywali i zdjęcia tych tabliczek publikowali nawet.

Niby kłamstwo ma krótkie nogi, ale przedreptuje nimi szybko jak cholera. Pierwszy bard Warszawy, z urzędu prezydent miasta, Rafa/Rafał Trzaskowski, nie pisze, on rozmawia. Jak pochwalił się w Obornikach aktywistom współfinansowanego przez Niemców Campusu Polska, pogadał sobie z Ulką von der Leyen i „jest dobrej myśl", że „będzie stawiała dodatkowe warunki, które będą musiały być spełnione, żeby pieniądze popłynęły do Polski" – taki wpływowy, bardziej od premiera i prezydenta RP. Gdy się zreflektował, że palnął jak gajowy o sosnę, bo nikt nie lubi, gdy mu zabierają należne pieniądze, dokonał zwrotu przez rufę i teraz za natychmiastową wypłatą jest, a w ogóle nigdy nie mówił, co wcześniej powiedział w Zetce: „Na szczęście dzięki naszym staraniom te pieniądze nie przepadają, tylko te pieniądze będą mrożone, jak my wygramy kolejne wybory, to te pieniądze zostaną odmrożone".

A że od powiedzonka mojej śp. babci zacząłem, to i na takim skończę: „Pan Bóg jest sprawiedliwy, mądrzejszym dał więcej rozumu, a głupszym mniej"...

Chiński Jontek robi karierę

Adam Ciesielski

Chiński tenor Long Long atutami głosowymi i nienaganną polszczyzną, m.in. w słynnej arii z kurantem ze „Strasznego dworu", zyskał sympatię naszej publiczności w 2019 r. podczas X Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki

W konkursie tym zdobył trzecią lokatę, został ponadto uhonorowany Nagrodą Polskiego Radia. Jako jej laureat w 2021 r. dał w Studiu im. Witolda Lutosławskiego koncert z udziałem publiczności. Rejestracja tego wieczoru znalazła się na płycie, pierwszej w karierze obiecującego tenora.

31-letni dziś artysta pochodzi z rodziny od pokoleń związanej z chińską sceną muzyczną, ale – w przeciwieństwie do przodków – wybrał europejską tradycję operową. Po studiach w Szanghaju i Pekinie doskonalił się m.in. w studiu wokalnym w Bayerische Staatsoper w Monachium oraz na kursach w prestiżowej Georg Solti Accademia we Włoszech. Nagroda w Warszawie nie jest jego jedynym sukcesem. W 2019 r. wygrał też międzynarodowe konkursy w Niemczech i Chinach, a dwa lata wcześniej – we Włoszech i w Rumunii. Został zauważony, miał więc okazję zaśpiewać na festiwalu w Salzburgu, na scenach w Pradze, Hanowerze, Frankfurcie, Berlinie, Hamburgu.

„Arie"
Long Long (tenor) i Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie pod dyrekcją Michała Klauzy, Wyd. Agencja Muzyczna Polskiego Radia

Płyta, na której soliście towarzyszy Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie pod batutą Michała Klauzy, jest wizytówką ambitnego tenora. Z Moniuszki do arii Stefana ze „Strasznego dworu" dodał arię Jontka „Szumią jodły na gór szczycie" z „Halki". Z talentem i swadą wykonuje ponadto arie z „Czarodziejskiego fletu" Mozarta, „Traviaty" i „Rigoletta" Verdiego, „Napoju miłosnego" Donizettiego, „Cyganerii" Pucciniego, „Fausta" i „Romea i Julii" Gounoda, „Krainy uśmiechu" Lehára. To artysta z przyszłością.

A już od 6 do 11 czerwca w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej zostanie rozegrany kolejny, XI Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki – szansa dla 112 młodych śpiewaków z całego świata.

eprasa.pl 9c4e90eb77

Michał Korsun prezentuje:
Top Gun z pieniędzmi Kremla w tle?

Wycinki z przeszłości

Piękne katolickie świątynie i namalowane w nich na chwałę Pana Boga freski z pewnością nieraz znajdą się w te wakacje na trasie naszych letnich podróży. Zresztą można je znaleźć także w bliskiej okolicy. Warto poświęcić chwilę na kontemplację tych dzieł sztuki i wspomnienie dawnych pokornych mistrzów. Jak pracowali, przypominał tą piękną grafiką „Tygodnik Ilustrowany" z 1890 r.

(mk)

Z obserwacji i doniesień Instytutu Kwitnienia

Leszek Długosz

„Po balu"

Taka w sadach nagle cisza
Raptem zwiało i przekwitło
Jak po balu na gałęziach
Resztki kwiatów
Kotylionów resztki wiszą...

Taki wczoraj jeszcze zamęt
Szły umizgi i zaloty
Leśmianowskie szły lubieże
Już po wszystkim?
I już cicho?
Bezszelestne wokół tylko samo trwanie
Pszczoła jaka zapóźniona
Zajrzy westchnie i odleci
– Wręcz skonfundowana...
Już po balu?
Owszem, krótko
– Inni w drzwiach już balownicy
I w tym sadzie i w tej sali...
O siostrzyczki druhny miłe
Gałązeczki po sąsiedzku
Bałamutne jeszcze wczoraj weselnice
Raptem zwiało i przekwitło
– I to wszystko?
Aż po chłody, do jesieni
Przyjdzie dźwigać nam ciężary?
Jeden mozół wśród gałęzi
Już po balu
O mój Boże, i co teraz?
– I co teraz z nami będzie?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 9c4e90eb77

OD A DO ZYBERTOWICZA

Kto przy wartościach, kto przy interesach?

Nowa Lewica deklaruje wsparcie dla Ukrainy. Dlaczego w sytuacji, gdy władze Niemiec od tego wsparcia wykręcają się, jak mogą – co jest szeroko krytykowane nawet przez elity tego kraju – poseł Śmiszek okazuje się tak powściągliwy?

Polityk utrzymuje się w grze tak długo, dopóki reprezentuje interesy *jakiegoś* elektoratu. Może to być elektorat bardzo, bardzo różny. Widoczny lub ukryty.

W niedzielę 28 maja 2022 r. jako przedstawiciel Kancelarii Prezydenta RP wziąłem udział w programie „Śniadanie Rymanowskiego w Polsat News i Interii". Grupa posłów reprezentowała swoje polityczne ugrupowania. Był wśród nich poseł Krzysztof Śmiszek, wiceprzewodniczący Nowej Lewicy.

W pewnym momencie pojawił się wątek krytyki kanclerza Olafa Scholza przez niemieckie media głównego nurtu, w tym dziennik „Bild". Zdaniem „Bilda" kanclerzowi „grozi przejście do historii w oczach świata jako szefowi niemieckiego rządu, który przez wahania w sprawie dostaw broni i wypowiedzi wykorzystywane przez rosyjską propagandę nie udzielił właściwej pomocy broniącej się i ciężko poturbowanej Ukrainie".

„Bild" niepokoi się: „Nie dość, że samo opóźnianie dostaw broni na Ukrainę jest czymś złym, to kanclerz – celowo lub nieumyślnie – wprowadza chaos komunikacyjny, który psuje wizerunek Niemiec w świecie".

LOGIKA?

Podczas komentowania tego wątku poseł Śmiszek zaprezentował logikę zdumiewającą: „Trzeba mówić jednym głosem. Zachód musi mówić jednym głosem. UE musi mówić jednym głosem, ale jest jeden kamyczek do tej w sumie dobrej roboty, którą robi rząd. Polski rząd próbuje być w ostatnim czasie adwokatem interesów Ukrainy i słusznie. Jednak oczekiwałbym od rządu większego zaangażowania w przekonywanie partnerów europejskich do tego, że tylko jedną ławą, jedną siłą jesteśmy w stanie mówić mocnym głosem. Nie widzę tutaj tego wysiłku ze strony polskiego rządu, żeby Francuzów czy Niemców przekonywać. Wręcz przeciwnie, na użytek wewnętrzny ciągle jest podsycana antyniemiecka fobia, ciągłe antyeuropejskie argumenty. Z jednej strony rząd chciałby być adwokatem interesów Ukrainy, a z drugiej sam podkopuje swoją pozycję" (cytat za „Tygodnikiem Solidarność"). Przeczytajcie jeszcze raz uważnie powyższe słowa posła.

Politykę Scholza krytykuje wielu Niemców naprawdę przywiązanych do pokoju i humanistycznych wartości. To właśnie niemiecki polityk w pierwszej kolejności łamie jednolitość europejskiego głosu. Od miesięcy opóźniając wprowadzenie kolejnych sankcji, utrudnia walkę z Rosją. W sprawach wojny na Ukrainie wprowadza chaos. Poseł Śmiszek z całych sił tego nie dostrzega, ale widzi nasze, polskie – rzekome i bezpodstawne – antyniemieckie fobie.

Podczas audycji spytałem: „Powiedział pan, że musimy bronić się przed fobią wobec Niemiec. Panie pośle, jaką interpretację postawy kanclerza Scholza trzeba przyjąć, żeby nie utracić szacunku wobec tego polityka? Jako doradca prezydenta RP chciałbym, by polscy politycy mieli szacunek do ważnego polityka niemieckiego. Jego zachowanie jest tak dziwne, że nie wiem, jaką interpretację i motywy mu przypisać, żeby zachować szacunek wobec niego".

Reakcją na te moje słowa był unik i powtórzenie słów o rzekomej polskiej fobii. Ze strony posła Nowej Lewicy wobec niemieckiego kanclerza zero krytyki, zero nawet najdelikatniejszej analizy jego zadziwiającej postawy.

Na Twitterze takie zachowanie Krzysztofa Śmiszka skomentowano tak: „Lewica... Krytyka polskiego rządu OK, krytyka rządu niemieckiego czy UE to już fobia...".

Nowa Lewica deklaruje wsparcie dla Ukrainy. Dlaczego w sytuacji, gdy władze Niemiec, kraju wielkich zasobów, od tego wsparcia wykręcają się, jak mogą – co jest szeroko i rzeczowo krytykowane nawet przez elity tego kraju – poseł Śmiszek okazuje się tak powściągliwy?

Ma ku temu pewnie jakieś bardzo poważne powody. Ale unikanie krytyki władz obcego państwa nie przeszkadza posłowi wybranemu przez moich rodaków niesłusznie krytykować nasze władze. Czy w istocie właśnie tego oczekuje od posła Krzysztofa Śmiszka część jego elektoratu? Kto – poza polskimi wyborcami – stanowi elektorat, wobec którego poseł Śmiszek demonstruje swoją lojalność?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 9c4e90eb77

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

wSIECI HISTORII

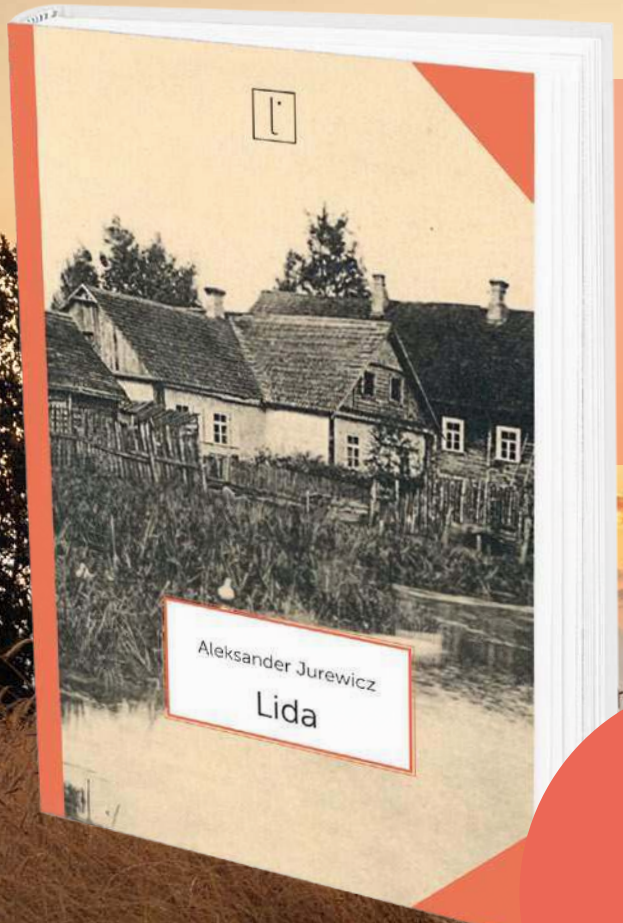

„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100 książek w prezencie

Książkę **„Lida”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 9c4e90eb77

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • SZYMBORSKA • BIEDROŃ • KOCZOT • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY • WYSOCKI

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**